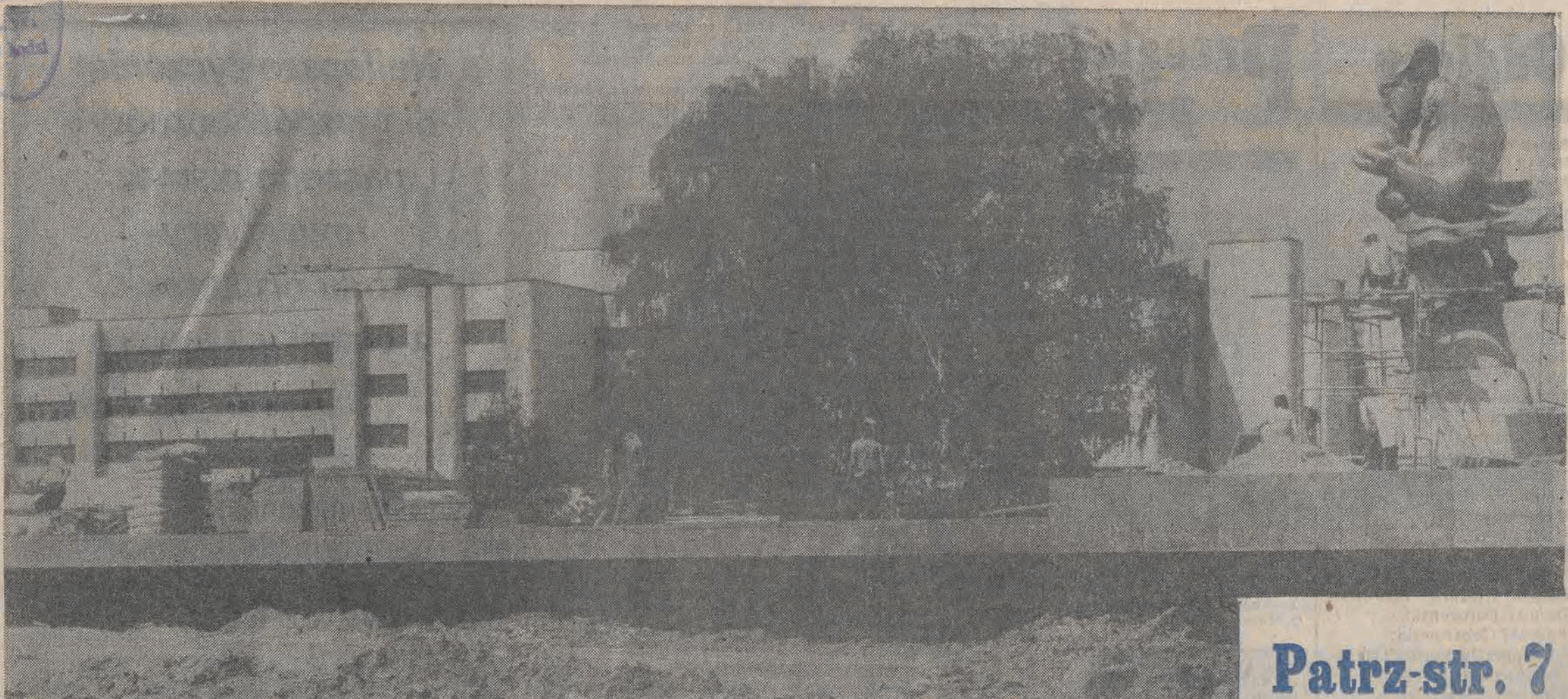




Patrz-str. 7

- Skarby zamknięte w piwnicach — str. 6
- Nikt nie lubi płacić podatków — str. 5
- Sposób na naiwnych studentów — str. 15

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 22 (1574)

ROK XXXI

28 MAJA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Czy w Łodzi powstanie bank konkurencyjny dla NBP?

Monopolista w okopach

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Janusz Lucki, niespokojny duch z Łodzi, wystawił na próbę kierownictwo Narodowego Banku Polskiego. Jest to próba szczerości, która wykaże, czy bankowcy są naprawdę za reformą i konkurencją. Jak na razie, próba ta wypadła negatywnie: konkurencja, owszem — zdają się myśleć szefowie NBP — ale tylko na naszych warunkach... — Jakże to warunki? — spyta państwo. — Ależ to proste! Takie, których nie można spełnić!

Nie miałem ośnienia

Niespokojny duch Janusza Luckiego obawiał się bodaj po raz pierwszy przed X Zjazdem PZPR, co było o tyle na miejscu, że jest on (J. Lucki — nie jego duch) aktywnym członkiem partii, a swego czasu piastował funkcję sekretarza organizacji zakładowej. Wtedy, w pierwszej połowie lat 80-tych, włączył się w działalność samorządnie utworzonego zespołu, pracującego nad własną wersją programu zjazdowego PZPR. Biedziło się nad tym prawie 10 osób, ożywionych perspektywami radykalnych przemian w gospodarce i państwie. Był z nimi Paweł Zieliński, który wówczas sztykował się dopiero na studia ekonomiczne. Obaj panowie zawarli bliższą znajomość. Na lata, jak się później okazało.

Wspólnie dyskutowali, pisali rozdziały i punkty rozdziałów, a następnie, rozsyłali gotowy projekt programu, nie tylko pod adresy ważnych instancji, ale i bezpośrednio — odpowiednim działaczom. Podsunęli go również Mieczysławowi F. Rakowskiemu, co było może nie bez znaczenia na przyszłość. Znajomość ugruntowała się

na dobre w 1987 roku, gdy w trójkę (wraz z żoną P. Zielińskiego, ekonomistką) usiedli nad własnymi tezami do II etapu reformy gospodarczej. Stworzyło to wspaniałe okazje do wypracowania wspólnych poglądów, dotyczących zwłaszcza sposobów osiągnięcia równowagi rynkowej oraz polityki dochodów i cen.

— Opracowanie też — wspomina J. Lucki — poszło szybko i łatwo. Niż praca nad programem PZPR, bo mimo wszystko były to tylko tezy. Wysłali je, gdzie popadło, również do Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, gdzie trafiało prawie 300 podobnych opracowań, w większości sporządzonych przez instancje partyjne. Nieliczne tylko powstały w zespołach nieformalnych, takich właśnie jak Janusz Lucki i małżeństwo Zielińskich.

czyż z narzekaniem. Jeżeli jesteśmy za tym, aby zmienić od razu system, stwórzmy sobie na razie własny bank! Sala przyjęła te słowa z zainteresowaniem. Tak mu się przynajmniej wydawało. Dopiero później zrozumiał w pełni, że jest to nowe wyzwanie.

— Nie miałem ośnienia — tłumaczy dziennikarzowi. — Nie był to znowu taki nadzwyczajny pomysł. Takie i inne pomysły stają się teraz do pomysłenia...

Bankowe trio w natarciu

W końcu września 1988 roku pomysł jest w ogólnych zarysach przygotowany. Pora wprowadzić go w czyn. Podejmuje się tego „bankowe trio”: na czele Janusz Lucki — dyrektor, który dobrał sobie do pomocy dwóch kompanów: znanego już czytelnikom Pawła Zielińskiego — instruktora Komitetu Dzielnicowego PZPR na Polesiu, oraz Macieja Lapełę — kierownika w Zakładzie Energetycznym Łódź-Miasto. Ten ostatni, kolega „szefa” jeszcze ze studiów, pracował przez czas pewien w NBP. Wyniósł stamtąd ciekawe spostrzeżenia, a przede wszystkim — znajomości z klientami banku, którzy mogli się teraz okazać sojusznikami. Cała trójka stara się zresztą nawiązać jak najwięcej kontaktów z dyrektorami przedsiębiorstw, dwój się i trój, aby zarazem „bankowym” pomysłem jak najbardziej wpływowym osobom. Stopniowo, ale udaje się!

Dolacza wkrótce Paweł Wyrwas, radca prawny z LZPB „Uniotex”, zaprawiony w niedawnych bojach z Bankiem Handlowym SA (sprawa była szeroko opisywana w prasie — „Uniotex” wygrał ją z bankiem). Dolacza również Jan Bednarek, dyrektor tomaszowskich zakładów „Chemitex-Wistom”, znany ze śmiałych poglądów i prorokatorskich inicjatyw. W jego osobie przyszedł Łódzki Bank Rozwoju Spółka Akcyjna (taka nazwa i forma organizacyjna przyjęła) dyskusje prawdziwego mecenasa. Dyrektor Jan Bednarek jest bowiem jednocześnie wiceprzewodniczącym Towarzystwa Wspierania Inicjatyw Gospodarczych, które angażuje się odąd w projekt Janusza Luckiego. Do tego sto-

— Cieszę się z naszego ponownego spotkania, wierząc, że rezultat dzisiejszej rozmowy będzie równie frapujący dla Czytelników.

— Ależ ja po tym ostatnim pana materiale nie zebrałem najmniejszych „wyrazów” krytyki! Nawet od moich zwierzchników...

— Ja też nie! Wręcz przeciwnie, wielu Czytelników chwaliło nas za podjęcie tak zwanych trudnych tematów, a pana — za szczerość i bezkompromisowość w uchylaniu rąbka zawodowych tajemnic. Zwłaszcza tych dotyczących wykorzystywania anonimów, donosów, działania specjalnych „brigad podatkowych”.

— Rozumiem, że na dziś też pan przygotował jakieś efektowne, bulwersujące opinie publiczną pytanką?

— Dlatego zaraz bulwersujące? O, z życia wzięte. Takie spółki choćby, również te z ograniczoną odpowiedzialnością.

— Ten drugi warunek nie jest niezbędny, natomiast inwencji trzeba faktycznie sporo. Ale komu z rodaków jej brakuje? Obecnie zamiast uprawnień, uciążliwych kursów, egzaminów, mistrzowskich papierów wystarczy chęć i wspólnik. Spółka jest doskonałą furtką: bibliotekarz z fryzjerem spokojnie zakładają spółkę świadczącą usługi... hydrauliczne. Obaj mogą być zupełnie „zieloni”, fachowców do pracy sobie wynajmą...

— Klania się „duch” reformy: jeśli mają chęci do pracy, talent organizacyjny, a usługi hydrauliczne akurat się przydadzą, to niechże pracują w spokoju.

— Oczywiście, oczywiście, jeśli jeszcze płacą podatki...

— Czyżby powstałe w Łodzi spółki nie wywierały się z tych powinności?

— Umiemy się przypomnieć, to nie w tym

Narodził się projekt jednolitego podatku od dochodów zarówno dla ministra, jak i rzemieślnika — tyle, że podstawa byłaby inna.

Nikt nie lubi płacić podatków

Rozmowa z LECHEM MALAGIEM — wicedyrektorem Izby Skarbowej w Łodzi.

— Och, już tyle na ten temat powiedziano i napisano.

— Chyba jednak nie za dużo, bo wciąż o wiele szczegółów dotyczących między innymi ich zawiązania dopytują się Czytelnicy w listach i telefonach. Poza tym mnie interesuje spojrzenie na problem spółek od waszej strony, przedstawicieli fiskusa. Jakże są na przykład, zdaniem pana dyrektora przyczyny gwałtownego wzrostu liczby zakładanych spółek?

— Ograniczenia w wydawaniu zezwoleń na wiele rodzajów prywatnej działalności, różnego typu obciążenia, jak choćby obowiązek posiadania specjalnych kwalifikacji. Jest to także, na prośbę mówię, możliwość zarobienia w łatwy stosunkowo sposób jakichś tam pieniędzy, obchodząc czasem niewygodne przepisy...

— To ciekawa koncepcja, spróbujmy ją nieco sprecyzować.

— Duże jednostki przemysłowe, dyktujące na zasadach monopolistycznych warunki czy to w dziedzinie dostaw surowców czy sprzedaży wyrobów omijają zresztą ustawę antymonopolową — zawiązując właśnie spółki. Nikt pozornie tego nie zauważa, że w miejsce przedsiębiorstwa X — monopolisty rozkwitła — monopolistyczna spółka X i Y. Osoby fizyczne też zresztą mają tu pole do popisu.

— Wystarczy nieco inwencji i drobnych parę milionów.

problem. Sytuacja jest jednak nieco dziwna. Proszę spojrzeć: obowiązek podatkowy związany z rozpoczęciem działalności zgłosiło do nas w Łodzi i województwie około 40 prywatnych spółek, natomiast w sędzię zarejestrowanych jest blisko... 200!!! Sąd interesuje w zasadzie wyłącznie zgodność statutu organizacyjnego spółki z przepisami kodeksu handlowego i już nowa firma jest zarejestrowana. Powinna zacząć działać...

— Czyli zgłosił się do urzędu skarbowego. Rozumiem. Ale mogą mieć przecież jeszcze masę problemów związanych z faktycznym rozpoczęciem pracy: mogą szukać lokalu, kupować meble, przeprowadzać remonty, poszukiwać pracowników i tak dalej.

— Tak, tak. Ale musimy sprawdzić, czy przypadkiem niektórzy ze „spółkowiczów” nie traktują tej formy działalności jako swoistej przykrywki...

— ...a faktycznie są cinkciarzami. Powiedzmy łagodnie: chcą mieć spokój w swej zasadniczej profesji.

— Przeczuwam jakieś wezwanka...

— Przeczuwam pana nie myliło. Chcemy sprawdzić jak też niektóre z tych spółek działają, jakież to mają kłopoty uniemożliwiające im rozpoczęcie statutowej działalności. A może trzeba im pomóc?

— Jakiego rodzaju są te spółki?

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gebarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glane.

Fotoreporter: Grzegorz

Gołasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Keim, Wasył

Kucznów (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemieński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

wonowej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych reklam, nie za-

strzeżenie zastrzeżeń. Za treść

ogłoszeń redakcja nie odpo-

wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

złokalkulowane w miastach wo-

jewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” — 12 zł. 00

zł. 00. Prenumerata w tych oddzia-

łach — instytucje i zakłady pracy

złokalkulowane w miastach wo-

jewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” — 12 zł. 00

zł. 00. Prenumerata w tych oddzia-

łach — instytucje i zakłady pracy

złokalkulowane w miastach wo-

jewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Przegląd prasy

W instytucjach gospodar-
czych, społecznych, politycz-
nych i kulturalnych bezpośred-
nio decydują kierownicy. W se-
ktorze uspołecznionym na 11
mln stanowisk pracy mamy aż 1
mln 200 tys. kierowników. Z
tego 800 tys. osób (75 proc.) na-
leży do PZPR. Prawie co dru-
gi członek partii kieruje inny-
mi ludźmi.

W nomenklaturze partyjnej
znajduje się około 250 tys. sta-
nowisk kierowniczych. Zajmu-
ją je również członkowie ZSL
i SD oraz bezpartyjni, ale mu-
si być akceptacja polityczna
PZPR. W dyspozycji Komitetu
Centralnego, Biura Polityczne-
go i Sekretariatu KC jest 4,5
tys. stanowisk, w dyspozycji
komitetów wojewódzkich — 40
tysięcy, a reszta (około 200 tys.)
pozostaje w gestii kadrowej
komitetów miejskich, gminnych
i zakładowych.

Powyższe dane podał w arty-
kule na łamach poprzedniej
„POLITYKI” (nr 20) Marek
Henzler. Piszcie on dalej nastę-
pująco:

„W zreformowanym rządzie
na 19 ministrów 15 to członko-
wie PZPR (79,0 proc.), a ty-
lko dwaj bezpartyjni. Wśród
korpusu wice ministrów widac
to jeszcze ostrzej. Mamy ich
dziś 77, z czego w PZPR 65
(84,4 proc.) w ZSL — 6, SD — 3
i bezpartyjnych jest 3. Taki
skład tej grupy kierowników
jest ewidentnym przykładem
zawężenia bazy kadrowej, kur-
czącego trzymanie się poglądu,
że tylko „swoi” gwarantuje
nam prowadzenie właściwej
polityki w resorcie. Mamy na-
wet taką sytuację, że w pola-
wie resortów całe sąsiedztwo
władzy (minister i podsekretar-
ze stanu) należą do PZPR.
(...)”

Spośród wojewodów do PZPR
należy 40, do ZSL osiem, bez-
partyjni jest jeden. (...) Przy-
glądając się jeszcze niżej
szeregiom administracyjnej
drabiny dostrzec można, że
wśród 161 wice wojewodów ma-
my dziś 110 z PZPR, 38 z ZSL,
9 z SD i czterech bezpartyj-
nych. Natomiast wśród prezy-
dentów, naczelników miast i
gmin, i ich zastępców
82 proc. należy do PZPR, 13
proc. do ZSL, 2 proc. do SD,
3 proc. to bezpartyjni. Za to
decydowanie najwięcej bez-
partyjnych jest wśród sekretarzy.
Rok temu było ich 46,5 proc.
Do PZPR należało 29,2 proc.,
do ZSL 23,4 proc., do SD 0,9
proc. (...)

Na 90 rektorów w uczelniach
cywilnych jest 59 ub. roku 59
było z PZPR, 2 z SD, 1 z ZSL
i 28 to bezpartyjnych (w
1981 r. tych ostatnich było 62).
Członkiem partii nie jest tylko
co piąty dyrektor szkoły i co
czwarty dyrektor czy ordynator
w służbie zdrowia. Od 70 do 100
proc. centralnej kadry kierow-
niczej w sporę część stowa-
rzyzeń czy organizacji (szcze-
gólnie tych o statusie wyższej
użyteczności publicznej) sta-
nowią członkowie PZPR. Wy-
soko upartyjnił się liderzy
ruchu związkowego. Do PZPR
należą przewodniczący i wszy-
scy wiceprzewodniczący OPZZ.

Z kolei w gospodarce, wśród
dyrektorów nieco ponad 80
proc., wśród mistrzów prawie
30 proc. i wśród brzdądzistów
ok. 18 proc. — to członkowie
PZPR.

Marek Henzler podkreśla, że
monokultura kadrowa nie daje
dobrych rezultatów. Przy ob-
sadzaniu stanowisk kierow-
niczych bardziej powinno się li-
czyć kryterium fachowości niż
postawy ideowo-polityczne. Po-
lityka kadrowa musi ulec de-
centralizacji. Musi być ja-
wna.

Partijni kierownicy coraz
bardziej starzeją się. A zdecy-
dowana większość młodzieży
jest poza partią. Ludzie młodzi
rzadko zresztą chcą awansować
w górę; wolą stać na u-
boczu i nie angażować się w
sprawowanie władzy. Jest to
zjawisko niebezpieczne dla kra-
ju.

W zakończeniu swego arty-
kulu Marek Henzler postuluje
ściśle określenie obszarów po-
litycznej reglamentacji kadro-
wej. Na niektórych stanowis-
kach wyłącznym kryterium obo-

ny powinny być tylko kwalifi-
kacje i dotychczasowa osią-
gnięcia.

REGRES OŚWIATOWY

O kwalifikacjach ludzi decy-
duje przede wszystkim system
kształcenia. Kiedyś mówiono, że
jesteśmy krajem ludzi kształcą-
cych się. Lecz obecnie jest to
hasło bez pokrycia. Wykazuje
to doc. dr hab. Jan Jerschina,
socjolog z Uniwersytetu Jagiel-
lońskiego, z którym przeprowa-
dziła wywiad dla „ŻYCIA
WARSZAWY” (nr 115) Janina
Paradowska.

„W roku 1970 w szkołach
wyższych, a więc w tych in-
stytucjach, które tworzą war-
stwą inteligencji kształciliśmy
101 studentów na 10 tys. mie-
szkańców i wtedy mogliśmy się
porównywać z innymi krajami.
Austria kształciła 80 osób na
10 tys. mieszkańców, Hiszpania
66, Włochy 128, RFN — 83. Nie
byliśmy w gronie potentatów,
ale na dość solidnym średnim
poziomie. I cóż się stało dalej?
Inne kraje, w tym także kraje
Trzeciego Świata bardzo zwie-
kszyły liczbę kształconych —
my stanęliśmy. W roku 1985
mielśmy tylko 94 studentów na
10 tys. mieszkańców, a Hiszpa-
nia już 207, Austria 221, Wło-
chy 226, RFN 246, nie mówiąc
już o takich potentatach jak
Kanada — 420, Stany Zjedno-
czone 388 (nie uwzględniam tu
kształconych w collegeach).
Wszystkie kraje wysoko, śred-
nio i wiele słabo rozwiniętych
zainwestowały więc przede
wszystkim w kształcenie, by
przygotować się do moderniza-
cji, dynamizowania rozwoju
gospodarczego, kulturalnego i
cywilizacyjnego”.

Na początku lat siedemdziesią-
tych specjaliści z Polskiej
Akademii Nauk szacowali, że
pod koniec lat osiemdziesią-
tych Polska powinna mieć o-
koło 3 mln osób z wyższym
wykształceniem, żeby sprawnie
funkcjonował system społeczno-
gospodarczy. A tymczasem
mamy około trzy razy mniej
absolwentów uczelni wyższych
na właściwych stanowiskach.
Nieprawdą jest więc teza
o nadmiarze inteligencji.

Za dużo kształciliśmy dotąd
inżynierów, a zbyt mało na
kierunkach ścisłych, przyrodni-
czych oraz społecznych i hu-
manistycznych. Baza postępu
sa dziś nauki podstawowe, eks-
perymentalne a także spo-
łeczne i humanistyczne. Podob-
ny błąd technokratyzmu po-
pełniły również inne kraje so-
cjalistyczne.

„Na kierunkach technicznych
kształcimy 21,3 proc. studentów,
Związek Radziecki to od-
chylenie technokratyczne ma
jeszcze większe, bo kształci w
ten sposób 41,7 proc. studentów,
Rumunia aż 44,4 proc.
Tymczasem w krajach, które
ucześnie zaczęły modernizować
się i modernizują nadal, liczba
studentów na kierunkach tech-
nicznych jest o wiele niższa.
Francji wystarcza 12 proc., Ho-
landii 11,6 proc., Japonii 16,6
(...) Rzecz bowiem, by wyks-
tałcić kadry naukowców, bada-
czych oraz kadry nauczycieli do
szkół niższych szczebli. Francja
w roku 1984 w naukach ścis-
łych i przyrodniczych kształci-
ła 14,7 proc. studentów, Holan-
dia 10 proc., a Polska tylko 3
proc. Na kierunkach huma-
nistycznych Francja 22,6 proc.,
Holandia 15,3, Polska 4,2 (wazy-
sko łącznie z nauczycielami).
Tu już nawet niektóre kraje
socjalistyczne zostawiły nas
daleko w tyle. Związek Ra-
dziecki na kierunkach huma-
nistycznych kształci 31,9 proc.
studentów, Rumunia 10,4, na-
wet Bułgaria kształci dwa razy
więcej humanistów niż my. (...)”

Mamy w Polsce w szkołach
ogólnokształcących 10 osób na
tysiąc mieszkańców, Francja
na ich 71, RFN — 86, Szwecja
— 48, Wielka Brytania — 88,
Włochy — 59, Finlandia — 63.
Nie zapominajmy, że są to w
ogóle kraje, gdzie ludzie żyją
dłużej i w których młodzież
stanowi mniejszy odsetek spo-
łeczeństwa niż u nas. Są to
więc wskaźniki, które muszą
przerzucić. Uważam, że powin-
no się co rok zwiększać liczbę
uczniów w liceach o przynaj-
mniej 6 proc. Wówczas za 5 lat
mielibyśmy połowę młodzieży
w liceach, co byłoby tylko od-
robieniem części straci”.

KRYTYKA SZKOŁY

Na temat naszego szkolnictwa
warto również przeczytać
rozmowę Ingi Kaltenbergh z
prof. Zbigniewem Kwiecińskim,
socjologiem z PAN w Toruniu,

którą opublikował „TYGOD-
NIK POWSZECHNY” (nr 20).
Oto zmienny fragment:

„Ostatnio mamy do czynienia
z polanalfabetyzmem wielu u-
czniów szkół podstawowych.
Nasze badania z osiemdziesią-
tego szóstego roku ujawniły, że
aż siedemnaście procent dzie-
ciąt i chłopców, którzy ukoń-
czyli właśnie klasę ósmą, nie
rozumie sensu prostych teks-
tów w języku ojczystym. Czy-
tają i nie wiedzą, co czytają;
składają literę. Jeszcze więcej,
bo blisko czterdzieści procent,
rozumie czytany tekst ledwie,
ledwie, słabo. Czyli szkołę o-
puszcza mnóstwo młodzieży
skazanej na bierność intelek-
tualną. Tysiące nie znających
swego miejsca w świecie, nie
potrafiących uczestniczyć w
kulturze. I nie stawiających so-
bie pytań: kim jestem? Skąd
się wziąłem? Dokąd idę? Do
kogo chcę się przylączyć? Ka-
żmierz Obuchowski nazywa tę
młodzież «marginiesem history-
cznym». Spotyka się też druga
jej nazwa: «strefa cizy». Brak
identyfikacji z macierzystą kul-
turą i klasą społeczną.”

Wbrew sloganowi, wbrew
punktowi preferencyjnym dla
młodzieży chłopskiej i ze śro-
dowiska robotniczego ubiegają-
cej się o przyjęcie na wyższe
uczelnie, polska szkoła przede
wszystkim odtwarza istniejącą
strukturę społeczną. Kanalizu-
je drogi życiowe młodzieży.
Dzieli uczniów i pcha na od-
rębne i wzajemnie niadrożne
tory kształcenia. Niemal od po-
czątku, od pierwszej klasy
szkoły podstawowej wiadomo,
że prawie wszystkie dzieci ze
środowiska chłopskiego i wiek-
szość ze środowiska robotnicze-
go pójdzie do zasadniczych
szkół zawodowych, te najpil-
niejsze do techników lub lice-
ów zawodowych. A dzieci ze
środowiska inteligentnego bę-
dą się uczyły w liceach ogólnó-
kształcących. Taka selekcja wy-
stępuje teraz nawet z większą
siłą niż przed piętnastoma la-
ty”.

WSPOMNIENIE OLI WAT

Milownikiem twórczości Jar-
osława Iwaszkiewicza polecam
najnowszy numer miesięcznika
„TWÓRCZOŚĆ” (nr 2). Wydu-
rowano w nim nieznanego roz-
dział „Sławy i chwały”. Bardzo
interesująca jest też relacja Oli
Watołowej, która w lutym 1980
roku otrzymała wiadomość od
Daniela Olszowskiego i odwie-
dziła chorego pisarza (miał
wtedy 86 lat) w hotelu parys-
kim.

„Leżał w łóżku. Zobaczyłam
po latach, długich latach, Iwa-
szkiewicza starego, chorego,
bezielonego. Ale od razu zmobi-
lizował się i przyjął mnie jak
gdyby w normalnych wa-
runkach. Zachwycił się różami,
zauważył, że noszę perły. «A
ty perły nosisz!», powiedział
jakoś fiłpnie. Ale zaraz oka-
zało się, że nie jeszcze nie jadł,
miał jakiś kawałek bagietki.
«Olu», powiedział ze łzami w
oczach «wszystkie nieszczęścia
chodzą w parze». I pokazał na
uszkodzoną sztuczną szczękę.”

A wtedy zakrzęknęłam się
kolo niego, plakiem gazy na-
sypionej wodą kolońską obmy-
łam mu twarz i tors wyla-
jący się z rozchylonej piżamy.
Oboje wiedzieliśmy, że pewnie
nigdy się nie zobaczymy. Był
ciężko chory i zrozpaczony po
śmierci swojej żony. Zatrze-
czył się jednak, dlaczego nie
mam prawa przyjechać do kra-
ju. (...)

Patrzałam na niego, mając
ciągle w pamięci młodego pię-
knego, wspaniałego Jarosława.
A tu, w Paryżu, na łóżku ho-
telowym, leżał stary, chory
człowiek i widzę na jego twa-
rzy potworną pracę czasu —
ku śmierci”.

E. L.

Najlepsze życzenia dla współtwórców naszego pisma, towarzyszy sztuki drukarskiej z okazji ich święta

składa zespół „Ogłosów”

NA WŁASNY RACHUNEK

Kto jest kto

Na dobrą sprawę nie znam nikogo, kto byłby zwolennikiem
klamstwa i przemocy w stosunkach międzynarodowych, kto by
się deklarował przeciwko zasadom równoprawnego współzycia
państw i narodów. W naszych czasach, w kraju bądź co bądź
cywilizowanym, którego obywatele mają nie najgorsze mniemanie
o swoim poziomie, przyznawanie się do tak anachronicznych po-
głądów po prostu nie uchodzi.

Można by więc sądzić, że każda jawna próba ze strony które-
goś z państw naruszenia tych zasad spotyka się u nas zawsze z
powszechnym potępieniem, a przecież wiemy, że tak się nie
dzieje, co potwierdza istnienie znacznych, rozbieżności pomiędzy
tym, co niektórzy głoszą, a tym co naprawdę myśla.

Oto najnowszy przykład. Kongres Stanów Zjednoczonych Amery-
ki Północnej nie tylko pozwolił sobie zająć stanowisko w sprawie
nieudanych strajków, których byliśmy w Polsce świadkami,
w sprawie naszej wewnętrznej, ale w dodatku udzielił polskim
władzom pouczeń na temat politycznych kroków, jakie powinny
być poczynione, aby stworzyć opozycji większe pole działania.

To bezprzykładne stanowisko amerykańskiego parlamentu sprze-
czne z dobrymi obyczajami politycznymi, których w odniesieniu
do innych państw przestrzegamy, spotkało się wprawdzie z wy-
jątkowo dowcipną, błyskotliwie sformułowaną repliką rzecznika
rządu PRL i mógłbym powiedzieć: „Niech sobie polemizują na
wysokim międzynarodowym szczeblu, nie moja to sprawa”, gdyby
nie to, że przesadnie elegancka forma tej wypowiedzi bynajmniej
nie nie usatysfakcjonowała.

No, bo z jednej strony oburzające inwektywy, świadczące o
tym, jak traktują normy międzynarodowego współzycia niektóre
czynniki amerykańskie (i innych państw), a z drugiej
cienkie riposty, które najpewniej nie przebijają grubej skóry
pewnych zachodnich dziennikarzy, którzy już nieraz dowiedli, że
zupełnie obce jest im uczucie wstydu i zażenowania, gdy przy-
łożą rękę do sprawek nieczystych. Niejeden raz prze-
cież, na udokumentowany zarzut, iż cynicznie, z całą świadomo-
ścią wysyłają z Polski kłamliwe informacje lub nierzetelne ko-
mentarze reagują aroganckim uśmiechem, dającym do zrozumie-
nia, iż ani myślą zniżać się do naszych najwznych wyobrażeń o
regulach gry.

Przyznam się, iż trudno jest mi powstrzymać się od naprowa-
dzania rozmów z niektórymi osobami znajomymi na temat po-
dobnie oburzających postępków niektórych rządów wobec Polski.
Spodziewam się zawsze, że spotkam się przynajmniej z objawami
zakłopotania lub nawet ze zdecydowanym potępieniem, choćby z
zastrzeżeniem: „No tak, muszę przyznać, że w tej sprawie...”.
Przecież my tu coraz dobitniej, na łamach naszych pism przysta-
piliśmy do wywabiania tzw. białych plam, wytykając zaprzyjaź-
nionym państwom błędne posunięcia, popełniane przez ich rządy
wobec nas, a tymczasem nasi nieznajomi opozycjoniści zwiłają
się w mękach i krztuszą jak diabeł pokropany święconą wodą...

Nieprawne posunięcia wobec Polski ze strony państw czy sił
politycznych mieniących się szermierzami prawa i wolności mają
więcej te nieocenione zalety, że ułatwiają nam rozeznanie się
w tym, kto jest szczerym orędownikiem normalizacji stosunków
międzynarodowych, w myśl uczciwych reguł współzycia, a kto śle-
dzi je i ocenia stronniczo, nie mówiąc o tym, że często sprzecz-
nie z interesem własnego kraju.

Może więc nie warto ulewać sobie żółci z powodu każdego na-
ruszenia norm dobrego obyczaju, może raczej ma jednak rację
rządu, gdy „bierze na ciepłotę” i zamiast ze światem ogniem
oburzenia traktuje swoich adwersarzy a pewnym rodzajem po-
blizliwości.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Nieodparcie rodzi się pytanie, na co liczył Józef Piłsudski
wysyłając tych niezliczonych na pola bitew wielkiej wojny. Roz-
począł się ona przecież w układzie dla sprawy polskiej zde-
cydowanie niekorzystnym. Państwa zabiorcze znalazły się po obu
stronach barykady i wystąpienie przeciw jednemu z nich auto-
matycznie powodowało musiło wypowiedzenie się za racjami dru-
giego, oznaczało to, choćby nie chciało, braterstwa broni
z zaborcą — artykuł ZENONA J. MICHAŁSKIEGO pt. „Sens
legionowej spopeł”.

— Człowiek jest beznadziejnie wobec plotki, która zawsze może go
dolegnąć. Jedynym ratunkiem jest cierpliwość i czas — eseż
STEFANA DZIECIELSKIEJ-MACHNIKOWSKIEJ.

— Znalazł się człowiek, który na własny koszt za 140 milionów
złoty zaczął restaurować... zamek. I co z tego wynikło? —
odpowiedź w felietonie MARIANA ZDROJEWSKIEGO.

— Polska jest pięknym krajem, interesującym dla plastyki,
choćby ze względu na bogactwo form architektury, tej choćby
najwykleszej, codziennej, z czego bardzo wiele, nieraz pocho-
pienie spleje się na straty — mówi JERZY WIECZOREK.

Jubileusz i nagroda „Odgłosów”

Tekst: ANDRZEJ GEBAROWSKI
Zdjęcia: GRZEGORZ GALASINSKI



Józef Niewiadomski odznacza Złotym Krzyżem Zasługi Janusza Kozłowskiego i Ryszarda Binkowskiego



Wśród gości: Jarosław Pietrzyk, Józef Niewiadomski, Grzegorz Misiewicz



Marek Rosiecki dekoruje Zofię Jaros Odznaką Zasłużonego dla RSW

W miniony piątek, zamiast na kolegium, spotkaliśmy się wszyscy w przepięknych salach Muzeum Historii Miasta Łodzi. Panie w kreacjach, panowie pod krawatami, nastroje uroczyste — słowem: jubileusz! Nasi czytelnicy zapewne już wiedzą, przypomnijmy więc tylko dla porządku: trzydzieści lat upłynęło od chwili, gdy ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Odgłosów”. W trzydzieści lat później jest to okazja do obejrzenia się wstecz, do podsumowań i refleksji, do snucia nowych planów na przyszłość — w gronie najwierniejszych czytelników, współpracowników i przyjaciół naszego tygodnika.

Był jeszcze jeden uroczysty powód, dla którego spotkaliśmy się w Pałacu Poznańskim: wręczenie dorocznej nagrody „Odgłosów”, przyznawanej za wybitne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury. Jak już podawaliśmy, nagrodę za rok 1987 otrzymał dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi — RYSZARD STANISŁAWSKI. W imieniu jury, przekazał ją laureatowi dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — Andrzej Mikołajczyk. Oprócz gratulacji, Ryszard Stanisławski odebrał też z upominkiem piaszczyną od naszego redakcyjnego grafika, Janusza Szymańskiego-Glancza, oraz „kryształowy” puchar, własnoręcznie wyszlifowany przez rzemieślnika spod Piotrkowa — Jana Reisinga.

Dostojny laureat, śpiesząc się na odczyt w Krakowie, podziękował za wyróżnienie, a na zakończenie powiedział:

— Korzystam z okazji, aby zdementować informację, zamieszczoną na łamach „Odgłosów” w wywiadzie ze mną, jakoby praca pochłaniała mnie do tego stopnia, że nie mam już czasu na życie osobiste. Stanowczo zaprzeczam: mam bardzo bogate życie prywatne!

Wróćmy teraz do jubileuszu. Redaktor naczelny „Odgłosów” — Lucjusz Włodkowski, powitał na wstępie przedstawicieli władz polityczno-administracyjnych Łodzi, w osobach I sekretarza KL PZPR — Józefa Niewiadomskiego, sekretarza KL PZPR — Grzegorza Misiewicza, prezenta Łodzi — Jarosława Pietrzyka, a także wiele innych, przybyłych na uroczystość osób, wśród nich przedstawicieli stronnictw politycznych i organizacji społecznych, luminarzy łódzkiej kultury, kolegów z innych redakcji, pracowników wydawnictwa i drukarzy. Nie zabrakło także na sali byłych redaktorów naczelnych „Odgłosów” — Jana Koprowskiego i Jerzego Wawrzaka.

Następnie — jak na tak uroczyste spotkanie przystało — odczytana została Uchwała Rady Państwa, z mocy której trzech pracowników naszej redakcji otrzymało wysokie odznaczenia państwowe.

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski udekorowany został Lucjusz Włodkowski. Złotym Krzyżem Zasługi odznaczono Ryszarda Binkowskiego i Janusza Kozłowskiego. Aktu dekoracji dokonał Józef Niewiadomski.

Wręczono również odznaki „Za zasługi dla RSW”. Zofia Jaros, Andrzej Małowiecki i Jerzy Kwieciński otrzymali je z rąk dyrektora Działu Wydawniczego ZG RSW — Marka Rosieckiego.

W imieniu odznaczonych podziękował Janusz Kozłowski, zaś przedstawiciel Wydziału Propagandy KC PZPR — Hubert Korzeniowski, pogratulował wyróżnionym i całemu zespołowi redakcyjnemu, dziękując za — jak powiedział — dobrą dziennikarską robotę.

Z okazji jubileuszu napłynęły do redakcji listy gratulacyjne, m.in. od I sekretarza KL PZPR — Józefa Niewiadomskiego, I sekretarza KW PZPR w Sieradzu — Janusza Urbania, I sekretarza KW PZPR w Piotrkowie — Stanisława Kolasy, prezydenta Łodzi — Jarosława Pietrzyka, dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — Andrzeja Mikołajczyka i dyrektora PP „Dom Książki” w Łodzi — Stefana Czarneckiego. Listy te opublikujemy w następnym numerze „Odgłosów”.

O jubileuszu przypomnieli nam również pani Biruta Żyła, prowadząca część artystyczną spotkania:

— 30 lat to bez mała 1800 numerów Waszego pisma, to wiele pasji intelektualnej kilkudziesięciu redaktorów, to powód do dumy niezależnie od tego, ile oczekiwań czytelników nie zostało spełnionych (...). „Odgłosy” są fenomenem na czytelnim rynku Łodzi. Tygodnik rósł i dojrzewał wraz ze swoim czytelnikiem, przechodził wzloty i upadki, ale zawsze w porę potrafił się podnieść (...). Żaden tygodnik w 100-letnich dziejach łódzkiej prasy nie mógł się dotąd pochwalić podobnie długim wiekiem...

Tak pokrzepieni, wysłuchaliśmy w skupieniu koncertu. Muzykowali dla nas kameralski z Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyktando Henryka Debicha. Sam mistrz dyrygował osobiście, przekazując kilkakrotnie pałeczkę swojemu synowi, Mariuszowi Debichowi. Wystąpił również solista Teatru Wielkiego w Łodzi — Roma Owsieńska oraz skrzypaczka — Magdalena Wierzbna.

I tak, zakończył się nasz skromny jubileusz. Trzydzieści lat minęło — akurat tyle, ile potrzeba, aby z oseska wyrósł w pełni dojrzały człowiek, mający już za sobą doświadczenia młodości. I my — jako zespół redakcji — poczuliśmy się nagle dojrzałsi, żeby nie powiedzieć — stateczni... Ale nie ma obawy, nie powróci się nam w głowach — czuwają przecież nad nami wierni Czytelnicy...



Nagroda dla Ryszarda Stanisławskiego



Andrzej Mikołajczyk wręcza nagrodę Ryszardowi Stanisławskiemu



Pierwsze gratulacje



Koncertowała orkiestra Polskiego Radia i Telewizji, którą dyrygował Henryk Debich



...i Mariusz Debich



Grała Magdalena Wierzbna



Śpiewała Roma Owsieńska



Zapowiadała Biruta Żyła



Przybyli też przyjaciele drukarze: Marian Anglat, Jan Mróz i Zdzisław Góndorsh



Zespół „Odgłosów” prawie w komplecie

Na kolejnym przedwyborczym zebraniu zdołałam się dość głośno, że ciągle więcej jest na tych zebraniach kandydatów na kandydatów na radnych niż wyborców. Wówczas jeden z kandydatów na kandydata, człowiek nie pozbawiony poczucia humoru, powiedział: — Przeciwnie. Przecież wszyscy jesteśmy wyborcami, a więc są tu obecni sami wyborcy. Każdy z nas będzie głosował.

I wszyscy poczuli się zadowoleni

choć — Bogiem a prawdą — powodów do zadowolenia nie było.

Etap zebrania przedwyborczego, które miały wyrażać charakter konsultacyjny — w myśl „Ordynacji wyborczej do rad narodowych” — mamy już

Wojna o Jana S.

Danie samorządom mieszkanców prawa do wysuwania swoich kandydatur spowodowało nieco zamieszania. Jeśli dodamy do tego małą znajomość „Ordynacji wyborczej do rad narodowych” i partykularny sposób widzenia roli przyszłego radnego, to trudno się dziwić, że może dojść do wojny o człowieka, którego nie ma, a miał być. Jeden z komitetów osiedlowych zgłosił znanego w tym rejonie Górnej działacza społecznego, Jana S. Człowiek już na emeryturze, ale działacz urodzony, w wieku dość zaawansowanym, bo około 80 lat, ale jeszcze z weteranem i chęcią działania. Zgłoszono go, a jak przyszło do prezentowania kandydatów na kandydatów na radnych, to Jana S. nie było pośród nich.

Na dwóch zebraniach, na

wywołało ostry i publiczny sprzeciw jego kolegi.

— Jeśli już się zdecydowałeś, to trzymaj — powiedział ten kolega dyrektor, który nie przestraszył się małej dyskryminacji dyrektorów.

Inny natomiast, powiedział: — Jeśli wam się nie podoba, to możecie mnie nie wybrać! Wcale mi na wyborze nie zależy.

To szczere wyznanie wiary wywołało szczyry sprzeciw wyborcy, który demonstracyjnie opuścił zebranie, wrzucając mi w wielkie zakłopotanie. Czy pozostając na sali będę jedyną wyborczą autorytetną, bo do nieczego nie kandydująca, czy też nie, bo siedzę tu niejako służbowo.

W PRON mi powiedziano, że w Łodzi panowała moda na kandydowanie. Ludzie zajmujący różne stanowiska chętnie godzili się kandydować, nie li-

potrafił coś zdziałać, zanim się do tego nie weźmie. Może być przecież i tak, że owa pracownica „Uniwersalu”, kiedy rozszedł się w problemach całej dzielnicy, nauczy się tego i owego, to i za owe niebezpieczne schody weźmie się inaczej. Ale, czy to tylko schody z funkcjonalną na Górnej? O sprawach handlu wiele złego można byłoby tu powiedzieć. I mam taką cichą nadzieję, że może ludzie — kiedy już będą się spotykali z kandydatami na radnych — to i o tym powiedzą słów kilka. I to słów bardzo gorzkich, bo się takie należą.

Kto podziela niechęć do cyklistów?

Ten epizod z jednego zebrań brzmi może i humorystycznie, ale przecież coś w tym jest. O toż jednym z kandydatów na kandydata na radnego na Górnej jest prezes Okręgowego Związku Kolarskiego w Łodzi i wiceprezes Polskiego Związku Kolarskiego. Właśnie przez szosy CSRS, Polski i NRD przejechali kolarze ścigając się w 41 Wyścigu Pokoju. Polacy nadzwyczajnymi sukcesami nie mogą się pochwalić. Zabrakło w naszej drużynie indywidualności. I z samym zwycięstwem coś trzeba zrobić. To może i dobrze, że Ryszard Szurkowski jest posłem na Sejm PRL, ale od tego — jak widać — mocy nie przybyło. Moc trenerkiej, oczywiście. Zresztą nie tylko na Wyścigu Pokoju kolarze jedzą nie najlepiej. Ten fakt pozwolił jednemu z wyborców zakwestionować przydatność w radzie wiceprezesa PZKol. i prezesa OZKol.

— Jakim on będzie radnym — powiedział ów wyborca — skoro nie potrafi dobrze kierować kolarzami? W Łodzi kolarstwo leży.

A ponieważ na sali był obecny krytykowany prezes, więc wstał i tak zaczął się bronić.

— Wcale nie jest prawdą, że z kolarstwem w Łodzi jest tak źle, bo to przecież z Łodzi wywodził się tacy znakomici kolarze, jak Mieczysław Nowicki, Jan Kudra i Krzysztof Sujka.

— Ba! — pomyślałam w tym miejscu — ale to było dawno. Akurat Mieczysław Nowicki zasiada przed kamerami TV i komentuje wyścig razem z Włodzimierzem Szarancowiczem.

— Poza tym — ciągnął prezes — kolarstwo jest sportem bardzo droгим. Na zagraniczny sprzęt trzeba mieć dolar, a my ich nie mamy. No i w ogóle sport u nas leży, to czemu kolarstwo miało być inne. A jeśli chodzi o mnie, to jestem nie tylko działaczem PZKol., ale również przewodniczącym komitetu osiedlowego. Na radnego też się zatem mogę przydać.

Ciekawam — pomyślałam sobie wtedy — czy ktoś jeszcze podziela niechęć do cyklistów? Ale nikt już nie chciał się wypowiadać.

Co dalej?

Zgodnie z „Ordynacją wyborczą do rad narodowych” komisje wyborcze podadzą do publicznej wiadomości listy kandydatów, którzy przeszli wstępna selekcję. Listy te nie są ostateczne. Istnieje możliwość ich zmian. Stanowi o tym Artykuł 57 „Ordynacji”, jak i Artykuł 58. Nie bez powodu o tym wspominam.

Byłam na kilku zebraniach. Gdyby teraz miała dokonać wyboru, to przyznaję zupełnie szczerze, że nie wiem, kogo bym wybrała. Tak mało wiem o kandydatach. Inni wyborcy, którzy nie zainteresowali się tą fazą kampanii wyborczej, są chyba w jeszcze gorszej sytuacji. A szkoda, bo — jak znam życie — będzie się później psoczyć na tego i owego. Była możliwość wyrażenia swojego zdania. Jest jeszcze. Trzeba tylko wziąć udział w drugiej fazie kampanii przedwyborczej.

Czekają nas spotkania z kandydatami. To ważny moment. Trzeba przede wszystkim, aby trafili oni do tych, którzy ich wysuwali. Żeby ci, którzy zgłosili kandydatów na radnych przyszli na to zebranie, aby ich popierać. Trzeba, żeby kandydaci mieli coś do powiedzenia i mieli do kogo mówić. Na co dzień bowiem tyle krzyczymy o demokracji, dopominamy się jej, walczymy o nią jesteśmy gotowi. A gdy przyjdzie do działania, to na sali stoją guste krzesła.

Wybieram się na dalsze spotkania. Mam nadzieję, wyniosę z nich lepsze wrażenia. Mam nadzieję, że nie będę jedyną autentyczną wyborczą.

Z tej ziemi

Kto wątpi, ten szuka nowych odpowiedzi

W zaufaniu swoim wydaje się nam, że oto jesteśmy pępkiem świata, że oczy wszystkich tylko na nas są skierowane, że co my zrobimy, to jest dobre i innym może służyć. Rozsyłamy więc po ludach pozdrowienia i różne wskazania, jak to inni w podziwie naszych cudowności powinni nas naśladować i brać za przykład. Nazywa się to megalomanią narodową oraz polonocentryzmem. A przecież wystarczy uważnie rozejrzeć się po świecie, aby szybko wrócić do własnych propozycji. Ale też trzeba coś o tym świecie wiedzieć.

W tym miejscu będzie mała zagadka. Proszę powiedzieć, kiedy został napisany poniższy cytat i kto jest jego autorem? A oto cytat:

„Polożenie Europy jest tego rodzaju, iż niepodobniestwem jest na przyszłość, by jakiś naród mógł w odosobnieniu od innych kroczyć po drodze postępu, jeśli nie chce sam siebie narazić na zgubę i przez to zaszkodzić sprawie ogólnej”.

Rozumiem, że nikt nie ma teraz czasu na wertowanie grubych tomów i szukanie autora powyższego cytatu. A więc odpowiadam: słowa te zostały napisane w 1849 roku, a ich autorem był... Adam Mickiewicz.

I żeby Czytelnika zupełnie zadziwił kolejny cytat tegoż samego autora, napisany w 1833 roku:

„Jakież jest teraz najpierwsze, najgłówniejsze, najżywsze życzenie ludów? Nie wahamy się powiedzieć, że jest to życzenie porozumienia się, połączenia się, zmasowania interesów, bez którego niepodobna będzie zrozumieć woli powszechnej, jak bez zwolnienia członków jakiegokolwiek cząstkowej korporacji niepodobna odgadnąć jej wyroków”.

Przypomnę tylko, gwoli ścisłości, że było to już po klęsce powstania listopadowego z 1830 roku. Bo choć Adam Mickiewicz pisał, że „w historii narodów nie się nie powtarza; nie nowego nie dzieje się po dawnemu, starymi środkami”, to przecież są jakieś zasady ogólne, prawda uniwersalna. Jak choćby rezygnacja z partykularnych interesów, grupowych, środowiskowych na rzecz interesu ogólnego. A więc podporządkowanie się interesom nadzrędnym, czyli porozumienie się co do działania wspólnego w określonym celu, dla uzyskania tego celu.

Muszę przyznać, że zaskoczył mnie fragment z wywiadu Józefa Cyrka opublikowanego w „Trybunie Ludu”. Oto ten fragment: „Są więc szanse i możliwości powstania swego rodzaju koalicji prądematorskiej, swoistego paktu antykrzyszowego. Nie są zresztą ważne nazwy, ważna jest istota sprawy, to znaczy porozumienie narodowe służące przyspieszeniu rozwoju naszego kraju, przyspieszeniu demokratyzujących nasze życie polityczne i gospodarcze zmian i reform, przyspieszeniu naszego rozwoju ekonomicznego, sprostaniu cywilizacyjnym wyzwaniom, tak by kraj nasz nie pozostał na marginesie światowych osiągnięć i procesów. Na tej płaszczyźnie dialog i porozumienie są nie tylko możliwe, ale aktualne i potrzebne”.

A zaskoczył mnie dlatego, że jest to oferta wobec części opozycji — tej przynajmniej, która nie uważa, że przyszłość Polski zależy od legalizacji działania takiej czy innej grupy. Co tu zresztą ukrywać. Prasa i radio różnych państw bębnią o tym głośno, że chodzi o legalizację nielegalnych struktur „Solidarności”. Od zarejestrowania „Solidarności wiejskiej” miał zależeć rozkwit rolnictwa. Ale nic z tego nie wyszło. Trudno mi więc uwierzyć, że od zalegalizowania jakiegokolwiek grupy nastąpi postęp w PRL i wyjdziemy wreszcie z kryzysu. Potrzebna tu jest rewolucja.

Przypomnę tylko, że rewolucję definiuje się następująco: „Proces gwałtownych zmian jakościowych, powodujących zasadnicze przekształcenie (przeurot) istniejącego stanu rzeczy lub układu stosunków i nagle przejście (skok jakościowy) z jednego stadium rozwoju na drugie”.

Tak pojmowana rewolucja nie oznacza zmiany ustroju. Zresztą powrót do kapitalizmu, co się niektórym maszy, byłby kontrrewolucją. Rewolucja może się dokonywać w ramach danego ustroju — jest nawet dla jego rozwoju niezbędna. Ale to nie jest i nie może być akt zadekretowany, nagły, uprzednio nie przygotowany przez zmiany wewnętrzne, przez narastanie sprzeczności. Jeśli ma nastąpić „przekształcenie (przeurot) istniejącego stanu rzeczy”, to chodzi przede wszystkim o zerwanie z marazmem, indolencją, biurokracją, beznadziejnością, asekurantwem, brakiem odpowiedzialności, bezczynnością i tak dalej.

Revolucja nie robi się nagle. Ludzie, którzy uświadamiają sobie konieczność dokonania zmian jakościowych, muszą dla ich dokonania znaleźć sojuszników, zmobilizować siły, określić cele i wskazać przeciwnika, czyli siły konserwatywne, które albo nie rozumieją konieczności dokonania zmian, albo nie są w ich dokonaniu zainteresowani.

„Z reformy, którą chce się załatwić w parę tygodni, czy miesięcy, nie będzie” — te słowa wyrzekł Karol Grósz, premier Węgierskiej Republiki Ludowej. Przywołam je nie bez powodu. Tym powodem jest fakt, że na Węgrzech, gdzie tak Polacy lubią podróżować, reforma trwa już 20 lat. Ba. Na Zachodzie ukuto nawet pogląd, że te 20 lat reformowania socjalizmu na Węgrzech potwierdzają tezę o „nieremowalności socjalizmu”.

„Naszym zdaniem — odpowiedział na to Karol Grósz — socjalizm daje się reformować, unowocześniać. Sam wystrzegam się tego, by usprawiedliwiać naszą osobistą nieudolność, naszą opieszałość czy lenistwo rzekomo nieremowalnością socjalizmu”.

Ba! Karol Grósz idzie dalej. Powiada: „Istnieją źle kierowane państwa socjalistyczne, ich obecna sytuacja świadczy o jakości kierownictwa, a nie o jakości całego systemu”.

I powiem, że trudno się z nim nie zgodzić. Gdy czytam teksty z dawnych lat, to uderza mnie fakt, że mimo stalinowskich zbrodni komunizm był dla środowisk intelektualnych niebywale atrakcyjny poprzez swą inność, nowość, odważę w ocenianiu zjawisk. Myśle oczywiście o latach przed II wojną światową. Iluż to wspaniałych twórców garnęło się wówczas do komunizmu. Narastał bowiem wtedy warunki dla dokonania rewolucyjnych zmian. „Kto wątpi — powiada cytowany już Karol Grósz — szuka nowych odpowiedzi”. Wtedy ludzie ich szukali.

A co dziś? Nad naszym światem zawisło widmo rewizjonizmu. Kto wątpi, kto szuka nowych odpowiedzi, ten może rychło doczekać się miana rewizjonisty. Groźne to miano! A przecież wątpienie, jako środek do szukania nowych odpowiedzi jest nam niezbędne jak tlen. Czyli potrzebny jest nam nieskerpowany rozwój myśli. Kiedyś mówiło się, że myślenie ma kolosalną przyszłość, ale to nie jest prawda. Myślenie ma tylko, terazniejszość. Po co jest nam potrzebne to myślenie? Zacytujmy jeszcze raz Adama Mickiewicza: „Przed wybuchem wulkanu dosyć jest uważać (kolor) wody w studniach, dym w szparach góry, aby przewidzieć niebezpieczeństwo; biada tym, którzy wtemczas zasiadają czytać teorię wulkanów”.

Po to właśnie jest nam potrzebne krytyczne myślenie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wszyscy jesteśmy wyborcami

Kto podziela niechęć do cyklistów?

BOGDA MADEJ

za sobą. Nic tu już się nie da zmienić, ani naprawić. Warto mimo to — tak przynajmniej myśle — podzielić się uwagami z tych zebrań, aby na następnych nie popełnić już zauważalnych błędów.

Na początek — przygotowałam zebrań. Różnie z tym było. Zdarzyło się i tak, że w drzwiach lokalu przeznaczonego na zebranie stał człowiek, przeproszał i kierował w inne miejsce. W lokalu tym była bowiem wystawa filatelistyczna. Czy tego nie wiedział „właściwy terenowy organ administracji państwowej”, który odpowiedział był za przygotowanie warunków do odbycia takiego zebrań? Ale byli i dobre przykłady, kiedy to samorząd lokalny rozniósł 350 zaproszeń na takie konsultacyjne spotkanie. Inna rzecz, że mało lud z tego zaproszenia skorzystało. Frekwencja na tych przedwyborczych zebraniach była niekiedy żenująco niska, co jednemu z kandydatów na kandydata na radnego pozwoliło wyrazić obawę o frekwencję w czasie samych wyborów.

Zebrań konsultacyjnych jeśli miały spełnić należycie swoją rolę, to powinno się na nich możliwie pełnie przedstawić kandydatów na kandydatów. Przecież kolegi wyborcy — zgodnie z „Ordynacją wyborczą do rad narodowych” — powinni „po rozpatrzeniu opinii, uwag i wniosków wyborców o proponowanych kandydatach” ustalić listy, na które będziemy później głosować, konieczne skreślając tych, których nie chcemy wybrać. A jak można takie opinie sformułować, kiedy charakterystyka kandydata ogranicza się do stwierdzenia, że jest on „lekarzem medycyny”, albo „odpowiedzialnym pracownikiem”, wspomina, że „pełni funkcję sekretarza w fabryce” i zawiera temu podobne ogólniki.

„Ordynacja wyborcza do rad narodowych” wyraźnie określa, że na zebraniu konsultacyjnym powinni być „przedstawiciele uprawnionych organizacji wysuwających kandydatów”, które w razie potrzeby udziela „dodatkowych informacji uzasadniających kandydaturę”. Kandydaci w większości znanych mi przypadków zostali pozostawieni sami sobie. Jedynie dyrektor Szpitala w Łagiewnikach — J. Warda — chodząc z kandydatką wysuniętą spośród załogi szpitala — T. Szymańską i przedstawiał ją przyszłym wyborcom. Inni ograniczyli się do wypisania nieprecyzyjnych, ogólnikowych charakterystyk. To stanowczo za mało, aby poznać człowieka, wyrobić sobie o nim jakiś taki pogląd. A przecież wyborca powinien wiedzieć, kogo wybiera. Zdarzało się niekiedy, że przekreślano nazwiska przyszłych kandydatów, że nie zawiązano ich na czas o zebrań, albo zawiadomiono o zupełnie innym niż to, na którym powinien być obecny.

których byłam powtarzało się niezmienne pytanie: — Dlaczego na liście nie ma Jana S.?

Na pierwszym zebraniu jakoś nikt nie potrafił tego dokładnie wytłumaczyć. Jan S. opowiedział o swojej działalności dla dzielnicy Górna, opowiedział o sobie, chciał nawet przedstawić listę postulatów dla przyszłych radnych, ale jedna z kandydatek na kandydatkę na radną powiedziała: — Nas to nie interesuje.

I popeniła moim zdaniem błąd, gdyż jeśli kandydowanie traktuje poważnie, to powinno ją wszystko interesować.

Sprawa z Janem S. wyjaśniła się na drugim zebraniu, kiedy ktoś wreszcie sięgnął do „Ordynacji wyborczej do rad narodowych”. I wyjaśnił, że dopuszcza ona kandydowanie w „jednym okręgu wyborczym, pod warunkiem stałego zamieszkania lub zatrudnienia na obszarze działania tej rady narodowej”. W sprawie Jana S. szło o to, że ongiś pracował na na Górnej — nawet już jako emeryt — ale teraz zaprzestał tej pracy, nie mieszka również na Górnej, a wysunął go na kandydata właśnie do rady dzielnicy Górna. Czyli wbrew założeń „Ordynacji wyborczej do rad narodowych”. Ot i cała sprawa, ale i szumu było wokół niej.

— Ale przy okazji tego szumu wyszła na jaw inna sprawa, znacznie poważniejsza, która powinna zapoczątkować — trwającą przez cały czas kampanii — dyskusję o tym,

kim ma być radny?

Zauważyłam, że na zebraniach przeważała zaawansowana dojrzałość — wyrażając się elegancko — czyli byli tam głównie emeryci. Po drugie — byli to w większości działacze samorządów lokalnych, co nadawało charakter problemowi, jeśli się takie zdarzyły, postulatami i punktem widzenia funkcji rady. Są to punkty widzenia rady jako instytucji usługowej do załatwiania spraw lokalnych. Można więc zarzucić, że na tych zebraniach, w których byłam dominował partykularny sposób pojmowania rady.

Tu i ówdzie pojawiły się zarzuty, że wśród kandydatów na kandydatów na radnych przeważają ludzie pełniący wysokie funkcje zawodowe: dyrektorzy, prezesi, kierownicy. U przyszłych wyborców zrodziła się wątpliwość, czy znając oni czas na pracę społeczną? A jeśli stana wobec dylematu, na co poświęcić czas, na pracę zawodową czy na społeczną, to wybiorą tę pierwszą. No, bo ona w końcu daje im chleb. Próbowano nawet formułować wnioski, żeby część dyrektorów skreślić już przy wstępnej selekcji, chociaż nikt nie przeciwko nim nie miał. Ot, taka sobie mała dyskryminacja dyrektorów.

Jeden nawet się jakby przestraszył i sam zrezygnował, co

cząc nawet na to, że będą wybrani. Ot, taka „zabawa”.

— Ale wróćmy do postawionego pytania: kim ma być radny? Przede wszystkim ma nie być człowiekiem od załatwiania wyłącznie spraw tego czy innego osiedla, jak to niektórzy chcieli i chcą. Jeden z osiedlowych działaczy ostro potraktował radnych, którzy mieszkają na „jego” osiedlu, że nie bywali na zebraniach samorządu. Wytknął nauczycielom, że nie garną się do pracy w miejscu zamieszkania. Domagał się podania adresów kandydatów na kandydatów na radnych, aby sprawdzić, co oni robią tam, gdzie mieszkają.

Myślę, że z takiego punktu widzenia wzięła się ta niechęć do dyrektorów, prezesów i kierowników. Czy uzasadniona? Otóż nie!

Zmienia się powoli rola rad narodowych. Są one ciągle jeszcze jakby rozdwojone: są organami państwa i radami czyli ciałami samorządowymi. Ewolucja rad powinna iść właśnie w kierunku samorządu. Ustanowienie własności komunalnej, danie radom do dyspozycji pieniędzy powinno też ewolucję ułatwiać i poszerzać. Ale żeby tak mogło być, trzeba zrezygnować z żądań, aby rady były pomocne tylko samorządom lokalnym.

— Co pan zrobił dla komitetu osiedlowego? — zapytano kandydata, który był już radnym.

— Nic. — Powiedział szczerze. — Zalałbym pewnie staruszek miejsce w Domu Opieki i uważam to za wielki wyzwanie.

Zrobiło się jakoś głupio. No bo w końcu czy radny jest do tego, aby zastępować urzędników? Pomagać ludziom powinien, ale to powinien być obowiązek każdego z nas. Czy do tego trzeba aż być radnym?

Radnym będzie coraz trudniej

bo zwiększy się zakres ich działania. Otóż radny będzie musiał podejmować decyzje — również gospodarcze — w skali całej dzielnicy, nieraz również o dużym znaczeniu dla miasta czy nawet województwa. Musi więc radny mieć sporą wiedzę o wielu sprawach, nie tylko o siedla, nie tylko o dzielnicy, ale miasta, województwa, kraju. Musi orientować się w sprawach, jakimi będzie się zajmowała jego komisja, a także rada. Będzie musiał się sporo nauczyć.

Ludzie zresztą jakby pojeśli już, w jakim to idzie kierunku, gdyż kandydaty na kandydatkę na radną, która pracuje w „Uniwersalu” jeden z przyszłych wyborców zarzucił:

— I co pani zrobi w radzie, jeśli nie potraficie tak robić u siebie, aby schodzi ruchome działy bez awarii.

Jakaś racja w tym jest. Jeśli chcesz naprawiać dzielnice, to zacznij od siebie. Jak u siebie nic nie potrafisz naprawić, to nie próbuj gdzie indziej. Ale czasem człowiek nie wie, że

nia, że w liście do premiera z 28 stycznia 1988 r. Towarzystwo wysuwa propozycję utworzenia nowego banku. Pod listem widnieje podpis przewodniczącego TWIG — Mieczysław F. Rakowski.

Prezes Rady Ministrów odpisuje niezwykle szybko, w kilka dni później, 1 lutego:

„W odpowiedzi na wniosek w sprawie utworzenia LBS SA informuję, że uznaję inicjatywę za ciekawą i godną poparcia zobowiązałem prezesa NBP Władysława Bakę do pilnego rozpatrzenia formalnych i merytorycznych aspektów zamierzenia...”

W Łodzi tymczasem nie czekała na założeń reklam. Działalność bankowa trwała. Do pierwszego, rekonwalescencyjnego spotkania z przedstawicielami 4 przedsiębiorstw dochodził za jego namową już w październiku 1987 roku. Potem spotkania mnożyła się, przybywa też chętnych do wykupienia udziałów. W marcu 1988 r. jest już kilkunastu kandydatów na udziałowców banku, deklarujących wcale niebagatelne sumy — co powoduje, że niektóre bogatsze firmy trzeba nawet powstrzymać w apetytach, żeby nie wykupiły zbyt wielu

przy ogólnie „łatwym” pieniądzu. A powinno być odwrotnie: mocny, a więc trudny pieniądz, a kredyt — łatwo dostępny. W tym właśnie chcemy się specjalizować: w krótkoterminowych, niewielkich kredytach, tak bardzo potrzebnych naszym przedsiębiorstwom dla zachowania ciągłości rozliczeń.

Obecnie ta „ciągłość rozliczeń” rwie się niczym zetała materia. Przedsiębiorstwo X zabrakło materiałów, spóźnia się z wykonaniem umowy, nie otrzymuje przez to od Y w terminie zapłaty, nie może więc z kolei zapłacić dostawcy Z, który staje w obliczu przejściowych trudności finansowych, zwleka z należnościami w stosunku do swoich kooperantów itp. itd. — powstaje łańcuch długów. Przerwać go może bank, oferujący niewielki, do szybkiej spłaty kredyt.

Wysokość kredytu może być większa lub mniejsza, w zależności od stanu rachunku bankowego przedsiębiorstwa, które ubiega się o pożyczkę. Im większe sumy „przepływają” co miesiąc przez ten rachunek, tym większa będzie wysokość udzielonego kredytu. Dodajmy, iż może być ona jeszcze większa — powiększona o sumę wykupionych akcji.

Z próżno bowiem nikt nie należy. Bankowi, aby mógł w ogóle rozpocząć działalność,

NBP. Zdaniem J. Luckiego, to właśnie łódzki bank będzie od tego, aby określać kryteria wypłacalności własnych klientów, nikt inny. W sumie, pomimo tych „potknięć”, rozmowy przebiegały zachęcająco. Czekano więc spokojnie na opinię z NBP, aby Rada Ministrów mogła podjąć ostateczną decyzję co do działalności łódzkiego banku. Czekano tym spokojnie, że polecenie wydania opinii przesłano — przypominam list premiera — „do pilnego rozpatrzenia”.

Mijały tygodnie, ze stolicy nie nadchodziły żadne wieści. Aż nagle, 12 kwietnia 1988 r. w dzień po uroczystości podpisania aktu notarialnego, prezes NBP wystąpił z protestem do ministra sprawiedliwości. Domagał się wyjaśnienia, czy zatwierdzając w łódzkim notariacie statut LBR postąpiono zgodnie z prawem. Nie wiadomo, jaką otrzymał od ministra odpowiedź, ale zapewne była ona uspokajająca, skoro zarzut o działaniach wbrew prawu nie pojawił się więcej. Na porządku dziennym stała za to inna kwestia: kryteriów, jakie nowy bank powinien spełniać, aby zadowolił dotychczasowego monopolistę. Gdy na kolejnym spotkaniu wiceprezes Zdzisław Pakula napomknął o tych kryteriach — łódzianie poprosili o ich przedstawienie. Usłyszeli, że

Nikt nie lubi płacić podatków

ze str. 1

— Najroźniej: i doradztwo, i klasyczna produkcja, i usługowo-handlowe, i budowlano-inwestycyjne. Większość oczywiście z „o.o.”, czyli ograniczoną odpowiedzialnością.

— Co w największym skrócie oznacza, iż spółka odpowiada wyłącznie do wysokości swego kapitału?

— Tak by to można określić. I biała tym, którzy o tym „drobnym” fakcie zapominają. Nie chcą tu nikogo denerwować, ani zniechęcać do zawierania ze spółkami różnych korzystnych interesów...

— Niechże pan nie przedłuża tej niepewności!

— Wcale tak nie musi się zdarzyć, ale — choć u nas jeszcze się też zdarza — nie wykształdł — lepiej przed zawarciem umowy sprawdzić w sądzie z kim też ma się do czynienia, z potencjałem czy nie, sprawdzić, czy dana spółka jest wypłacalna. Ewentualnie... A tak na marginesie: powstały już spółki, które szkółą chętnych jak zakłady... spółki. Wiemy o nich i mogę tylko dodać, że czynią to bardzo nieudolnie.

— Odniesie można by wrażenie, że Izba Skarbowa „nie lubi” spółek.

— Nic bardziej błędnego! Jest to przecież dodatkowy „grosz” dla Skarbu Państwa, gdy płacą podatki. Więc je wręcz popieramy, w duchu reformy! Niechże tylko zgłaszają obowiązki podatkowe, a my będziemy dla nich sympatyczni i łagodni!

— Zupełnie jakbym słyszał o przysłowiowym już „zielonym świetle” dla tak zwanego prywatnego sektora.

— Ależ ono świeci nadal!

— Każdy z pracujących w tym „sektorze” na poczekaniu znajduje panu tyle bzdurnych przepisów i niezłoczonych zarządzeń, że nie jest to nawet „żółte pulsujące”.

— Oni zawsze narzekają! Odruchowo! A ja nadal twierdząc, że dla uczciwych i pracowitych wciąż jest otwarta droga. A świadcy o tym najlepiej chyba stały rozwój tego prywatnego sektora. Niech pan zgodzić, ile już mamy w Łodzi i województwie prywatnych firm, w handlu, rzemiośle i usługach?

— Będę strzelał. Około dziesięciu tysięcy?

— Niestety, przegrał pan. Działają już 27.600 firm, a 1600 przybyło w 1987 roku. Rozwijają się już istniejące, otwierają nowe, nie ma więc mowy o żadnym regresie czy „czerwonym świetle”. Zawsze podkreślałem, że jest to ogromny potencjał. Niech pan weźmie pod uwagę, że według skromnych tylko szacunków, przy założeniu że każda z tych osób utrzymuje średnio dwie z najbliższych rodzin, urasta nam to w Łodzi do armii prawie stu tysięcy ludzi.

— I pewnie pan uważa, że polityka podatkowa wobec tej grupy, wobec tego sektora należy do łagodnych?

— Oczywiście, nadal tak uważam. A kto jeździ na najdroższe wycieczki zagranicę, kupuje samochody za dewizy (czytaj — bony)?

— Och, nie wszyscy jeżdżą pewnie tymi wozami i na dolarowe wycieczki, są i tacy co kłepią biedę. A przez pana jakby przemawiała zawzięta, to niskie uczucie, a coraz większe rzesze rodaków ogarniające.

— Ależ skąd!!! A niech mają i po trzy samochody, jeśli tylko zarobione uczciwie, co również oznacza płacenie stosownych podatków. A co do „kłepania biedy”: prywatna działalność to zawsze ryzyko, ale przecież nikt nikogo nie zmusza do pracy w rzemiośle. Łódzki przemysł także potrzebuje rąk do pracy i jeśli ktoś ma biedować, to niech może przemieścić do państwowego firmy? Zawsze wspomniałem tym rzemieślnikom, którzy deklarowali miserny dochód, rzędu 10—15 tysięcy złotych na rodzinę. W przemyśle, bez ryzyka zarobią minimum dwa razy tyle...

— Ale może wolą pracę „na swoim”?

— To niech nie narzekają bez przerwy! I powtarzam raz jeszcze: jeśli agent z małżonką twierdzą, że pracując po 18 godzin na dobę zarabiają 26 tysięcy złotych, to mnie żal serca ścisła, całej Izbie zresztą też. Niech jak najszybciej przejdą do sektora państwowego...

— W jednym i drugim sektorze natomiast rozpowszechniła się ostatnio złośliwa hydra zwana wśladem dewizowym. Ale tu żarty się skończyły, we wzajemnych transakcjach nikogo nie interesują bony towarowe banku PKO S.A. Tu liczy się tylko twarda waluta. Są nawet zakłady, które ponoc za sprzedaż swoich towarów czy surowców życzą sobie ów wślad w konkretnej walucie.

— Być może, że tak głęboko nie wnikamy w te tematy, choć zdaje sobie sprawę, że mimo drugiego etapu reformy są to często problemy z cyklu „nie z tej ziemi”. Druga strona może odmówić placenia częściowo, powiedzmy w markach czy dolarach, ale życie niestety, zmusi go do uwzględnienia tych życzeń.

— Zgoda, ale natychmiast rodzi się cała masa problemów praktycznych. Eksporterzy mają swe konta dewizowe i odpisy, ale skąd ma wziąć dewizy, powiedzmy plastyk kupujący

barwniki w zakładzie państwowym, który żąda owego wśladu?

— Musi mieć konto „A” w banku i z niego przeleć dewizy na konto zakładu.

— A jeśli takowego nie posiada? Pozostaje „Pewex” i kupno dewiz od cinkciarza.

— I popełnia przestępstwo dewizowe, za które może być pociągnięty do odpowiedzialności.

— Niezależnie od faktu, że rozliczony zostanie w ramach transakcji po kursie państwowym dolara, niższym niemal czterokrotnie od czarnorynkowego?

— Dla nas istnieje tylko jeden kurs, państwowy, ten z „Trybuny Ludu”. Inne — również te z „Veto” traktujemy jak wysane z palca. One nas nie interesują, we wszystkich rozliczeniach ze Skarbem Państwa tylko oficjalny kurs brany jest pod uwagę.

— To i ja mam niespodziankę: dowiedziałem się w rozmowie telefonicznej od rzemieślnika, iż od pewnego czasu w transakcjach z państwowymi zakładami nikogo nie interesuje skąd posiada on walutę, nawet jeśli w ramach wspomnianego wyżej wśladu musi wpłacić na surowiec kilkaset dolarów. Oczko za odstąpienie od opisanych przez pana reguł?

— Niewielkie i krótkotrwałe, przynajmniej takie mamy na razie wiadomości. Rozliczenia prowadzone są, jak wspominałem, wyłącznie po oficjalnym kursie, ale wyjątkowo minister finansów zezwolił właścicielom prywatnych zakładów na odprzedaż walut wymienialnych, jednostkom gospodarki uspołecznionej na pokrycie środków niezbędnych do produkcji. Ale zezwolenie obowiązywało wyłącznie do końca kwietnia 1988 roku.

— Niesamowite! To dopiero „pierleśtrojka”: rzemieślnik sprzedaje dolary państwowej firmie, której nie stać — bo tak trzeba to odczytać — na kupno surowców czy maszyn bez owej pomocy. Do końca kwietnia? A teraz możemy już wyzwać klientów w porządku alfabetycznym i rozliczać skąd wziął owe dolary, marki czy funty. Zza szafy, z pończochy czy grzeźnicy, z konta...

— Nie, nie, to jest wyjątkowa sytuacja i tak jak w kasie „Pewexu” nikt się nikogo nie pyta, skąd wziął te sto dolarów, tak i my tym razem nie będziemy się opisywać transakcjami interesowali. Ale zaznaczam — dotyczy to wpłat dokonanych do końca kwietnia.

— Teraz pytanie z innej beczki: 1988 rok miał stać pod znakiem istotnych zmian w systemie podatkowym. Tymczasem minęły cztery miesiące...

— Nie jest pan na bieżąco. A dla wielu rzemieślników zmniejszenie progresji w podatku dochodowym, aktualne od początku 1988 roku, oznaczało nawet zyski wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych. Te pieniądze zostały w kieszeni, to były jakby „działania osłonowe” dla rzemieślnika. Z ciekawych zmian warto wspomnieć jeszcze o jednej: wydłużono w niektórych grupach okres działalności bezpodatkowej, nawet do pięciu lat. Na taki okres zwolniony jest dla przykładu nowo otwarty zakład produkujący materiały budowlane.

— Zdaniem wielu reformatorów ideałem byłaby sytuacja, gdyby podatków w ogóle nie było...

— To faktycznie zdanie niektórych „prywatnych reformatorów”. Ale to nierealne, nie ma takiego kraju na świecie. Wszędzie istnieje natomiast budżet centralny, który choć jest wielkością zmienną, to jeśli z jednej strony coś się poluzuje, z drugiej trzeba „docisnąć”.

— Niemniej, w ramach reformy systemu podatkowego mówi się coraz głośniejszą propozycją wprowadzenia jednolitych płatności dla wszystkich.

— Wprowadzenie jednolitego podatku od dochodów osobistych wyeliminowałoby kilka dziesiątych istniejących — wyrównawczy, dochodowy, od wynagrodzeń. Podatek byłby jeden wspólny dla wszystkich, co oczywiście nie znaczy, że tej samej wysokości. Ten sam płaciłby z nazwy i minister i rzemieślnik ale od innej postawy wynagrodzenia. Za wcześniej jeszcze mówić o szczegółach, projekt będzie dopiero poddawany licznym konsultacjom i przedstawiony Sejmowi.

— Słyszałem też o propozycjach zmian w przepisach dotyczących ulg inwestycyjnych, a nawet ulg związanych z jakością produkowanych wyrobów.

— Są i takie opracowania w przygotowaniu, ale na precyzyjne objaśnienia zapraszam za dwa—trzy miesiące.

— Chętnie skorzystam.

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Monopolista w okopach

udziałów, aby starczyło ich także dla uboższych.

W kwietniu 1988 r. nie mając jeszcze zatwierdzonego wniosku, ani tym bardziej opinii z NBP, ale w całkowitej zgodzie z obowiązującym prawem, dochodzi do uroczystego podpisania aktu notarialnego (a więc zatwierdzenia statutu) Łódzkiego Banku Rozwoju SA. Uroczystość odbyła się 11 kwietnia 1988 r. w „Uniotextie”, który znalazł się w gronie 22 przedsiębiorstw i instytucji, podpisujących akt. W gronie tym znalazł się również Urząd Miasta Łodzi, a także m.in. „Ariadna”, „Famed”, „Fapit”, „Lexed”, „Polmo”, „Wilama” — słowem: znane łódzkie firmy. Przybył też przedstawiciel katowickiego „Hutreanu” — jednego z największych udziałowców przyszłego banku. W sumie zebrano kapitał o wysokości 367 mln zł, a skoro w kolejce stała już następna akcja, zatem użyskanie miliarda złotych nie powinno nastrozać trudności!

Tak przynajmniej myśli się w kwietniowej euforii: wywołanej pomyslnym zakończeniem pierwszego etapu starań, szybko — jak dotąd — zmierzających do utworzenia czegoś, czego przez lat kilkadziesiąt w Polsce nie było: najprawdziwszego banku, powołanego z inicjatywy „oddolnej” z najprawdziwszej, niezależnej od instytucji „wolnej” inicjatywy.

Nastroż chwilę udzieliła się nawet sekretarzowi generalnemu TWIG, Aleksandrowi M. Borowiczowi, który zauważył, iż mamy oto do czynienia z najsilniejszą, najgłębszą i najszybszą akcją założycielską, leżąca do tej pory bezczynnie. Dlatego nie można wyrażać zaprzeczających, która głosi, że prawie 2 mln zł opłaty notarialnej, jakie wspólnie zebrały i zapłaciły 22 instytucje i przedsiębiorstwa, zostały po prostu wyrzucone w błoto.

Łatwy kredyt na trudne zlotówki

W dzisiejszych zmęczonych czasach tylko naprawdę dobry pomysł może liczyć na szczerą pomoc. Dlatego tak się spodobał projekt Janusza Luckiego? Ponieważ stanowi alternatywę w stosunku do NBP. Ponieważ wpadł nań dyrektor zwycięskiego przedsiębiorstwa, jeden z setki łódzkich dyrektorów, który wie, co boli innych dyrektorów, co boli rady pracowniczej i co przeszkadza w rozwoju przedsiębiorstwa. Ponieważ — to już powód trzeci — Bank Rozwoju opiera się jedynie na prostych, czytelnych dla każdego zasadach. Będzie to — krótko mówiąc — bank komercyjny, kierujący się prawami rynku.

— NBP realizuje politykę, wynikającą ze stanu budżetu państwa — mówi J. Lucki. — Stosuje więc „trudny” kredyt,

Błędne koło

Zaczęło się w „białych rekawach”. Janusz Lucki, obecnie już prezes Łódzkiego Banku Rozwoju SA, wraca myślą do pierwszego spotkania z wiceprezesa NBP Zdzisławem Pakulą, które odbyło się 18 lutego 1988 r. w atmosferze pełnej kurtuazji i prawienia sobie przeczności i zapewnienia — że strony NBP — o pełnym poparcu dla ciekawej inicjatywy łódzkiej.

Owszem, były drobne sugestie. Poproszono na przykład o pilniejszy wykaz przedsiębiorstw (wraz z deklarowanymi przez nie sumami) zamierzających przystąpić do bankowej spółki. Szybko się jednak z tego wycofano. Mówiono też coś na temat warunków, iż korzystające z usług banku firmy powinny mieć trwałą zdolność kredytową, oczywiście w rozumieniu

kryteria nie zostały jeszcze do końca sprecyzowane...

Przesłano je do Łodzi w maju 1988 r. Większość — zapewnia J. Lucki — jest do spełnienia. Trudno natomiast pogodzić się z faktem, że kluczowy — zdaniem NBP — wymóg, dotyczący przedłożenia planów siedziby banku, skarba, zabezpieczenia elektronicznego przed włamaniem, i tym podobnych szczegółów o charakterze czysto technicznym. W ten oto sposób tworzy się od razu błędne koło: skoro nie ma opinii NBP i — w ślad za nią — decyzji Rady Ministrów, trudno uzyskać lokalizację i pomysł o zabezpieczeniu przed włamaniem. Skoro nie ma konkretnych planów siedziby banku, trudno uzyskać pozytywną opinię z NBP.

A tymczasem: — Sa już następne zgłoszenia od przedsiębiorstw — zwierza się nerwowo prezes LBR. — Udziałowcy dopytują się, kiedy wreszcie rozpoczniemy działalność. A ja? Ja czuję się bezradny. Jestem po prostu w kropce... Trudno przecież na bieżąco wszystkim tłumaczyć w jak dziwnej znaleźliśmy się sytuacji.

Sytuacja istotnie jest dziwna. Stary, szacowny Kodeks Handlowy z 1934 roku wymaga, aby w ciągu trzech miesięcy od zatwierdzenia statutu zgłosić się w Sądzie Rejonowym, w celu rejestracji spółki. Jeśli się tego nie uczyni (bo na przykład nie będzie zezwolenia na działalność) trzeba będzie spróbować od nowa, poczynając od ponownej wizyty w notariacie, wraz ze wszystkimi współzainteresowanymi. Może o to właśnie chodzi szefem NBP?

Szewowie NBP przeprowadzają teraz własną „odgórną” reformę systemu bankowego. Powstanie 9 państwowych banków kredytowych, utworzonych na bazie terenowych oddziałów NBP. W Łodzi od 1989 roku rozpocznie działalność operacyjną Powszechny Bank Gospodarczy. Może więc NBP zwleka z opinią, pragnąc zapewnić pierwszeństwo „własnemu” bankowi, by umożliwić mu łatwiejszy start? Może nawet nie zadowolili się pierwszeństwem, może w ogóle nie zamierzają dopuścić do prawdziwej, bo zupełnie nie zaplanowanej konkurencji?

Wykazuje to próba szczerości, zaplanowana przez Janusza Luckiego i towarzyszy.

ANDRZEJ
GĘBAROWSKI

Przed kilkoma miesiącami brytyjska opinia publiczna poruszona została wiadomością o próbie wprowadzenia opłat za wstęp do Muzeum Brytyjskiego i Galerii Narodowej, ponieważ rząd zmniejszył dotację na kulturę. Tak jak inna, równie bulwersująca, gdy japoński bank Nomura przekazał londyńskiej Tate Gallery 1,5 mln funtów z przeznaczeniem na budowę nowego obiektu, który otrzyma nazwę Nomura Gallery. Nowa placówka ma otworzyć podwoje już w roku 1990, a wystawiane w niej będzie w pierwszym rzędzie malarstwo XX wieku. Na wleść o tym premier Margaret Thatcher wyraziła nadzieję, że inne firmy międzynarodowe pójda w ślady japońskiego banku i wspomogą brytyjskie muzea.

Już te bodaj przykłady dowodzą, że w borykaniu się z kłopotami finansowymi muzea i galerie w Polsce nie są odosobnione. Różni nas co innego — rozumienie, widzenie i podejście do spraw muzealnictwa.

Czy wiemy, co posiadamy?

Słyszysz się często opinie — gdy mowa o kłopotach ze zbiorami narodowymi — że skoro są trudności z gromadzeniem i przechowywaniem zbiorów, po co dokonywać nowych zakupów? Nie bardziej bałamutnego. Zaniechanie zakupu bodaj jednego cennego eksponatu może być dla skarbnicy narodowej niepowetowaną stratą. Zbyt wiele ponieśliśmy strat w przeszłości, aby pozwolić sobie na nowe.

Polska od wieków nawiedzana była różnymi żywiołami wojennymi, którym zawsze towarzyszyły grabieże i to na dużą skalę. A w pierwszym rzędzie dzieł sztuki. Lupem najeźdźców — szwedzkich w czasie „potopu”, zbiorców i kolejnych najeźdźców w czasie I i II wojny światowej — zawsze padały kolekcje królewskie, magnackie, kościelne, należące niegdyś do jednych z najbogatszych w świecie. Rzemioł grabieży dotknęły nasz kraj w stopniu, jakiego nie doświadczył żaden inny w Europie.

Po wojnie zaczęliśmy po raz kolejny od odbudowy, wygrzebywania z gruzów, z ukrycia tego, czegośmy się przez wieki dorobili, od reindykacji dzieł zagrabionych, aby po latach dojść do obecnego stanu posiadania: 530 muzeów w Polsce, w których znajduje się 9.340 tys. zabytków ruchomych i innych dóbr kultury. Dużo to czy mało? Faktem jest, że nasze zasoby muzealne są o połowę mniejsze od tego, co posiada jeden tylko „Ermitaż”...

Każdego roku zbioru narodowe powiększane są o nowe zakupy bądź darowizny. Tylko w 1986 roku powiększyły się o 300 tys. pozycji, przy czym 65 tys. (ok. 20 proc.) stanowiły nowe zakupy. Jakiego rodzaju są to zbiory? Otóż dzieła sztuki stanowią w nich zaledwie 16 proc., 25 proc. to zbiory archeologiczne, zaś 43 proc. — z dziedziny etnografii, historii, przyrody i techniki.

I jeszcze kilka istotnych szczegółów do tego obrazu: ok. 200 tys. zbiorów stanowią depozyty. Zaledwie 30 proc. muzealiozów z ostatnich lat pochodzi z zakupów, większość z depozytów i darowizn.

Taki jest stan posiadania naszego muzealnictwa. Czy jednak wiemy, co posiadamy?

Słyszałem o głośnym skarbie, o odzyskaniu którego zabiegaliśmy latami, a gdy wreszcie powrócił do kraju i z hukiem ufetowaliśmy ten zwycięski fakt, cenny skarb zawędrował do przepastnych zakamarków jednego z muzeów, by po jakimś czasie trafić do drugiego, gdzie spoczywa do tej pory nie spisany...

Nawet za sto lat?

Na grudniowym posiedzeniu Sejmowej Komisji Kultury, pod przewodnictwem p. Piotra Stefańskiego, debatowano nad stanem naszego muzealnictwa i gospodarki muzealiami. Z zaprezentowanej na posiedzeniu sytuacji wynika, iż 90 proc. zbiorów muzealnych zgromadzonych jest w muzeach państwowych, głównie w dużych ośrodkach w kraju. Z tego 7,5 mln jest... zinventaryzowanych. A co z blisko 2 mln zabytków zalegających w przepięknych magazynach?

Jak stwierdziła Krystyna Marszałek-Mińska, wiceminister kultury i sztuki, przy obecnych zasadach dokumentacji wszystkich eksponatów „nie zostanie zakończona nawet za 100 lat”. Stąd starania ministerstwa, aby wprowadzić elektroniczny system dokumentacji, system stosowany i sprawdzony w wielu krajach...

Najważniejsze zadanie, jakie stoi przed muzealnikami to gromadzenie, ewidencjonowanie i opracowywanie zbiorów oraz ich udostępnianie. I to nie tylko we własnych pomieszczeniach. Na udostępnianie zbiorów, także innym krajom, robi się dziś w świecie wcale dobre interesy. Lecz czynią to ci, którzy wiedzą, co posiadają, posługujący się nowoczesną techniką dokumentacji, a w ślad za tym — doskonałymi wydmawkami stanowiącymi istotny składnik promocyjny.

Pod tym względem uczyniliśmy przez lata ledwie jeden krok od... zarywania i jak dawniej, tak i dziś przytłaczają nas inne kłopoty. Z powodu niedostatku powierzchni w magazynach, np. warunki w jakich przechowuje się dzieła sztuki w niektórych, nawet pierwszych w kraju, muzeach, przypominają — jak to ktoś już powiedział — „bardziej punkty skupu surowców wtórnych niż miejsce, gdzie spoczywają dzieła sztuki”. Czyż w tych warunkach można mówić o konserwacji? Jeden z postów potwierdził to, zwracając uwagę, że znakomita większość zbiorów „leżakuje” w magazynach bardzo często w warunkach zagrażających ich trwałości.

Przeciętny zjadacz chleba żywotność placówki muzealnej ocenia na podstawie udostępnianych zbiorów. W trasie wyznaczanej dla zwiedzających ekspozycje widzi główny nurt życia muzeum, a z panującej wokół ciszy wnosi, że pozostałe pomieszczenia są martwe. Tymczasem w tych niedostępnych pomieszczeniach wre najważniejsza, prawdziwie mroźna praca — tam, gdzie prowadzi się prace dokumentacyjne, badawcze, konserwatorskie. W wielu czołowych placówkach muzealnych świata — że wspomnę muzea Londynu czy Paryża — właśnie w pomieszczeniach magazynowych udostępnia się zbiory pracownikom nauki, studentom, by mogli je poznać, prowadzić badania. W naszych warunkach jest to niemożliwe.

Brak powierzchni magazynowych, wystawianych to jeden z największych kłopotów, z

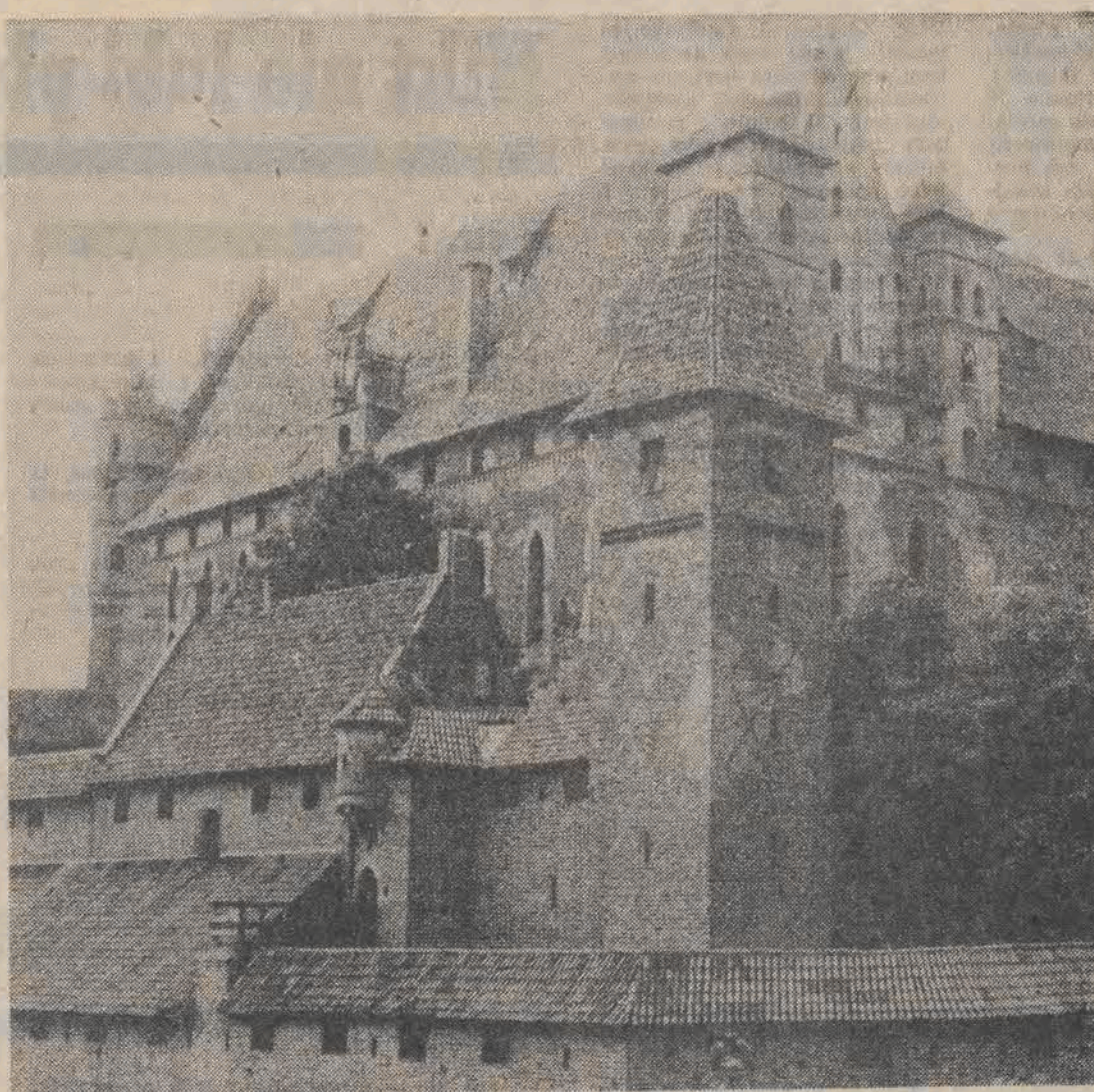


Foto: Grzegorz Galasiński

Czy dojdzie do tego, że będziemy mogli nie ruszając się z domu oglądać kolekcje najwspanialszych muzeów świata?

Skarby zamknięte w muzealnych piwnicach

MARIAN ZDROJEWSKI

jakim borykają się nasi muzealnicy. Tak jak i „brak odpowiednich specjalistów oraz materiałów konserwatorskich”, choć skądinąd wiadomo, ilu to naszych cenionych w świecie specjalistów i gdzie ratuje zbioru światowego dziedzictwa przed zniszczeniem.

Rzecz charakterystyczna: w innej (zwanej także kulturą) dziedzinie — sporcie, np. przy transferach zawodników, kluby, jak słychać, pozyskują sprzęt i urządzenia. W muzealnictwie nie możemy zdobyć się na pozyskanie bodaj takiego defensora do nawilżania powietrza, który zastąpiłby wilgotne smatki rozkładane na kaloryferach. A może i muzea są w stanie prowadzić normalną gospodarkę zbiorami, gdyby nie były krępowane nieżyłymi, biurokratycznymi przepisami?

Takim przykładem posłużył się swego czasu dyrektor łódzkiego Muzeum Sztuki, Ryszard Stanisławski, który stwierdził, że jego placówka zdolna jest zarabiać dewizę, lecz nie może (mimo że to jest dozwolone), bo nie może otworzyć konta dewizowego!

„Deglomeracja” zbiorów

Brak powierzchni ekspozycyjnych, magazynowych, konserwatorskich i środków konserwacyjnych — potrzeby, potrzeby, potrzeby. A co z systemami zabezpieczania zbiorów przed włamaniem, kradzieżą? W dzisiejszych czasach — czasach dobrze zorganizowanych, międzynarodowych gangów specjalizujących się w kradzieżach i przemycie dzieł sztuki — dobry system zabezpieczający zbiory to problem najistotniejszy. Dowiodły tego ostatnie, liczne kradzieże i zbrodnicze zachowania wandalów, w wyniku których utraciliśmy bezpowrotnie bezcenne skarby. Tymczasem dobre urządzenia zabezpieczające są drogie i niedostępne dla przeciętnych placówek. Zakupione za granicą instalacje ochronne znalazły już co prawda zastosowanie na Wawelu i na Zamku Królewskim, lecz inne placówki na to nie stać.

Udostępnianie zbiorów to kwestia ważna na równi z ich pozyskiwaniem i przechowywaniem. Co roku nasze muzea zwiedza ponad 20 mln osób. Jednakże udostępnia się zaledwie 8 proc. zbiorów! Reszta eksponatów spoczywa w magazynach i nie ogląda światła dziennego. Za granicą wskaźnik udostępnienia zbiorów sięga 10-12 proc. I znów: warunkiem zwiększenia dostępności są możliwości ekspozycyjne — powierzchnia wystawiennicza, jaką posiada muzeum, stan dokumentacji i opracowania zbiorów, wreszcie obsługa i system zabezpieczenia eksponatów. Zwiększenie dostępności wiąże się także — jak stwierdziła Krystyna Marszałek-Mińska — „z koniecznością poprawy ich technicznego wyposażenia. Chodzi m. in. o zastąpienie przewodników... magnetofonami”. Czyżby na wszelkie niedostatki naszego muzealnictwa, na zwiększenie liczby zwiedzających, jedynym panaceum miał być magnetofon?

Badania przeprowadzone wśród młodzieży szkolnej zwiedzającej jedno z nowo otwartych muzeów w Polsce wskazują, że młodzież — a więc ta część społeczeństwa, do którego winniśmy w pierwszym rzędzie adresować niektóre ekspozycje! — traktuje wizytę w muzeum jako zło konieczne.

wego. Oświaty, w perspektywie — Prasy i Literatury. Są to placówki, które w ostatnich latach zapisały się wieloma ambitnymi i znakomitymi ekspozycjami, że przypomnę nagrodzoną wystawę obrazów, grafik i rysunków Jankiela Adlera z 1986 roku zorganizowaną przez Muzeum Sztuki; ekspozycje, również nagrodzoną, w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego pt. „Warunki bytowe łódzkiej klasy robotniczej”, względnie doskonale zaaranżowaną wystawę pt. „Kodeks orderowy na co dzień”, jaką zorganizowało Muzeum Historii Miasta Łodzi itd., itp.

Niestety, warunki w jakich egzystują łódzkie placówki muzealne nie odbiegają od krajowego obrazu. Trudności lokalowe, brak powierzchni magazynowych i ekspozycyjnych, które ledwo wystarczają na niewielkie czasowe wystawy uniemożliwiają organizację dużych, międzynarodowych imprez (z wyjątkiem Muzeum Włókiennictwa). Nawet urządzenie wystawy stałej, z własnych zbiorów, napotyka na olbrzymie trudności. Z tych m.in. powodów na 315 tys. eksponatów znajdujących się w magazynach łódzkich muzeów zdołano udostępnić w poprzednim roku tylko 11 tys., co stanowi... 3,3 proc. zbiorów! Z tego na Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne przypada ok. 4 proc., Muzeum Sztuki — ok. 4,5 proc., podobnie jak i na Muzeum Włókiennictwa, natomiast na Muzeum Historii Miasta Łodzi tylko 1,5 proc.!

W tej sytuacji jedynie słusznym rozwiązaniem, jakie podjęto w Łodzi (dodajmy, że takie właśnie, dopiero teraz, zasugerowała innym województwom Sejmowa Komisja Kultury), jest udostępnienie w mieście zabytkowych budowli na potrzeby muzeów. Dzięki temu w osmą obiektach prowadzi się obecnie prace remontowe. W dawnym pałacu Grohmana na potrzeby Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, w dawnym zespole pałacowo-ogrodowym Herbsta — na potrzeby Muzeum Sztuki, podobnie jak remontowany budynek przy ul. Piotrkowskiej 98. W dawnym pałacu Karola Scheiblera urządziła się Centralne Muzeum Kinematografii, w pałacu przy ul. Gdańskiej — Muzeum Ruchu Młodzieżowego, zaś w Pabianicach, przy ul. Piotra Skargi, zespół budynków remontuje się dla potrzeb tamtejszego Muzeum im. B. i J. Nawrockich.

Wiadomo jednak, że wszystko to, co się robi w Łodzi, czy też w kraju w ogóle, nie rozwiąże nabywanych problemów muzealnictwa, które narastały całymi latami (przecież po wojnie nie wybudowaliśmy w kraju ani jednego nowego obiektu muzealnego, z wyjątkiem odtworzonych ze zniszczeń). A co dalej?

Owszem, powstał resortowy program rozwoju muzealnictwa w Polsce. Zawiera on kilka interesujących pomysłów, m. in. wypracowanie pewnej specjalizacji muzeów, stworzenie w kraju 12 regionów kulturowych, bez podziału na województwa i dalszy rozwój np. skansenów oparty o regiony kulturowe, a nie administracyjne.

Argumentując potrzebę specjalizacji muzeów poseł Witold Hensel powiedział:

— Przed kilku laty odwiedziłem Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi i byłem zaskoczony tym, że mogłem obejrzeć wiele eksponatów z regionu łódzkiego, ale nie widziałem ani jednego eksponatu z regionu łódzkiego.

Skrócić dystans

Czy zaprezentowany program, bądź doraźne środki, jakie są podejmowane zaistniałą sprawę? Wydaje się, że nie. Świat poszedł daleko do przodu i ciągle dystansuje nas. Rzecz więc sprowadza się do skrócenia dystansu. Czy jednak jesteśmy w stanie go skrócić?

Gdy rozmawia się z muzealnikami o wielkim doświadczeniu, każdy z nich ma własną receptę na udzielenie pomocy. Każda z tych recept zasada się najczęściej na dużych pieniądze i to nierzadko w twardej walucie, której — jak łatwo przewidzieć — nie będzie w nadmiarze. Dlatego też racjonalne i rozumne gospodarowanie posiadanymi środkami — to pierwszy z najważniejszych warunków prowadzących do udzielenia pomocy.

W 1988 r., podobnie jak w 1984, z Krajowego Funduszu Rozwoju Kultury na ochronę dóbr kultury i muzealnictwo przypadnie 14,6 proc. pieniędzy. Gdy przyjdzie więc nim gospodarować, wybierać między tym, co najbliższe, a tym, co konieczne, nie wolno gubić z pola widzenia pewnych tendencji, jakie np. pojawiły się w muzealnictwie światowym, które zdają się mieć wielką przyszłość. A pojawiły się pomysły rewelacyjne, mogące zrewolucjonizować nie tylko sposoby gromadzenia, lecz i upowszechniania zbiorów w społecznym obiegu, na które, kto wie, czy nie byłoby nas stać.

O jednym z nich doniosła niedawno prasa włoska. Może on niezadługo umożliwić zwiedzanie najszlachetniejszych galerii i muzeów świata bez potrzeby wychodzenia z... domu. Włoscy inżynierowie opracowali bowiem specjalny model wideokasety zawierającej zapis całej ekspozycji muzealnej. W odróżnieniu od tradycyjnego systemu wideo, nowy typ kasety umożliwia wybranie dowolnej trasy zwiedzania, zaproponowanej za pomocą komputera. Można „zatrzymać się” przy wybranym obrazie, a nawet oglądać jego powiększone fragmenty. Równoległe z zapisem wideo poszczególnych dzieł sztuki, przekazywana jest szczegółowa informacja o obrazach i artystach. Nowy system wideo umożliwia uzyskanie dodatkowych danych, stwarzając pełne złudzenie chodzenia po salach muzealnych. Za każdym razem można zmieniać program: opuszczać pewne eksponaty, a inne oglądać kilkakrotnie. Daje on nieograniczone możliwości popularyzacji dzieł sztuki. Na początek opracowano w ten sposób jedną z mniejszych galerii sztuki w Rzymie, zawierającą dzieła artystów z XIV-XVII wieku.

Zamiast więc skupiać uwagę na zarywkach, miast zadawać pytania, na które odpowiedzieć może nawet laik, baczmy pilnie na to, co nowego przynosi światu każdy dzień. Może tam znajdziemy sposób na kłopoty polskiej skarbnicy narodowej?

Nie czekano na decyzje

Jak na tym tle przedstawiają się łódzkie muzea? Zaczniemy od tego, że mamy w Łodzi kilka placówek znakomitych i znaczących, także w skali międzynarodowej, że wspomnę Muzeum Sztuki jedno z pierwszych, jakie powstało na świecie muzeów sztuki nowoczesnej. Mamy Centralne Muzeum Włókiennictwa, Centralne Muzeum Kinematografii — placówkę w stadium organizacji, lecz już o wielkim znaczeniu i jeszcze większych perspektywach. Mamy Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego z bogatymi zbiorami (nawet rysunku i karyktur z wczesnych lat XX wieku); mamy wreszcie Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. Muzeum Historii Miasta Łodzi, Ruchu Młodzieżowego.

Wkrótce pierwszy poród

Tekst: DARIUSZ DOROŻYŃSKI, zdjęcia: GRZEGORZ GALASIŃSKI



Mówią o nim krótko: pomnik... Bo też będzie to pomnik — oby nie pierwszy i ostatni — naszych pragnień, ambicji i realnych możliwości. Pomnik-Szpital. Szpital, jakiego i w wielu krajach Europy nie uświadczysz: nowoczesny kompleks położniczo-ginekologiczno-pediatryczny. Specjalistyczne medyczne „miasteczko”, położone na 30 prawie hektarach, z poborem prądu, wody, ciepła większym od niejednego gigantycznego osiedla mieszkaniowego, gdzie przychodzić będzie codziennie na świat tyle maluchów, co w 250-tysięcznym mieście.

To także wysiłek kilkudziesięciu przedsiębiorstw, to między innymi 110 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, 3 kilometry obwodnicy wokół, 10 oryginalnych domów dla personelu, to ponad 600 metrów specjalnych, dwukierunkowych kanałów transportowych i drugie tyle instalacyjnych. A patrząc okiem medyka: dwa pawilony szpitalne czyli ginekologia i położnictwo, o-

raz osobno usytuowana pediatryka, kilkanaście specjalistycznych oddziałów, ponad 1000 łóżek (w tym aż 700 dla noworodków) dla pacjentów i 3200 „opiekunów” ze służby zdrowia. Ten szpital dysponował będzie unikalną do tej pory w kraju aparaturą ultrasonograficzną, rentgenowską, bardzo nowoczesnie wyposażoną salą operacyjną, działem centralnej sterylizacji, stacją dezynfekcji sprzętu. Komputeryzacja, jasne, przestronne pokoje, a także własna telewizja z „kreskówkami” dla dzieci.

Gigantyczna, heroiczna wręcz praca wszystkich bez wyjątku, którzy stworzyli Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Matki Polki zbliża się ku końcowi. Teraz czekamy już na pierwszy poród...



Mówi: Elżbieta Poniatońska

— Zmieniła się pani bardzo na małym ekranie: nowa fryzura, odmienny sposób ubierania. W pracy spikerki telewizyjnej to ważne atrybuty.

— Najtrudniej jest samemu zauważyć zmianę w sobie. Ale w miarę możliwości staram się iść z prądem mody obowiązującym w danym czasie. Nie jest to jednak najważniejsza sprawa w moim życiu.

— Zauważyłem, że jest pani niespokojna. Czego pani się boi?

— Będąc własnością publiczną trzeba o tym pamiętać. Jestem troszeczkę speszona. Estetyka jest bardzo ważna. We wszystkim.

— Kto pomaga spikerkom telewizyjnym?

— Wszystko jest bez zmian, czyli nikt się tym nie zajmuje. Usamodzielniał nas wieloletni staż pracy.

— Kto was ubiera, kto to finansuje?

— Ubieramy się same i za własne pieniądze.

— Ile szaf stoi w pani domu?

— To tylko pozornie tak wygląda, że na każdym dyżurze jestem inaczej ubrana. Bardzo często używam tych samych strojów, uzupełniając je różnymi dodatkami i dlatego wydaje się, że wciąż mam coś nowego. Jeżeli chodzi o mnie to bardzo często korzystam z ubiorów łódzkiej „Wólcanki”, szczecińskiej „Dany” i warszawskiej „Mody Polskiej”. Przeważnie są to bluzeczki, rzadziej kostiumy czy suknie. Skromne, niedrogie, ale ładne, spokojne, odpowiednie na daną okazję.

— Czy zdarzyło się pani, że była źle oświetlona?

— Bardzo często i boleję nad tym.

— Czy zdarzały się pomyłki w zapowiedziach?

— Parokrotnie.

— Wgł pani czytać czy mówić z pamięci?

— Staram się tego nie dzielić. Dłuższe i szczególne informacje o danym programie czytam, krótkie — zapowiadam.

— Co od początku zmieniło się w sposobie spikerskiego podawania tekstu?

— Mogę powiedzieć o pierwszym programie TV. Otóż tu nic się nie zmieniło.

— I dlatego wciąż pozostajecie zatwardziałymi tradycjonalistkami?

— W światowych telewizjach przebiega to podobnie. Kolejne programy mają wprowadzić nową formę zapowiedzi dla prezenterów. Póki co, wiem jedno, że konkurencję trzeba bardzo szanować i czuwać nad sobą.

— Czy ogląda pani, starsze i młodsze koleżanki podczas ich dyżurów na małym ekranie?

— Nie ma starszych, nie ma też młodszych. Wszystkie jesteśmy w tym samym wieku. Obserwujemy siebie wzajemnie, uczymy się na swoich błędach i korzystamy z doświadczeń.

— Czy znacie się prywatnie, przyjaźnicie?

— Nie znamy się, bo wciąż się rozmiłujemy ze sobą. Nasze spotkania są kilkuminutowe. Na dłuższe spotykamy się sporadycznie.

— Podczas gdy dla większości spikerów ich zawód jest jedyną profesją, dla pani jest drugą?

— Tak. Z wykształcenia jestem śpiewaczką. Ukończyłam studia na w dziedzinie opery Akademii Muzycznej w Warszawie w klasie słynnego profesora Wiktora Bregy. Obie profesje kocham jednakowo, one uzupełniają się nawzajem i inspirowa.

— Ale o śpiewaczej karierze Elżbiety Poniatońskiej jest coraz ciszej?

— Życie śpiewaczki jest krótkie. Czego nie zrobiłam 10 lat temu, już dzisiaj nie zrobię. Ale sądzę, że jakiś marny ślad zostawię po sobie. Żałuję, że tak mało, ale jednocześnie cieszę się, że chociaż tyle. Uważam, że i tak otrzymałam od życia bardzo wiele.

— Jak zaczynała pani śpiewać?

— Miałam 15 lat, pobierałam nauki w podstawowej i średniej szkole muzycznej w Olsztynie. Pierwsze kroki na scenie stawiałam w Zespole Pieśni i Tańca „Olsztyn”. Byłam solistką, w repertuarze miałam piosenkę „Gdybym ty ja miała skrzydełka jak gąska”.

— Była pani jedną z czołowych gwiazd Operetki Warszawskiej, czy nie chciałaby pani wrócić na scenę teatralną?

— Już nie, chociaż kilka lat temu myślałam o tym.

— Gdzie teraz pani śpiewa?

— Bardzo dużo koncertuję na terenie kraju, zarówno na najmniejszych jak i na największych scenach.

— Twierdzi, że stać rania jak mało która z naszych śpiewaczek na wykonywanie prawie każdego typu repertuaru. Tylko że pani tych możliwości wcale nie wykorzystuje?

— To prawda. Przyczyna tkwi w ogromnej ilości obowiązków, które nie pozwalają mi na zajęcie się tylko i wyłącznie sprawami wokalnymi.

— Kto pomaga pani w domu?

— Kuzynka.

— Jest również dorastający syn.

— Moim marzeniem jest, żeby wreszcie zechciał posłuchać moich rad i skorzystać z nich.

— Na pewno odczuwa pani brak męża?

— Bardzo mi go brakuje i boję się, że już nikt go nie zastąpi.

— Hobby?

— Szybka jazda samochodem.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI



Miniatury

JACEK MACIASZEK

Krawcy

Król wcale nie jest nagi. Jeśli paradyje nago, pokazując swoje królewskie genitalia, sieje zgorzenie, przedzie czy później wypadnie w ręce własnej policji, domowych psychiatrów, a w końcu w obrotne ręce krawców.

Krawcy są skorumpowani. Na usługach świętego przymierza, związani świętą tajemnicą. Dowożeni w malych bryczkach do pałacu, zawożeni po północy, mają za zadanie zakryć, zasłonić... i milczeć.

Ale są tak gorliwi, że sami pozbawiają się swoich języków ciężkimi krawieckimi nożycami. W gospodzie, wśród wesołej kompanii, przy kielichu ich języki odrastają jak kwiaty, a jakże...

Już władają językiem, już mówią co ich oczy widziały, łamiąc przysięgę...

Ale na szczęście, co druga osoba to szpicel, maż zaufania, lub w najgorszym wypadku porządny obywatel.

Zabierają krawca. Trafia na galery. Wraca, jest głodny. Kradnie bochenek chleba. Kończy na szubienicy.

I dlatego ciągle brakuje nam krawców.

Półka z książkami

SZCZURY TOBRUKU

Czas ostatniej wojny nie opuszcza ludzkiej pamięci. Pojawiają się książki beletrystyczne, pamiętniki, opracowania naukowe. Sądzę więc, że książka Witolda Biegańskiego „Szczurami Tobruku” (ich zwano) oparta na dokumentach, znajdzie czytelników, bowiem autor z drobiazgową dokładnością przedstawił w niej dzieło Brygady Strzelców Karpackich. Jest to lektura także interesująca, co zmuszając do głębszych refleksji nad dziejami polskiego oręża. Całość została bogato zilustrowana fotografiami oraz wykreśłami obrazującymi przebieg obrony Tobruku.

Witold Biegański: „Szczurami Tobruku” (ich zwano). LSW 1988. Stron 252. Cena 450 zł.

JESZCZE RAZ O SZTAUDYNGERZE

Córka Jana Izidora Sztandyngera po „Chwalicie” wydała kolejną książkę wspomnieniową o swoim ojcu. Tym razem jest to owość o tym, jak powstawały, jak rodziły się tzw. fraszki w „Burzyliwie porze”. Osiemnaście książek jest tymi fraszkami naspikowanymi. Są tu znane dwuwersze, ale i są takie, które po raz pierwszy dostąpiły druku. Przytoczę parę: „Oto zasady mojej diety. Naraz najwyżej dwie kobiety...”. „Kiedy kobietę w własne łóżko złóżę. Spokojnie leżem. że nie cudzołóże”. „Jedni są wiecznie młodzi, drudzy wiecznie starzy. To kwestia charakteru, a nie kalendarzy”.

Anna Sztandynger-Kaliszewska: Fraszki z rękawa. KAW w Łodzi 1987. Str. 100. Cena 120 zł.

„PISMA” PIĘTAKA

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza konsekwentnie kontynuuje wydawanie dorobku literackiego Stanisława Piętaka. Ostatnio ukazał się w tej edycji tom płyt zawierający utwory prozatorskie: „Burzyliwa pora”, „Bliski kraj” i „Plamę”. Są to — jak napisano w posłowie — teksty o zakroju powieściowym i powstały w różnych latach, a więc dzieła nie tylko doświadczenia pisarskiego Piętaka, ale i jego doświadczenia społeczne. W sumie, zebrane w omawianym tomie utwory, są dość rozległą panoramą losów wsi polskiej od czasów przedwojennych do pierwszych lat Polski Ludowej.

Stanisław Pięta: Pisma, LSW 1988. Str. 478. Cena 800 zł.

Opracował: E. IW.

W czasie gdy „Odgłosy” kończyły druk w edycjach „Matni”, ta trzecia po „Inkarnacji” i „Uplorze” powieść Leonarda stawiała się najbardziej poszukiwaną książką majowych kłemaszów. Wydana w nakładzie 100 tys. egzemplarzy zmieniła w księgarni w ciągu kilku dni. Mimo iż autor udzielił kilku wywiadów — także w telewizji — wciąż otacza go aura tajemnicy (Leonard to pisarski pseudonim) i rozmaitych, mniej lub bardziej sensacyjnych domysłów. Ale przecież nie to decyduje o popularności jego książek, a rzadka umiejętność opowiadania fascynujących fabuł, w których quasi-dokumentarne historie przybrały charakter wiarygodnych i wielce prawdopodobnych zdarzeń. To połączenie fikcji i literackiego

Kolejny bestseller Leonarda

zmyslenia z faktami znanymi z dzieł najnowszych wydaje się pomysłem banalnie prostym. Jednak o ostatecznym sukcesie zadecydował sposób wykonania tego pomysłu.

Czy „Matnia” powieści tamte sukcesy? Run na księgarnie zdaje się to potwierdzać. Także liczne listy do redakcji „Odgłosów” z zapytaniami, kiedy ukaże się wydanie książkowe. Jakże są rzeczywiste opinie czytelników trudno w tej chwili dociec. Poprzednie fabuły Leonarda rozgrywały się na panoramicznym tle wydarzeń II wojny światowej, o czym czytelnicy wciąż jeszcze chętnie czytają. Ostatnia powieść przenosi swoją tematykę w czasy nam bliższe, można nawet rzec — współczesne, bo wciąż jeszcze żywotne — na najrozmaitsze sposoby — w literaturze i kinie, zwłaszcza amerykańskim. Opowiada mianowicie o losach żołnierzy USA, którzy w pro-

teście przeciwko wojnie w Wietnamie dezertują z armii i wylakają się w bezludne działy amerykańskich służb specjalnych. Nie będą straszali „Matni”, bo i nie ma takiej potrzeby w tej recenzji. Ale i tak dlatego, iż byłym w powojennym kłopotcie (do tej sprawy jeszcze wrócę).

Książka oparta jest jakby na pomysły znalezionego maszynopisu. Opowiada ją — to znaczy: pisze — główny bohater, młody Amerykanin, pracownik CIA, który oto postanawia zerwać ze swoją przeszłością i zdemaskować metody działania swoich byłych pracodawców. Stąd pierwszoosobowa narracja tej powieści i jednoperspektywiczność opisywanych wydarzeń. Zamyśl to nie-

nowy, sprawdzony i, wydawałoby się, nietrudny w realizacji. Jednak musi być konsekwentny.

W momencie, gdy po przeczytaniu pierwszych rozdziałów akceptujemy tę konwencję, okazuje się, iż Leonard wprowadza w świat swojej książki narratora wszechwiedzącego z całym dobrodziejstwem powieściowego inwentarza. I teraz fabuła rozwija się w dwóch równoległych nurtach: raz czytelnik prowadzony jest przez Andrew C. Skale, głównego bohatera i autora autobiograficznego manuskryptu, a raz przez wszechwiedzącego narratora z zewnątrz.

I tę konwencję jesteśmy gotowi zaakceptować, tym bardziej iż wzmagają dramatyczne napięcie między wiedzą bohatera i wiedzą — o wiele pełniejszą — czytelnika. Ale i w tym rygorze Leonardowi jest przychylny i — nierzadko — zaczyna go ponosić temperament. Właśnie więc w

opowieści Skale całe perory spoza norm powieści, przedziwne sensacyjne powieści akcji, która musi się rządzić żelaznymi regułami. Myślę tu o zgoła publicystycznych, żeby nie rzec — gazetowo-perswazyjnych — fragmentach, jak choćby ten na s. 14 o „nowych wzorach taktyki, propagandy i pieniędzy”. Myślę tu o dość pośpiesznej i powierzchownej moralistycznej antywojennej etc.

Obco też brzmią w tej powieści różne wstawki zakłócające tok fabularny, a przynajmniej zbędne informacje, a to o kamieniach szlachetnych, a to o tym, czego geniuszem był Kopernik albo Szekspir itp.

Ten gatunek powieści powinien mieć klarowny, przeczysty język. A w „Matni” często, gęsto czytelnik natyka się na zdania jako to — wywołane na chybił-trafił: „Trzeba było palca przeznaczenia, aby na przedpolu do raju...”. W innych miejscach znowu zbyt wiele zdań liczmanów i zwrotów startych do szczytu, „gustownie urządzonych saloników”, stół ugnął się pod ciężarem trunków”, „rosłych blondyn” i „dyszczących oburzeniem”.

Nadmiar zadań, jakie nałożył na „Matnię” Leonard (patrz słowo „Od autora” rozpoczynające tekst książki) zagmatwał jej idee i wątki fabularne. Bronię się więc przed streszczeniem, bo przecież matnia, w której znalazł się bohater staje się matnią dla czytelnika, który dobraćwszy do końca książki przestaje wierzyć w jej finałne rozwiązanie.

Mimo tych ocen będę czekał, podobnie jak setki tysięcy innych czytelników, na następne powieści Leonarda, które zdają się kreować polską wersję gatunku nazywanego political fiction. Gatunku, który pod sprawnym piórem tego autora przybiera właściwości literatury z prawdziwego zdarzenia.

WIT ZAKROTA

Pestki dyni

Niemal wszystkie, mniej lub bardziej cywilizowane państwa, nałogami stoja. Jeśli nie jest tak do końca, to w każdym razie może być na użytek tego felietonu, prawda bowiem nie leży zbyt daleko.

Już na trybunach rzymskich cyrków, na arenach, na których odbywały się walki gladiatorów i wysocy rydwanów, funkcjonowali starożytni bukmacherzy zmuszani odpalać niemającą dół cesarzowi na różne cele jak utrzymywanie amfiteatrów, szkół gladiatorów czy budowę kanalizacji, term, akweduktów... Paru jeno cesarzy chowało pieniądze do własnej kieszeni, ale ci nie utrzymali się długo. W 1767 Ludwik XVI rozpoczął budowę Szkoły Wojskowej za pieniądze z loterii, której pomysł podsunął mu ponoć sam Casanova... Wiek później, z tych samych źródeł czerpali pieniądze Amerykanie na budowę dróg i uniwersytetów... Dzisiaj władze Nowego Jorku biorą środki na kulturę i oświatę też stamtąd. Loteria, totalizator, wysięgi konne — to nie innego jak hazard.

Napoleon odespół z Talleyrandem, czerpał ogromne zyski nakładając wysokie podatki na planatorów, handlarzy i palaczy tytoniu, zezwalając jednocześnie uprawiać, sprzedawać i palić tenże... A już wtedy zdawano sobie sprawę, że pasyudne to zielsko, ale że świetna „przyszłość”.

Alkohol jest wysoko opodatkowany, niemal wszędzie na świecie. Produkują go się i sprzedają za przyzwoleniem państwa, które zarabia grubą forę i bez tej grubej forsy nie bardzo by się mogło obyć. Ale wiadomo, że picie alkoholu — to zgubny nałóg. Ale gdyby go było z umiarem — to zarobek byłby mizerny...

Prostytucja istnieje wszędzie i ma się dobrze nawet, jeśli przejściowo ma się trochę gorzej. Napędza ona państwo, jeśli nie bezpośrednio to pośrednio niezły grosz, zachęcając obywateli do wydawania pieniędzy na intensywniejsze korzystanie z innych nałogów.

Obok prostytucji funkcjonuje świetnie ogromny przemysł pornograficzny, półpornograficzny, półpornograficzny, który jednak się „tymi” sprawami zajmuje. Opodatkowany jest przez państwo bardzo wysoko, ale kilentów, nałogowców seksu ma krocie... Pieniądza zarobione na tym interesie państwo przeznacza naturalnie nie na żadne tam armaty, a na oświatę, przedszkola itd.

Tak więc nałogami obywateli stoja państwa. Podatki z hazardu, palenia tytoniu, picia wódki, używania różnych odmian płatnego seksu wzbogacają jego kieszę w stopniu, którego nie można lekceważyć.

Ponieważ ostatnio szukamy pieniędzy gdzie się tylko da, mam propozycję. Skoro u nas uprawianie sztuki i szerzenie kultury jest nałogiem — bowiem z wielu powodów nie może być traktowane jako zawód (brak farb, papieru, instrumentów itd.) — proponuję tych wszystkich nałogowców obłożyć wysokim, bardzo wysokim podatkiem, podwyższając im jeszcze na dobitkę podatek dochodowy...

Za każdy nałóg trzeba płacić, zwłaszcza w kryzysie!

ANDRZEJ GRUN

W dniach od 18 do 23 maja br. strasliwym natłoku stoisk, mie- w warszawskim Pałacu Kultury i dzy którymi z trudem udawało Nauki odbyły się kolejne, XXXIII się zwiędzającemu przecinać, tym już Międzynarodowe Targi Książ- ki. Na czterech kondygnacjach Pa- lacu rozlokowało swoje stoiska po- nad dwustu wydawców ze wszyst- kich stron świata, reprezentują- cych 20 państw i 3 organizacje międzynarodowe — ONZ, UNESCO i OWP. Wielu wystawców uczest- niczyło w warszawskiej imprezie, od początku, niektórzy powrócili po latach przerwy, inni — znaleźli się na Targach po raz pierwszy.

Najliczniej reprezentowani byli wydawcy z Czechosłowacji, Repu- bliki Federalnej Niemiec, Niemiec-kiej Republiki Demokratycznej.

Międzynarodowe Targi Książki

My i... świat (książki)

USA, Wielkiej Brytanii, Holandii, Jugosławii. Obok radzieckich (Międzynarodowa Księga czy V.A.A.P.) spotkać można było wydawców z Berlina Zachodniego (Wilhelm Ernst und Sohn, Walter de Gruyter und Co. czy Verlag Paul Parey); obok Austriackiej (Bundeskommission der Gewerblichen Wirtschaft) znane angielskie oficy- ny wydawnicze (Ge wilmie: The British Council, C.J.V. Publishers Services Ltd, Collet's Holdings Ltd, Ellis Horwood Ltd), czy wreszcie obok zespolewogo stoiska wydawców Izraela, wydawnictwa Organizacji Wyzwolenia Palestyny, Mongolii. W sąsiedztwie przedsta- wicieli małych oficy wydawnic-zych spotkać można było wielkich potentatów edytorów — Sprin-ger, Pergamon Press itd.

Każdy z wydawców prezentował w swoich stoiskach najnowsze o- siągnięcia światowej myśli nauko-wej i technicznej, taki bowiem charakter mają warszawskie tar- gi. Stąd w trzech sektorach tar-gowych dominowały wydawnictwa naukowe, techniczne, medyczne, popularnonaukowe, muzyczne, młodzieżowe, słowniki i encyklope- die, dopiero w czwartym sektorze (D) można było obejrzeć literatu- re piękna, wydawnictwa artystycz- ne, albumowe i inne.

Cóż można powiedzieć o tej zna- komitej imprezie? Otóż w tym

czeczek zmęczonej dzieciarni bu- szującej po stoiskach za folderami, wyznaczenia innej pory zwiędza- nia. Z załopotaniem można było więc patrzeć na ludzi rzeczywi-ście zainteresowanych książką, z zagranicznymi gośćmi, włącznie, jak z trudem przedzierają się przez ciasną ciżbę, by dotrzeć do własnego bądź poszukiwanego stoiska.

Druga, równie smutna refleksja-rodziła tak zmasowana ilość piek-nych, rewelacyjnych wrecz wy- dawnictw — naukowych, encyklo- pedycznych, albumowych, a i lite- rackich także — ukazujących nie tylko bogactwo treści, lecz w pierwszym rzędzie świetne edytor- stwo i najwyższy poziom poligra- ficzny. Na tym tle nasze książki, jakkolwiek w swojej warstwie treściowej nie odstają od zagran-icznych, jednakże poziomem boli- graficznym, łącznie z papierem, zawartością ilustracyjną wyraź- nie ustępują miejscą zagranicznym edytorom. Jest to o tyle zdumie- wające, że mamy przecież bardzo zdolnych i cenionych na świecie grafików i przynajmniej pod tym względem — skoro pod innymi nie jesteśmy w stanie — mogli- my zaprezentować swoje możliwości. Niestety, nawet największe domy wydawnicze (a na targach wysta- wiało swój dorobek 62 wydaw- ców!) pokazały szaryżną, w jako-

MAREK BRUK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NASI KONSERWATORZY W ZSRR

Największym partnerem Pracowni Konserwacji Zabytków, już od wielu lat jest Związek Radziecki. W ub. r. pracowało tam 1050 naszych specjalistów, którzy wykonali prace wartości 18 mln rubli. Tegoroczne kontrakty opiewają na 21 mln rubli, a negocjowane są następne porozumienia.

Najwięcej polskich fachowców pracuje w Rydze i Tallinie, gdzie od kilku lat przywracają dawną świetność liczny obiektom — m.in. staromieskim kamienicom adaptowanym na muzeum farmacji i dawnym kościołom — św. Jerzego i reformacki, które po zakończeniu prac staną się siedzibami galerii sztuki i studia nagrań „Melodii”. Na siedzibę muzeum estońskiego ruchu rewolucyjnego sposobu nasi konserwatorzy talliński pałac Orłowa i przylegające doń budynki stajni, wozowni itp., zaś w niedლე- głym Tartu zabezpieczają ruiny katedry.

W 1986 r. rozpoczęli w Wilnie

renowację zespołu pobazylikańskiego, znanego także jako więzienie, w którym przebywali aresztowani filomaci i które u- wiecznił w „Dziadach” Adam Mickiewicz. Od dwóch lat nasi specjaliści, pracując w stolicy ZSRR, w pałacowo-parkowym zespole Carycyno przywracają dawny kształt dwu mostom i rezydencji, zaś w samym centrum, w pobliżu Arbatu, odnawiają dwa XIX-w. pałacyki, które w przy- szłości znajdą się w rękach wy- dawców. Odnawa wiszących o- grodów i mostu krzyżowego to pierwsze zlecenie zarządu innej dawnej leśniej rezydencji carów — w Puszkino (d. Carskim Siole). Ten najnowszy kontrakt wydaje się być zapowiedzią poważnych prac w samym Leningradzie.

CO SIĘ ZMieniŁO?

„W ub. r. nie zakazano wysta- wienia ani jednej sztuki. Twórcy teatralni bez przeszkód reali- zowali prawo swobodnej wyppo- wiedzi (...). Podstawą obecnej przebudowy życia teatralnego jest przede wszystkim zasada równo- rodności form organizacyjnych. Istniejący obecnie jeden typ te-

atrow powinien być zastąpiony systemem umożliwiającym egzy- stowanie najróżniejszych organi- zmw teatralnych, powstających od dołu, z woli grupy twórców. Mogą to być tradycyjne, stałe ze- sposy i studia teatralne, teatry spółdzielcze i takie, które obli- czone są na wystawienie tylko je- dnego spektaklu. Powinny istnieć półzawodowe, amatorskie, stu- denckie i ludowe zespoły sceni- czne. Najważniejsze jest, by nie tłumić i nie ograniczać źródła twórczej inicjatywy — stwier- dził Michail Ulianow, znany ak- tor i przewodniczący Związku Twórców Teatralnych Federacji Rosyjskiej w rozmowie nt. sy- tuacji w teatrze radzieckim.

WŁASNOŚĆ RZYMSKICH CESARZY

150 dzieł artystycznego rzemio- śla, należących do rzymskich ce- sarzy, już w najbliższych tygo- dniach zobaczą mieszkańcy Kolo- ni. Tamtejsze Muzeum Rzymsko- -Germańskie, wspólnie z Corning Museum, British Museum i So- cietà Olivetti, przygotowuje na- lato wystawę pt. „Sztuka Cesa-

rów”, która następnie zostanie przeniesiona do Nowego Jorku, Londynu i Rzymu.

POPULARNOŚĆ NIE CHRONI

Powiadają, że popularność, po- dobnie jak tzw. pańska łaska, na pstrym koniu jeździ. Mógł się o tym przekonać Paul Hogan — bohater „Krokodyla Dundee”, który w czasie australijskich ob- chodów 200-lecia odkrycia tego kontynentu, znalazł się w ogniu ostrej krytyki. Otóż Paul Hogan w jednej z wypowiedzi użył słowa „abos” na określenie rdzen- nych mieszkańców kraju. Cała wypowiedź miała co prawda — wedle intencji gwiazdora — żar- tobliwy charakter, kiedy stwier- dził, że obchody będą przyczyną tyłu kłopotów, że można by od- dać kraj z powrotem „abosom”, jednakże aborygeni poczuili się urażeni.

UPADŁOŚĆ SPADEM

Jedno z dwóch francuskich to- warzystw chroniących prawa au- torskic (liczące 1800 członków)



Rys. Sławomir Łuczyński

— W 1975 r. utworzona została w Łodzi — jako piąta w kraju — Państwowa Szkoła Baletowa, od kilku miesięcy nosząca potężne imię Feliksa Parnella. Pierwsi absolwenci opuścili jej mury przed 4 laty. Ponieważ była wtedy wśród nich i pani, zaczęliśmy naszą rozmowę od refleksji związanej ze szkołą.

— Wspominam szkołę z sentymentem i wracam myślą przede wszystkim do tych pedagogów, którzy dali nam najwięcej serca. Wymienie np. Leandra Jasińskiego, dyrektora Baletu. Warunki nauki jednak nie były łatwe. Szkoła nie miała odpowiedniej siedziby, na poszczególne zajęcia przechodziliśmy z budynku do budynku. Stanowiło to dodatkowe obciążenie i odbijało się trochę na efekcie kształcenia. Jako uczennica zdobyłam, oczywiście, niezbędne podstawy w dziedzinie techniki tańca, ale w gruncie rzeczy tego, co obecnie potrafię, nauczyłam się dopiero w ciągu minionych 4 lat pracy w teatrze.

Do kariery, w obiegowym rozumieniu tego słowa, nawet wcale nie dążyłam. Wybrałam swój zawód z umiłowania tańca i chęć jak najlepiej robić to, co teraz robię.

— A kwestia uznania?

— Na tym zależy każdemu artyście, i dojrzałości, i poczuciu czasu.

— Jak wygląda pani dzień pracy?

— Od rana wypełniony jest zajęciami. Zaczynam go o godz. 10 godzinna lekcja — pierwszym, niezbędnym doskonaleniem techniki a zarazem zmaganiem się z własnym ciałem, z jego niedomaganiem, nieraz bólem. Między godz. 10 a 14 przewidziane są próby. Ich przebieg jest zróżnicowany w zależności od przedstawienia. Jeśli dane go dnia nie ma spektaklu, próby kontynuowane są wieczorem (od 18 do 22). Gdy jest spektakl, poprzestaję na lekcji. Naturalnie także w niedzielę. Sobota jest normalnym dniem pracy, wolny mam tylko poniedziałek.

uczę. A poza tym właśnie w tej roli debiutowałam. Z innych partii wyróżniałabym Helenę w „Śnie nocy letniej”.

— Tańczenie w „Don Kichocie” a potem w „Śnie nocy letniej” lub „Faustie” wymaga przestawienia się na zupełnie inną technikę. Jakże problem się z tym wiąże?

— Trzeba wyzwolić wiele nowych umiejętności i środków wyrazowych, nie wyniesionych zresztą ze szkoły. Moje szkolne wykształcenie sprowadzało się do tańca klasycznego, tylko przez rok odbywały się wówczas zajęcia z tańcem modern z p. Ewą Wycichowską. Podstawa nowoczesnego tańca jest odmienna ruch ciała, inaczej wygląda nawet metoda uaktywniania mięśni. W tańcu klasycznym przeważają pozycje „otwarte”, w tańcu modern — „zamknięte”. Problem polega więc na tym, by umieć w niezależny, nowy sposób „myśleć tańcem” i jednocześnie bazować na odrębnych elementach warsztatowych.

— Ile przeciętnie czasu zajmuje pani przygotowanie nowej roli?

— Około 2-3 miesięcy.

— Czy kreując swą partię solistki odzwierciedla zamyśl choreografa, czy też korzysta z jakiegoś marginesu swobody?

— Zazwyczaj choreografowi należy podporządkować się całkowicie, jeśli chodzi o rodzaj i następstwo pas. Natomiast pewne dowolności istnieją w dziedzinie interpretacji, mimiki, wyrazu aktorskiego, a więc w tym, co decyduje o indywidualności.

— Czy aby sytuacja taka nie koliduje trochę z pojęciem solisty?

— Uważam, że nie. W spektaklu baletowym realizowanie zamyśłu choreografa jest naturalną powinnością tancerzy, także solistów.

— Z którymi choreografami pracowało się najlepiej?

— Miałam szczęście wyłącznie do znakomitych artystów, takich jak Wycichowska, Borkowski, Veredon. Naturalnie każdy choreograf jest inny, inne ma podejście do tańca, odmiennie oddziałuje na psychikę. Ale to właśnie jest dobre i inspirujące.

— Pani plany artystyczne...

— Uależniłam je od repertuaru, od tego, co przyniosą następne sezony. W każdym razie chce też nieustannie doskonalić dotychczasowe role. Zawsze przecież można tańczyć to samo lepiej, niż dotąd.

— Jakże wrażenia wynosi pani z kontaktów z publicznością?

— Bardzo sobie te kontakty cenię, pragnęłabym tylko, aby zainteresowanie baletami i klasycznymi, wymagającymi od tancerzy najwięcej wysiłku i umiejętności, dorównywało zainteresowaniu spektaklami z muzyką rockową.

— Czy chodzi pani na dancingi i dyskoteki?

— Nie mam na to czasu. Ale tańce tanczę z przyjemnością, tak jak wszelkie w ogóle rodzaje tańca.



Na zdjęciu: Malwina Poleszak
Foto: Romuald Sakowicz

„W tym zawodzie nauka trwa ciągle...”

— rozmowa z MALWINĄ POLESZAK, solistką baletu Teatru Wielkiego.

— Co miało decydujące znaczenie dla artystycznego rozwoju?

— Przede wszystkim kontakt z publicznością. Tancerz dostrzega małą styczność ze sceną, choćby tylko jako członek corps de ballet. Same lekcje, tzn. suche ćwiczenia przy drążku, nie wystarczą. W teatrze wiele korzysta się od pedagogów baletu, od starszych, doświadczonych kolegów, no i naturalnie, od opracowywanych dany spektakl choreografów. Zresztą w tym zawodzie nauka trwa ciągle, właściwie do emerytury.

— Jest pani najmłodsza, lecz już wszechstronnie eksponowaną solistką Teatru Wielkiego. Jaka była pierwsza solistyczna rola, czy śmiało ją pani przeżywała?

— Mimo, że solistką jestem formalnie od roku, to pierwszą solistyczną rolę tańczyłam 2 lata temu. Jeszcze jako koryfeje powierzono mi mianowicie partię Dulcineę w „Don Kichocie”. Szanse tę zaważdzam kierownicze baletu, p. Liliane Kowalskiej, która coś tam we mnie, jako tancerce, dostrzegła. Muszę przyznać, że byłam wówczas niemal przerazona. Obawiałam się nawet nie tyle tremy, ile tego, że nie poddam zadaniom w sensie warsztatowym i interpretacyjnym. Ale jakoś się chyba udało, gdyż wkrótce otrzymałam następne role.

— Osiągnęła pani nadzwyczaj szybko status wymarzony przez siebie, również o wiele starsze, koleżanki. Czy ma pani poczucie robienia w swoim zawodzie kariery?

— To wielkie słowo i nie pasujące do mnie. Mimo statusu solistki uważam, że na razie nie potrafię jeszcze zbyt wiele, pracuję też za krótko.

— Reżim jest, jak widać, dość ostry. Niewątpliwie zawód tancerki wymaga w związku z tym wysiłku.

— I to wielu. W teatrze spędzam przecież niekiedy cały dzień. Nie zawsze mam sposobność pojechać do domu na Reżim. Próby bywają również w terminach dodatkowych, między 14 a 18. Muszę rezygnować więc często z prywatnych spraw i żyć wyłącznie pracą zawodową. Nie wspominać już o koniecznych, ograniczeniach kulinarnych, co dla mnie jest najbardziej dotkliwą w odniesieniu do słodyczy.

— A życie prywatne, jeśli wolno spytać?

— Sam pan widzi, jak niewiele mam na nie czasu. Do własnej dyspozycji pozostaje poniedziałek i bardzo późne godziny wieczorne w trakcie pozostałych dni. Lecz wtedy jest się ogromnie zmęczonym. Próby i występy eksploatacja nie tylko fizyczna, ale i psychiczna; nawet małym rolnom towarzyszy napięcie. Gdyby ktoś kiedyś powiedział mi, że żyję jak niewolnica teatru czy też sztuki, nie wiem, czy mogłabym zaprzeczyć. Niemniej jednak niczego nie żałuję. Innego zawodu nie potrafiłabym wykonywać.

— Można by rzec, że wolność odnajduje pani w uznaniu konieczności i, zapewne, w artystycznym powołaniu. Łódzcy baletomanzi znają panią nie tylko jako Dulcineę w „Don Kichocie”, lecz także jako Helenę w „Śnie nocy letniej”. Helenę w „Faust goes rock”. Która z tych partii lubi pani najbardziej?

— Największą satysfakcję sprawia mi oparta na technice klasycznej rola Dulcineę. Jest ona najtrudniejsza i chyba najwięcej się wciąga dzięki niej

— Rozmawiał: JANUSZ JANYST

Nasze wyczucie okazało się bezbłędne, gdy w nocy 19 „Ogłosów” staraliśmy się przewidzieć werdykt jury jednego z najstarszych festiwali w Polsce: Kaliskich Spotkań Teatralnych, których 28 edycja zakończyła się 11 maja br. Jury oceniło 12 dzieł spektakli konkursowych teatrów z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Opola, Poznania, Katowic i Torunia, oraz teatry gościnne, którymi notabene sprawili miłą niespodziankę in plus. Grand Prix nie przyznano. Natomiast inna konkurencja:

GRABOWSKIEMU za stworzenie przedstawienia „Scenariusz dla trzech aktorów” B. Schaeffera w GALERII TEATRU STU w Krakowie; CZESŁAWOWI STOPCE za rolę Hamma w „Kofce” S. Becketa w reż. J. Zegalskiego z Teatru Śląskiego w Katowicach.

Nagrody — ZESPÓŁOWI AKTORSKIEMU TEATRU IM. W. BOGUSŁAWSKIEGO w Kaliszu za „Przedstawienie pożegnane” P. Mullera w reż. Jacka Pądro;

skiej: SŁAWIE KWASŃSKIEJ za rolę Teli w „Naręczonym Beacie” i DANUCIE WODYŃSKIEJ za rolę pani Higgins w „Pigmalionie” G. B. Shawa w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Wyróżnienia: EWIE ALEKSANDERZUK za rolę Nattii w sztuce N. Erdmanna „Mandat” w reż. E. Korina w Teatrze Im. W. Horczy w Toruniu, MALGORZATIE SKOCZYŁAS za rolę Krzeminy w „Zdziczeniu obywateli pośmiertnych” B. Leśmiana w reż. M. Korwina w Teatrze Im. J. Kochanowskiego w Opolu.

Nagroda dla młodego aktora: KRYSZTOF MAKSYMOWICZ za rolę Marcjanny w „Zdziczeniu...”. Jednocześnie jury 28 KST wyraża szczerą uznanie Komitetowi Organizacyjnemu Festiwalu i dyrekcji Teatru Im. W. Bogusławskiego w Kaliszu za wzorową organizację imprezy.

Tyle oficjalny protokół. Poza nim przyznano jeszcze jedną, sympatyczną, acz tradycyjną nagrodę — zespołowi teatru gospodarzy. Otrzymał ją JAN PESZEK za to „co zrobił i zrobi dla aktorstwa polskiego”. A sama nagroda jest... wędrownicza sakwa teatralna.

Szczegół o 28 KST, tegorocznych perełkach artystycznych i nieporozumieniach, do których zaliczyć z żalem trzeba także prezentacje łódzian z „Próbą” T. Sienkiewicza — w najbliższym czasie.

Kronika

LAUREATEM NAGRODY LITERACKIEJ SŁOWAKOZĘSKIEJ KSIĘGARZÓW POLSKICH ZA ROK UNIEŚLI ZOSTAŁ ZDOLNIEC „KONAK”. Otrzymał ją za książkę „Wielki las”, którą drukowaliśmy w całości na łamach naszego tygodnika.

Z tej okazji przekazujemy najserdeczniejsze „odgłosy” gratulacje!

W RAMACH OBCHODÓW JUBILEUSZU XV-LECIA DZIAŁALNOŚCI Ośrodka Doskonalenia Kadr Ministerstwa Przemysłu „DOSKO”, w dniach 30-31. br. w gmachu Ośrodka w Łodzi (al. Mickiewicza 20) odbędzie się zorganizowane wspólnie z Wydziałem Propagandy KŁ PZPR seminarium nt. „Aktualizacja metody w doskonaleniu kadr”.

SŁYNNE ABAKANY — prace Magdaleny Abakanowicz — podziwiać można m.in. na wystawie polskiej (kabinie artystycznej, prezentowanej w Centrum Muzeum Włocławskiego w Łodzi, Niebawem, 30 bm., otwarte w nim zostanie VI Międzynarodowe Triennale Kabin. Towarzystwo mu będzie II Ogólnopolska Wystawa Miniatury Tkackiej.

WYBITNEMU PUBLICYSTYCE, Edmundowi Osmanczykowi, Uniwersytet Wrocławski nadał godność doktora honoris causa.

W DZIELNICY KAZIMIERZ W KRAKOWIE — z inicjatywą Jerzego Kosmickiego — utworzone zostanie Centrum Kultury Polsko-Zydowskiej. Działalność centrum będzie finansowana — ustanowiona przez pisarza — Fundacja Dziedziny Polsko-Zydowskiej.

„FILM POLSKI” otworzył w Warszawie — pierwszy w krajach socjalistycznych — sklep z zagranicznymi filmami nagrzanymi na kasety wideo. Cena kasety, z polskim przekładem, wynosi od 25 do 35 dolarów.

Podobne sklepy powstały w Łodzi, Katowicach i w Gdańsku.

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX” ZAPOWIADA — wśród mających się ukazać w tym roku bestsellerów — dzieło Mircea Eliade „Historia idei i wierzeń religijnych” (t. I) oraz publikację „Stefan Rowecki w relacjach”.

IX PRZEGLĄD DZIECIĘCYCH TEATRÓW ANIMACJI „DZIWIA 88” — odbędzie się w dniach 26-29. br. w Domu Kultury przy ul. Zubardzkiej 3.

DWIE INTERESUJĄCE PUBLIKACJE PRZYGOTOWUJE WYDAWNICTWO „INTEKSPRESS” z okazji 125-lecia odzyskania niepodległości — pracę zbiorową „Kok 1920 w pogładach łuchawskiego, Piłsudskiego, Żalskiego, Siergiejewa” oraz książkę Włodzimierza Kowalskiego „Rozmowy z generałem Sosnkowską”.

JUBILEUSZOWY, tegoroczny 25. Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu odbędzie się w dniach 23-25 czerwca, zainauguruje go widowisko „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz dwuczęściowy koncert „Przedzie gwiazd”. Po północy rozpocznie się „Noc z Pierzakami”.

Laureatów poznamy w niedzielę, podczas koncertu finałowego — „Mikroton i ekran”.

W WARSZAWIE, Z UDZIAŁEM WYSTAWCÓW z 28 KRAJÓW, odbyły się XXXIII Międzynarodowe targi książki. Są one zaliczane do jednych z najważniejszych tego typu imprez na świecie.

Wśród wystawców z krajów zachodnich znajdowały się tak cenione wydawnictwa, jak „Larousse”, „Pergamon Press”, „Akademik Press”, „Suhrkamp Verlag”, „Springer Verlag”. Po kilkuletniej przerwie swoje książki zaprezentowali również na targach wystawcy z Izraela.

POLSKA PRAPREMIERA „DRZEWA”, najnowszej sztuki Wiesława Myśliwskiego (autora głośnych powieści o tematyce wiejskiej) odbyła się 14 maja br. w Teatrze Polskim w Warszawie.

Reżyserował Kazimierz Dejmek, scenografię przygotował Jan Polak, muzykę skomponował Zbigniew Kornecki. Występują m.in.: Ignacy Machowski, Maciej Maciejewski, Mieczysław Voil i Lech Ordon.

MIĘDZYNARODOWA FEDERACJA NATURYSTÓW ogłosiła 29 maja br. światowym Dniem Nagości. Z tej okazji łódzcy naturyści organizują liczne imprezy. 29 bm. w klubie „Falk” (Andrzeja Struga 19) odbędzie się pokaz przetrzocy z płyt naturystycznych oraz wyświetlane będą filmy wideo z ciekawszych imprez krajowych. W tym samym dniu, w solum kapieliska „Falk”, wybrani zostaną Miss i Mister Maja '88.

OD ROKU WEDRUJE PO POLSCE — ciesząca się dużym zainteresowaniem — wystawa fotograficzna „Architektura starego Lwowa”. Została ona zorganizowana z inicjatywy SARPU. Przeglad 112 fotografii uzupełniony jest na wernisazu projekcją kolorowych przetrzocy.

JEŻDZIECKIEGO W POZNANIU, noszącego imię 15. Pułku Ułanów Poznańskich, kulturywłańskie tradycje. Podjęli się oni zrehabilitować budźnik, który był w posiadaniu tego pułku w latach 1936-1938.

Dodajmy, iż co roku w Poznaniu, 23 kwietnia, uroczyste obchodzone są Dni Ułana. Ułaniom miasta przeciąga wtedy oddział kawalerzystów, prowadzony przez konny poczet sztandarowy.

Opracował: JAK

LAURY KST — DLA KRAKOWA I KATOWIC

Bez Grand Prix...

czy zwycięża teatralne „tuzy”, czy też teatry w grupie „B”, zakończyła się remisem, co świadczy o tym, iż nawet w mniej znanych ośrodkach mniej znani artyści mogą pokusić się o interesujące dokonania.

Jury 28 KST w składzie: Anna Borkowska, Zbigniew Kościelak, Andrzej Lis, Anna Lutosławska, Jerzy Sokolowski (przewodniczący) i Andrzej Wanał, po obejrzeniu 9 konkursowych przedstawień postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

Nagrody główne — JANOWI PESZKOWI, MIKOŁAJOWI GRABOWSKIEMU I ANDRZEJOWI

KRYSZTOFOWI GLOBISZOWI za rolę tytułową w przedstawieniu „Kaspara” P. Handke w reż. Andresa Wirtha w Starym Teatrze w Krakowie; WIESŁAWOWI KANTOCHOWI za rolę Clotewa w „Kofce” S. Becketa w reż. J. Zegalskiego w Teatrze Śląskim w Katowicach; JERZEMU MOSKALOWI za inspirującą aktorów scenografię tegoż przedstawienia.

Nagroda za rolę drugoplanową: MICHAŁOWI ROSIŃSKIEMU za rolę Nagga w „Kofce” S. Becketa.

Nagroda za Kultywowanie tradycji sztuki aktor-

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

SPADEM ogłosilo upadłość. Po- liskiem gruzu porośniętym buj- wało 34 lata temu z połączenia kilku tego rodzaju towarzystw i chronilo interesy 11 tys. zagranicznych twórców na francuskim rynku. Niestety, ostatnio zarząd pozwolił sobie, jak to określił wnuk Henri Matisa — Claud Duthuit, na „zbyt wielką artystyczną swobodę”, co spowodowało deficyt, a w konsekwencji — upadek.

GROBOWIEC MAJÓW

Amerykańscy archeolodzy znaleźli w Gwatemali monumentalny grobowiec z wczesnego okresu rozwoju kultury Majów — ok. 450-500 r. n.e. We wnętrzu znaleziono szkielet młodego mężczyzny — prawdopodobnie władcy lub kogoś z królewskiego rodu — a obok liczne przedmioty wskazujące na przynależność do dynastii panującej. Grobowiec był częścią wielkiej nekropolii, która została odkryta wcześniej. Jednak większość grobów została spłądowana przez handlarzy starożytności, zanim pojawili się tam uczeni. Tylko ten jeden przetrwał nienaruszony pod zwa-

„SKARB”

Jednym z cudów starożytności świata była olbrzymia biblioteka zbudowana przez faraona Ptolemeusza w Aleksandrii zawierająca zbiory ksiąg i dzieł sztuki, będące świadectwem kultur obszaru Morza Śródziemnego. Biblioteka uległa zniszczeniu w czasie licznych wojen i oblężeń miasta, część zbiorów jednak została uratowana i zabezpieczona w miejscu nikomu nie znanym. Odkrycia skarbu podejmuje się bohater książki Dirk Pitt, amerykański James Bond, z zawodu badacz morski, pojawiający się zawsze tam, gdzie dzieje się coś niezwykłego.

Powieść Clive Cusslera „Treasure”, w której rozliczne intrygi, zamachy rządowe, pucze woj-

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Charles Dickens „Klub Piekarników” (2t.) — 1800 zł; Aleksander Bocheński „Przemysł Polski w dawnych wiekach” (seria ceramowska) — 1500 zł; Piotr Łosowski „Zerwane pięta” — 600 zł; Henryk Wereszycki „Niewygoda przeszłości” — 1000 zł; Michał Wisłocki „Sztuka kochania w dwadzieścia lat później” — 1000 zł (cena nominalna 850 zł); Ferdynand Foche „Pamiętniki” — 7000 zł; Waldemar Łysiak „Łysiak na łamach” — 1500 zł (cena nominalna 600 zł); Vladimir Nabokov — „Opowiadania” 700 zł (cena nominalna 350 zł); Eugeniusz Kwiatkowski „Rzecz najważniejsza” — 700 zł (cena nominalna 280 zł).

Fraszki

JAN SZTAUDYNGER

ZYWIOT OJCA

W niejednym synu żyje jego tato „Dzięki” słynnym przykładom i wzniosłym cytatom.

NA LATWOWIERNOŚĆ

Ażby wierzyć dziewczęciu Trzeba nie mieć klepek (pięciu).

ONA DO NIEGO — PORZUCONEGO Pierzcham pierz sam!

PIWNOOKIEJ

Upajają mnie twoje oczy. Oczy piwne, Piwo — alkohol. Więc czy to dziwne?

CAŁA PARA

Wszystko robiłem całą parą I zawsze z młodą, nigdy ze starą!!!

AWANS

Po jednej, drugiej, trzeciej wódce, Każdy ma się za przywódcę.

Wszystko się zdarzyło wcześniej — aresztowanie, więzienie, zesłanie — było nieporównywalne z tym, co się działo teraz. Wtedy był zupełnie niewinny, teraz po raz pierwszy przekracza prawo. Pomaga, mimo że został uprzedzony. Pewno, że Boris go nie wyda, ale jednak „udzielenie pomocy w ucieczce” będzie nad nim ciążyło. I zdawanie z tego rachunku byłoby podwójnie przykre: ucieczka, Borisa to głupota, zginie na drodze albo go złapią.

— Ale mimo wszystko ma obowiązek pomóc Borisowi. Ważne jest tylko, żeby nikt we wsi niczego nie zaczął podejrzewać. Prosić o siołninę i chleb gospodarzy? To wyraża posłuszkę. Jedyna osoba, która może mu pomóc, to Zida. Jeśli sama nie ma, pójdzie do sąsiadów. Zawsze kupuje żywność, nie wywoła podejrzeń. Poćle słoniny, chleba albo placzków, dwa mienie jaja na twardo, cukier ma, ma też cukierki przysłane z Moskwy przez mamę, sol... Zidzie powie: zdołał! Mnie to jest niepotrzebne, na co, nie pytaj, i zapomnij o tym. Zida o nic nie pytała. Poszła do sąsiadów, przyniosła słoninę, suszone mięso, placzki, ugotowała jajka, postarała się o cukier, cukierki, wszystko dobrze zawinęła, włożyła do płóciennej torby, z jakimi tutejsi myśliwi wyruszają do lasu.

I z tego, że wszystko włożyła do takiej torby, było widać, że się domyśla. W drzwiach Sasza się odwrócił. — Nic od ciebie nie brałem. Cokolwiek by się stało, jakkolwiek obrót wzięłoby, Zida nie ma z tym nic wspólnego. Zida skinęła głową. — Dobrze.

Usłyszawszy, że Sasza idzie Boris otworzył oczy, uniósł się, potrząsnął głową, jakby otrząsając się ze snu, przełożył żywność do plecaka, tylko soli nie wziął. — Mam. Potem wstał. Sasza pomógł mu przełożyć ręce przez pasy plecaka. — No to żegnaj, przyjacielu! Boris niezgrabnie — przekładał mu plecak — objął Saszę. Ucałował się. — Jutro od rana będę w tym miejscu — powiedział Sasza — jeśli się rozmyślił i wrócisz, spotkamy się. — Nie rozmyśl się — odpowiedział Boris — wszystko dobrze ci poszło? — O to bądź spokojny.

19. Ordżonikidze był niezadowolony z incydentu z komisją Piatakowa, niezadowolony z tego, że Mark Aleksandrowicz faktycznie przegonił komisję z zakładu, niezadowolony z bury, utrzymanej od Stalina z winy Marka Aleksandrowicza. Stalin poparł wtedy Marka Aleksandrowicza, jednak żadnego dokumentu, który by uprawomocnił rozpoczęte przez Marka Aleksandrowicza budownictwo mieszkaniowe, komunalne i usługowe nie ma. Są słowa, a słowa łatwo zapomnieć. Półki nie ma oficjalnej akceptacji. Riazanow może się stać świadkiem uderzenia. I dlatego Mark Aleksandrowicz chętnie się zgodził na propozycję redakcji pisma „Bolszewik”, żeby napisał artykuł o sytuacji w kombinacie i problemach, stojących przed rodzimą metalurgią żelaza i stali „Bolszewik” — to główne czasopismo partyjne, artykuł pomoże przedsiębiorstwu: dostawcy i kooperanci potraktują go jak dyrektywę. I najważniejsze: artykuł da mu możliwość publicznie zafiksować i co za tym idzie, uprawomocnić wszczęte przez niego budownictwo. Artykuł Mark Aleksandrowicz napisał w ciągu dwóch wieczorów. Jego zasadnicze tezy sprowadzały się do tego, że: Amerykanie opracowywali projekt kombinatu w wielkim pośpiechu. I wymaga on poprawek. Mark Aleksandrowicz wymienił podstawowe. Ale jednocześnie zachęcał do powszechnego zapoznawania naszych hutników z najlepszymi przykładami prac Amerykanów i szerzego wo wskazał, w czym konkretnie jesteśmy wobec nich opóźnieni. Najważniejszym zaś zadaniem metalurgii żelaza i stali na Wschodzie jest zapewnienie wyszkoleniu i kwalifikacji, stałych robotników i kadry inżyniersko-technicznej. Stąd konieczność prowadzenia na szeroka skalę budownictwa mieszkaniowego, komunalnego, kulturalnego i usługowego Mark Aleksandrowicz wymienił już wykonane prace (z powodu których przyjechała komisja), ocenił je jako osiągnięcia, pozytywnie zaopiniowane przez Komitet Centralny partii (miał na myśli słowa Stalina) i oświadczył, że kombinat będzie prace te kontynuował. W podsumowaniu Mark Aleksandrowicz podał krytyce niesumiennej dostawców. W połowie listopada artykuł ukazał się na łamach czasopisma, a w końcu listopada Mark Aleksandrowicz przyjechał do Moskwy na plenum KC partii. Plenum dyskutowało tylko jedną kwestię — likwidacji od pierwszego stycznia 1933 roku systemu kartek na chleb i inne towary. We wszystkich głosach brzmiała troska: kartki istniały od 1928 roku, zapewniały chociaż niewystarczający, ale jednak pewny poziom zaopatrzenia. Teraz będzie wprowadzona wolna sprzedaż, powstanie rynek, kierowania którym się oduczo.

Stalin nie występował, nie mówiąc siedział w prezydium. Ostatniego dnia plenum podczas przerwy w korytarzu do Marka Aleksandrowicza podeszli Ordżonikidze i Kirow. — Słuchaj — powiedział z uśmiechem Ordżonikidze — chce się z tobą zapoznać Sergiej Mironowicz, spodobał mu się twój artykuł. Kirow uściłnął rękę Markowi Aleksandrowiczowi. — Tak, to rzeczowy i mądry artykuł. To, o czym piszecie, dotyczy nie tylko nowych rejonów, ale i starych. Problem stał się kadry stała się obecnie wszędzie pierwszoplanowy. Podobnie mi się także wasze wezwanie, żeby tego, co dobre, uczyć się u Amerykanów, uczyć się nie wstyd nawet u kapitalistów. Jeśli chodzi o waszą krytykę kilku przedsiębiorstw leningradzkich, to obiecuje poprawić sytuację. — Dziękuję, to będzie dla nas najwyższą nagrodą — odrzekł Mark Aleksandrowicz. Ordżonikidze powiedział do niego: — To jest nasz wielki dyplomata. W arty-

kule oficjalnie usankcjonował swoje nie usankcjonowane wydatki.

— Co też wy, Grigoriju Konstantynowiczu — zaprotestował Mark Aleksandrowicz — po prostu odnotowałem to, co zostało zrobione i zaakceptowane...

Ordżonikidze nie zdążył odpowiedzieć. Koło nich stał Stalin. Nawet nie zauważyli, z której strony podszedł.

— O czym dyskusja?

— Mówiliśmy o artykule towarzysza Riazanowa — odpowiedział Ordżonikidze.

— Co to za artykuł? — spytał Stalin, chłodno popatrzywszy na Ordżonikidze, na Marka Aleksandrowicza, ale omijając wzrokiem Kirowa.

— W ostatnim numerze „Bolszewika” — odpowiedział Kirow.

— Nie czytałem — nadal nie patrząc na Kirowa, odpowiedział Stalin.

I poszedł dalej.

Mark Aleksandrowicz patrzył za nim, widział jego wąskie, nieco przgarbione plecy w wojskowej kurtce w kolorze ochronnym, prawie brązowym i serce Marka Aleksandrowicza przepelniała duma. Dopiero co, przed chwilą, stał obok NIEGO, obok Kirowa i Ordżonikidze, rozmawiali na oczach całego plenum. Stalin nie czytał jego artykułu w „Bolszewiku”, to naturalne, przygotowując plenum, przygotowując zniszczenie systemu kartkowego, nie miał czasu nawet przekartkować czasopisma. Wystarczy, że go przeczytał i pochwalił Kirow. I przyjacielskie podejście Ordżonikidze świadczy o tym, że już się nie gniewa, poczytania Marka Aleksandrowicza w kombinacie

że te nominacje ktoś usankcjonował. Prawdopodobnie przeprowadzono je na bezpośrednie polecenie Stalina w celu „wykarczowania resztek opozycji”, na przekór jemu, Kirowowi — nie chce robić tego sam, zrobimy bez ciebie, dlatego właśnie Zaporoziec wszelkimi sposobami demonstruje swoją samodzielność. Zażądać odwołania Zaporozca — to znaczy zetrzeć się bezpośrednio ze Stalinem, przy tym w delikatnej kwestii kadrowej, gdzie Stalin nieznosi niczyjej ingerencji.

I jednak pozwolić na istnienie w Leningradzie takiego autonomicznego, nie podporządkowanego obkomowi organu — to znaczy utracić z czasem jakąkolwiek władzę.

Kirow zebrał u siebie w gabinecie członków egzekutywy obkomu, tylko członków egzekutywy, bez sekretarzy, bez pracowników technicznych, bez protokołu i polecił Miedwiedziowi powtórzyć tę informację, a członkom egzekutywy — wyrazić swoją opinię. Opinia była jednoznaczna: zażądać niezwłocznie odwołania Zaporozca i jego ludzi.

Kirow podniósł słuchawkę i połączył się z Moskwą.

— Zaraz zamelduję — odpowiedział Poskribszew.

Musieli długo czekać. W gabinecie Kirowa było cicho, wszyscy milczeli, pojmując, że Stalin nieprzypadkowo nie podnosi słuchawkę.

Wreszcie ją podniósł.

— Słucham.

— Towarzyszu Stalin — powiedział Kirow — Zaporoziec dopuszcza się samowoli, nie podporządkowuje się komendantowi NKWD Mied-

(49)

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



są usankcjonowane, artykuł odegrał swoją rolę. Wszystko dobrze, wszystkie jego obawy były niepotrzebne. W epoce wielkich dokonań wszystko, co jest rzeczywiście pozytywne, nieuchronnie zwycięży, bo jest sterowane JEGO mądrą myślą, JEGO silną ręką. Oto idzie przez zatłoczone ludźmi foyer, i jak gdyby nikt nie schodził mu z drogi, nie postępuje nawet kroku na bok, a jednak drogę ma wolną, ON ma wolną drogę, ON idzie spokojnie, nieśpiesznie, lekko stąpając w swoich miękkich butach, i wydaje się, że nikt nawet nie patrzy na NIEGO, nie ogląda się, ale wszyscy wiedzą, że idzie Stalin. Stalin zniknął za drzwiami, prowadzącymi do pokoju prezydium, i dopiero wtedy Mark Aleksandrowicz zobaczył, że Ordżonikidze stoi, oparłszy się o ścianę, drżącymi rękami wyjmując z fioletowej torbki nitrogliceryny, kładzie ją pod język.

— Co ci jest? — spytał przestraszony Kirow.

Ordżonikidze złapał oddech.

— Nic.

Mark Aleksandrowicz wziął go pod rękę.

Ordżonikidze łagodnie odsunął jego rękę.

— Grigoriju Konstantynowiczu, chodźmy na punkt medyczny, to obok...

— Nie trzeba, to minęło.

— Nie — rzekł Kirow stanowczo — jedź do domu. Chodźmy, odprowadzę cię.

Dia Kirowa nieprzyjemne zachowanie Stalina nie było niespodzianką. Stosunki między nimi popsuły się już w Soczi, stamtąd Stalin, prawdę mówiąc, odprawił go do Kazachstanu, Kirow był w Kazachstanie od szóstego do dwudziestego dziewiątego września, a kiedy wrócił do Leningradu, Miedwied' szef urzędu NKWD, zameldował mu, że jego zastępca, Iwan Zaporoziec, nawet nie uzgodniwszy tego z nim, Miedwiedem, przywiózł z Moskwy, z organów centralnych, swoich ludzi, których samowolnie pumieszczał na kluczowych stanowiskach w wydziale tajno-politycznym i w ogóle demonstruje, że jest samodzielny i podporządkowany Moskwie. Taka sytuacja nie może być tolerowana, w NKWD nie może być dwu szefów, z których jeden jest podporządkowany miejscowemu obkomowi, a drugi — Moskwie. I dlatego Miedwied' prosi o niezwłoczne odwołanie Zaporozca, a także jego ludzi, mianowanych bez uzgodnienia z miejscowymi organami.

Problem był drażliwy. Nie ma wątpliwości,

wiedzieli. Egzekutywa obkomu prosi o odwołanie Zaporozca z Leningradu.

Stalin milczał, potem spytał:

— W czym konkretnie przejawia się ta samowola?

— Oto ostatnie zdarzenie — rzekł Kirow — przywiózł z Moskwy od Jagody pięciu ludzi, bez wiedzy Miedwiedza pumieszczał ich na odpowiedzialnych stanowiskach w wydziale tajno-politycznym...

— Widzisz — odpowiedział Stalin — to są wewnętrzne przesunięcia wewnątrz organów NKWD.

— Ale czy ja jestem sekretarzem obkomu czy nie jestem? — powiedział z gniewem Kirow i uderzył w stół kantem dłoni.

— Po co te dziecięce pytania? — zaprotestował Stalin. — NKWD to nowy komisariat ludowy, i jak w każdym nowym ludowym komisariacie, niezbędne są w nim przesunięcia kadrowe. Uzgodnienie każdej kandydatury ze wszystkimi lokalnymi organizacjami jest praktycznie niemożliwe.

— Egzekutywa obkomu i ja osobiście stanowczo nalegamy na odwołanie Zaporozca — oświadczył Kirow.

— Wytlumaczę wszystko, jak tylko mogę, inaczej nie mogę — chłodno wyrzekł Stalin.

I odłożył słuchawkę.

Jakis czas nikt nie mówił. Potem Kirow zwrócił się do Miedwiedza.

— No cóż, Filipie, w urzędzie ty jesteś, panem, egzekutywa obkomu uznaje tylko ciebie. Jakikolwiek odrębny dział Zaporozca uczynaj przy krzeleniu, my cię poprzemy.

Odprowadziwszy Sergo do domu, Kirow wrócił na plenum. Zabrzmił dzwonek, przerwa się skończyła, uczestnicy plenum wchodzili na salę. Ale Mark Aleksandrowicz czekał na Kirowa.

— Przepraszam, Sergieju Mironowiczu, jak Grigorij Konstantynowicz?

— Zależy się, że jak na razie wszystko w porządku, położył się do łóżka, Zinaida Gawrilowna wezwie lekarza.

Ale Ordżonikidze zabronił wzywać lekarza. Czuli się lepiej, wstał z łóżka, jednak na plenum zdecydował się nie wracać, projekt uchwały jest mu znany, mogą głosować i bez niego.

Przesiadł się na fotel, zamyślił się...

Dziś podczas ich dwuminutowej rozmowy ze Stalinem w foyer zrozumiał absolutnie jasno rzeczywisty stosunek Stalina do Kirowa. Ordżonikidze dobrze znał Stalina, wiedział, co to znaczy, kiedy Stalin, rozmawiając z kimś, nie patrzy na niego...

Zmierzało, w mieszkaniu zapalono światło, zająrzała doń Zinaida Gawrilowna.

— Jak się czujesz?

— Wszystko w porządku, ale nie zapalaj u mnie lampy — poprosił Ordżonikidze — chcę posiedzieć sam.

Siedział i rozmyślał. Po informacji Budiagina o dziwnych przesunięciach w leningradzkim NKWD, kilka razy próbował porozmawiać ze Stalinem o Kirowie, chciał wybiadać sytuację, ale Stalin uchylił się od rozmowy, a potem nieoczekiwanie zaczął sam.

Na Biurze Politycznym dyskutowano informację Kirowa z Kazachstanu o przebiegu ustatu i Stalin jakby mimochodem, bez żadnego związku z dyskutowanymi kwestiami, powiedział:

— Proponowałem towarzyszowi Kirowowi, jako sekretarzowi KC, żeby przeniósł się do Moskwy — odmówił. Ile można siedzieć w jednym mieście? Ośm lat! Wystarczy! Trzymać Kirowa w Leningradzie — na taki zbytek nie możemy sobie pozwolić. Kirow — to działacz na skalę związkową, jest potrzebny całej partii.

I nie powiedział nic więcej, przeszedł do następnej sprawy.

A po posiedzeniu, kiedy już wszyscy się rozeszli i w gabinecie został tylko Stalin, Kaganowicz, Molotow, zdaje się, Kujbyszew też został, Stalin powiedział do Ordżonikidze:

— Porozmawiaj z Kirowem, przecież jesteśmy przyjaciółmi, niech się przeniesie do Moskwy. Potrzebny jest Rosjanin we władzach centralnych. Ja i ty jesteśmy Gruzinami, Kaganowicz to Żyd, Rudzutak — Lotysz, Mikojań — Ormianin. Kogo mamy spośród Rosjan? Molotowa, Kujbyszewa, Woroszyłowa, Kalinina — za mało.

Po powrocie Kirowa z Kazachstanu Ordżonikidze pojechał do Leningradu i przekazał Kirowowi propozycję Stalina. Kirow ponownie odmówił. Opowiadając o swoich scyskach ze Stalinem w Soczi i o następnym konflikcie z powodu Zaporozca, powiedział spokojnie i z przekonaniem.

— Nie pozwolimy Zaporozcowi rozrabiać w Leningradzie.

Jacy nałwili byli oni wszyscy — i on, i Budiagin, i Kirow. Czyżby Stalin nie wiedział, że Kirow nie spasyje przed Zaporozcem? „Karczowanie korzonków” — to tylko przykrywką, kamuflaż, nie tam Zaporoziec nie wykarczuję, nie pozwolą mu.

Co przedsięwziąć? Pozostaje tylko jedno, zyskać na czasie. Trzeba by przetrzymać Kirowa w Moskwie chociażby przez kilka dni, przez tydzień. Wszystko przemysleć, naradzić się z towarzyszami, może uda się namówić Kirowa, żeby przeniósł się do Moskwy. I najważniejsze: niespodziewany pobyt Kirowa w Moskwie wzbudzi czujność Stalina, może się wycofa, może odwoła Zaporozca.

Kirow wrócił z plenum prawie o jedenastej.

Ordżonikidze sam otworzył mu drzwi.

— Doszedłeś do siebie? — weselo spytał Kirow wchodząc do mieszkania. — Jak się czujesz?

Ordżonikidze usiadł w fotelu, złapał oddech.

— Złe, Sierioża, złe, pobądź ze mną parę dni, Kirow, pakujący teczkę, obejrzał się.

— O czym ty mówisz? Pierwszego grudnia, pojutrze, mam referat na aktywie partyjnym... O plenum...

— Co za sprawa — referat... — z trudnością łapiąc powietrze, powiedział Ordżonikidze. — Cudowne, Kodacki nie mogą przygotować referatu? Posiedź u mnie, Sierioża, może nie sądzono nam zobaczyć się więcej...

Kirow podszedł do niego, wziął za rękę, poparzył w oczy.

— Odpędź takie myśli. I połóż się do łóżka, wezwij lekarza. Atak dusznicy zawsze jest połączony z takim strachem. Weź się w garść. Gdzie mam zadzwonić po samochód?

— Ja sam zadzwonię.

Ordżonikidze podniósł się z fotela, poszedł do sąsiedniego pokoju, wykręcił na wewnętrznej linii numer garażu, wezwał do telefonu swojego kierowcę Barabaszkina.

— Wasiliju Dmitrijewiczu, podstaw samochód, odwieziesz Kirowa na dworzec — i zupełnie cicho, zasłoniwszy słuchawkę dłonią, — Ale zrób tak, żeby nie zdążył na pociąg. Zrozumiałeś?

Ordżonikidze wrócił do jadalni, Kirow już spakował teczkę, włożył pałto, stojąc, rozmawiał z Zinaidą Gawrilowną.

— Pobądź lepiej ze mną ze trzy dni — smutno powiedział Ordżonikidze — co, Sierioża, pobądź!

— Nie mogę, przecież już ci mówiłem, pierwszego grudnia mam aktyw.

Na dole przy wejściu rozległ się krótki klakson samochodu.

Kirow objął i ucałował Ordżonikidze, objął i ucałował Zinaidę Gawrilowną, po przyjacielsku zapowiedział jej surowo:

— Nie pozwól mu się prowadzić na pasku, każ mu się leczyć.

Wziął teczkę i pośpiesznie wyszedł. Zegar pokazywał wpół do dwunastej.

Jeszcze przed porą Barabaszkina zatrzymał samochód, wyskoczył, podniósł maskę.

— Co się stało?

— Zasłanie nawala, Sergieju Mironowiczu, zaraz naprawię.

— Nie, nie będę czekać.

Błąd Barabaszkina polegał na tym, że zatrzymał się w pobliżu przystanku tramwajowego. Akurat podjechała czwórka, jeżdżąca trasą do dworca. Kirow zdążył wskoczyć na platformę. Do wagonu „Starzaly” konduktor wpuścił go na minutę przed odjazdem pociągu.

C.D.N.

Tłumaczyła:

EWA-KATARZYNA NOWAK

OD REDAKCJI. Czytelnicy w listach do redakcji zarzucają nam, że więcej uwagi poświęcamy „białym plamom” w historii ZSRR niż w historii Polski. Zarzut do niewątpliwie słuszny. Dzieje się jednak tak dlatego, że w ZSRR toczy się żywa dyskusja o najnowszej historii, u nas takiej dyskusji w zasadzie nie ma, choć mamy rok jubileuszowy: 70 rocznica odzyskania niepodległości w 1918 roku, 40 rocznica zjednoczenia ruchu robotniczego, 50 rocznica zawarcia „paktu monarchijskiego” oraz wiele innych. Wydarzenia

te były i są w różny sposób oceniane i interpretowane. Byłoby więc o czym podyskutować i może nadejdzie czas i na takie dyskusje.

Jan Babiński podjął się trudnej sprawy sprezentowania podłoża zawarcia w sierpniu 1939 roku „paktu Ribbentrop-Mołotow” w świetle dokumentów publikowanych w różnych krajach. Sposób przedstawienia tych wydarzeń jest niewątpliwie dyskusyjny, jako że nie wszystkie dokumenty zostały do tej pory ujawnione, a także wnioski, jakie wyciąga

autor nie są jednoznaczne. Zdaniem Jana Babińskiego pakt o nieagresji zawarty w sierpniu 1939 roku między Trzecią Rzeszą a ZSRR jest wynikiem głębokiego zamysłu Józefa Stalina i jest to jego niewątpliwy sukces, który w końcu przyniósł zwycięstwo narodowi radzieckiemu. Wielu radzieckich historyków podważa taki pogląd. Ich zdaniem Józef Stalin nie wierzył w ogóle w atak hitlerowskich Niemiec na ZSRR, zlekceważył ostrzeżenia wywiadu radzieckiego i zachodnich polityków, nie przygotował należycie Związku

Radzieckiego do odparcia hitlerowskiego najazdu. Gdyby bowiem było inaczej Niemcy nie mogliby dojść pod Moskwę, Leningrad czy nad Wolgę lub na Krym. Niektórzy historycy uważają, że naród radziecki — choć posługując się imieniem Józefa Stalina — zwyciężył dzięki własnej wewnętrznej sile i wbrew niemu. Dyskusja trwa. Niezależnie od tej dyskusji warto zapoznać się z faktami i ocenami prezentowanymi przez Jana Babińskiego.

W ostatecznym rachunku prawdziwym zwycięzcą ostatniej i najstraszniejszej z wojen okazał się Józef Stalin.

„Pakt Ribbentrop — Mołotow”

JAN BABIŃSKI



Joachim von Ribbentrop

Władysław Mołotow

W sierpniu 1939 r. Benito Mussolini zdradzał rosnące zaniepokojenie rozwojem sytuacji międzynarodowej. Groziła ona wybuchem wojny, tymczasem Włochy nie były do niej przygotowane. Pchnął zatem ministra Galeazzo Ciano do Berlina, żeby nieco uśmierzył wojenne zapęty Niemców. Berlin gotów przed czasem nawarzyć piwa, które i Rzymowi przyszyboby wypić, choćby Włochy starały się trzymać w tych rozgrywkach na uboczu.

W swych pamiętnikach Galeazzo Ciano zauważył: „Ribbentrop chciał iść z mną o zakład. Gdyby Anglia i Francja zachowały w konflikcie z Polską neutralność, musiałbym przekazać mu cenny obraz włoskiego malarstwa. Gdyby stało się inaczej, ofiarowałby mi kolekcję starej broni”.

Berlin liczył zatem po cichu, że Zachód w ostatniej chwili „wystawi Polskę do wiatru”, jak to przedtem uczyniono z Czechosłowacją.

12 sierpnia 1939 r. podczas spaceru po ogrodzie willi Joachima von Ribbentropa w Fueschli, opodal Salzburga, Ciano zapisał: — Czego na dobrą sprawę żądacie, Gdańska, czy może całego „Korytarza”?

Ribbentrop wejrzał ironicznie.

— Pan... powiem, idzie o coś bez porównania poważniejszego, jeśli czegoś chcemy, to wojny.

Przeleciały dwa dni na gorączkowych zabiegach dyplomatycznych. Sytuacja stale zaostrzała się. Wtedy to Joachim von Ribbentrop zaczął coraz natarczywiej domagać się spotkania z Władysławem Mołotowem. Są ważne kwestie do uzgodnienia, a czas nagli, Władysław Mołotow nie palił się jednak do rozmów. Po coś się spieszyć, czas pokaże. Dalsze zabiegi Joachima von Ribbentropa też nie odniosły skutku. Wobec tego sam Fuehrer zwrócił się bezpośrednio do Józefa Stalina:

„...napiecie rośnie, każdej chwili może nastąpić nieodwracalny kryzys, dlatego uważam, że powinniśmy nawiązać kontakt, nie tracąc szybko uciekającego czasu. Zauważam, że wobec powagi położenia, Ribbentrop mógłby przebywać w Moskwie jeden dzień, najwyżej dwa”.

Józef Stalin z pewnym ociąganiem wyraził zgodę na przybycie Joachima von Ribbentropa do Moskwy.

Generał Hans Baur w pamiętnikach opublikowanych w 1956 r. „Ich Flug mit den Maechtigen der Erde”, wspomina:

„...wyładowałem na lotnisku Reichenhall-Ainring. Natychmiast nadjechał Ribbentrop, a za nim dwie ciężarówki wypchane bagażem, co sprawiło, że z największym trudem odcierałem się od ziemi na krótkim tam przecięt pasie startowym. Noc spędziłem w Królewcu. Odciecieliśmy rankiem. Ku naszemu zaskoczeniu Rosjanie wykreślili nam trasę przelotu, która wcale nie prowadziła najkrótszą drogą do Moskwy”.

Już ten drobny z pozoru incydent wskazuje, że Józef Stalin od początku nie dążył do hitlerowskiej złamanego grosza. Nie ufał im i nie dowierzał. Żadnych obserwacji z samolotu nie porobił. A bałoby by chcieli sprawdzić zapewne, jaki jest stan militarnych przygotowań na granicy radziecko-polskiej. Owszem, samolot doleci do Moskwy, lecz po wielkim łuku.

Jak wiadomo rozmowy skończyły się zawarciem 24 sierpnia 1939 r. w Moskwie paktu o nieagresji między Związkiem Radzieckim i Trzecią Rzeszą. Układ wszedł do historii jako pakt Ribbentrop-Mołotow.

Oczywiście, jak każde porozumienie tej wagi i doniosłości także układ moskiewski zawierał klauzule tajne. Ich istnienie potwierdził Proces Norimberski. Ujawnił to dr Seidl, obrońca Rudolfa Hessa. Poza tym w 1949 r. ukazała się w Tuebingen obszerna dokumentacja „Die Beziehungen zwischen Deutschland und Sowjetunion 1939-45”. Zawarto w niej między innymi pełny tekst tajnego protokołu, dołączonego do paktu o nieagresji z 24 sierpnia 1939 r. Klauzula ta figuruje tylko w zachodnich dokumentach, natomiast nie znajduje jak dotąd odpowiednika w dokumentacji radzieckiej.

Przytoczę z niego dwa jedynie punkty:

„W wypadku ewentualnych zmian, jakie by zaszły na obszarach, należących do krajów nadbałtyckich, granica z Litwą oznaczałaby granicę wpływów Niemiec i Związku Radzieckiego. W takim wypadku obie strony potwierdzają interesy Litwy w rejonie Wilna”.

I punkt drugi.

„W razie zmian terytorialnych na obszarach należących do państwa polskiego, strefy wpływów Niemiec i Związku Radzieckiego przebiegałyby w przybliżeniu wzdłuż Narwi, Wisły i Sanu”.

Wielu po dziś dzień zadaje sobie pytanie, jakim cudem doszło do zawarcia tego paktu. Zdumiał tysiące, zatrwożył miliony. Stał za tym zimny rachunek, podparty sprytnym i chłodnym realizmem. „Austriacki kapral” lekał się wojny na dwa fronty jak ognia. W dyskusji ze swymi generałami uporczywie do tego nawiązywał zarzucając Wilhelmowi II, że jak mysz dał się zwabić w taką dwufrontową pułapkę. Dążył przede do zabezpieczenia sobie tyłów. Pakt o nieagresji w pełni mu to zapewniał. Wpierw rozprawił się z Polską. Potem rozłoży na łopatki demokrację Zachodu. Wreszcie zważył się na czele stalowych kohort na „zażydżoną i zazjatyżowaną” Rosję. Tym sposobem zawsze będzie walczył na jednym tylko froncie.

W „Histoire de la diplomatie secrete de 1914-1945”, wydanej w 1968 r. w Brukseli, Jacques de Launay pomieścił niezliczone dokumenty. Wśród nich dokładne zapiski z rozmowy, jaką Carl Jacob Burschardt, Szwajcar zresztą i Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku 1937-39, przeprowadził z Fuehrerem 11 sierpnia 1939 r.

„Hitler: — Jeśli dojdzie w Gdańsku do jakichkolwiek dalszych zażądań, spadną na Polaków jak grom z jasnego nieba z całą potęgą mej zmechanizowanej armii, o jakiej Polacy nie mają zielonego pojęcia. W ciągu niewielu dni zetrą Polskę z powierzchni ziemi. Czy pan mnie rozumie?

Burschardt: — Oczywiście, panie kanclerzu, ale to oznaczałoby powszechną wojnę w Europie.

Hitler: — Wiem o tym, ale skoro ma być wojna, niech wybuchnie, kiedy mam pięćdziesiąt lat, a nie sześćdziesiąt. Nie poprowadzę wojny wzorem Wilhelma II, który zawsze miał te swoje różne skrupuły. Będę walczył, nie licząc się z nikim i z niczym. Ta wojna w niczym nie przypomni tej z 1914 r.”

Wziął oddech i dorzucił z naciskiem.

— Niczego nie szukam dziś na Zachodzie i niczego nie będę tam szukał w przyszłości. W tej części Europy nie mam żadnych terytorialnych ambicji. Ale muszę mieć wolną rękę na Wschodzie.

Oznaczało to swobodę w chwyceniu za gardło przede wszystkim Polski.

Europa była porażona szybkością, z jaką niemiecki Wehrmacht zmiażdżył przedwojenną Polskę. A zmiażdżył, przestąpił bawić się w eufemizmy i grał rolę nie wiadomo jakich gierolów. Westerplatte to jeszcze nie Termopile, a walki nad Bzurą w niczym nie przypominały walk nad Marną. Sądono, że to potrwa długo, dużo dłużej, że Niemcy się wykrwawiają, a ich siła bojowa ulegnie nadszarpnięciu. Tymczasem stracili 11 tysięcy zabitych, zadziwiająco mało.

Moskwa też nie kryła zaskoczenia. Rósł jej niepokój. Hitlerowska armada parła wszak wciąż dalej i dalej: „Nach Osten”. Czyż się to, u licha, skończy? Żeby złagodzić te obawy już 5 września 1939 r. Berlin zaproponował, by oddziały radzieckie niezwłocznie przystąpiły do walki i przekroczyły granicę z Polską. Władysław Mołotow zdecydowanie odrzucił te sugestie. Wyzwał, że był to przebiegły nastawiony potrzask. Gdyby Rosjanie wpadli w tę pułapkę, przylegnęliby do nich oskarżenia o współudział w rozdziawianiu Polski. Nie. Trzeba odczekać śledząc bacznie rozwój wypadków. Wobec w odpowiedzi Władysław Mołotow wyraził jedynie nadzieję, że Niemcy będą przestrzegać ustalonej w pakcie o nieagresji linii demarkacyjnej.

7 września 1939 r. niemieckie czołgi zbliżyły się do przedmieść Warszawy.

14 września Władysław Mołotow przyjął na Kremlu Friedricha von Schulenburga, niemieckiego ambasadora w Moskwie. Podkreślił z całą mocą, że obowiązkiem Związku Radzieckiego jest roztoczenie opieki nad Ukrainami i Białorusinami, zamieszkującymi wschodnie rubieże Polski. Dlatego oddziały radzieckie przystąpią do akcji wcześniej niż przewidywano. Polska się rozpadła, to przecież widać. Jednak armia radziecka przekroczy granicę dopiero po kapitulacji Warszawy. W żadnym razie wcześniej.

Warto jeszcze zajrzeć do obszernych „Documents on German Foreign Policy”, przechowywanych w Londynie. W tym zbiorze znalazły się też depesze slane z Moskwy do Berlina przez Friedricha von Schulenburga właśnie. Skoro chcemy pójść tropem białych plam, trzeba niektóre z tych depesz przypomnieć. 16 września 1939 r. Schulenburg przesłał Ribbentropowi taką oto notkę: „...spotkałem się dziś z Mołotowem. Oświadczył, że zapada już decyzja co do wojskowej interwencji Związku Radzieckiego w Polsce. Jest to kwestia dnia, najwyżej dwóch. Stalin właśnie konferuje o tym z szefami swej armii”.

Podczas tego spotkania Władysław Mołotow przy sposobności wyjaśnił, że rząd radziecki zamierza usprawiedliwić swą akcję następująco: Państwo polskie rozpadło się i już nie egzystuje. Siła zatem faktu wszystkie dotychczas zawierane porozumienia z Polską i układy straciły swą ważność i przestały być dla Związku Radzieckiego wiążące. Sytuacja, jaka się teraz wytworzyła mogłoby wykorzystać trzecie mocarstwo. Aby uchronić przed tym ukraińskich i białoruskich braci, Związek Radziecki weźmie ich pod swą opiekę i zapewni życie w spokoju.

17 września 1939 r. Friedrich von Schulenburg przesłał depeszę, na którą Joachim von Ribbentrop czekał z największym zniecierpliwieniem.

„Przyjął mnie Stalin... okładał uroczystości, że armia radziecka przekroczy granicę z Polską nad ranem. Jego samoloty rozpoczęły jutro bombardowanie terenów na wschód od Lwowa”.

W trakcie tej rozmowy Józef Stalin zadał niemieckiemu ambasadorowi kilka pytań.

Czy armia niemiecka dotrzyma zobowiązań, ustalonych w traktacie o nieagresji? Czy wycofa się do granic w tym dokumencie zatwierdzonych? Czy Berlin zamierza dotrzymać pozostałych też ustaleń?

— Ależ tak — zawołał Friedrich von Schulenburg — nie może być co do tego cienia wątpliwości.

Józef Stalin, jak zwykle zimny i podejrzliwy, nie ustępował. To zdawkowe zapewnienie wcale go nie zadowala.

— Żądam gwarancji — wyrzekł z lodowatym chłodem.

Friedrich von Schulenburg, zachowując zimną krew, nawiązał kontakt z Berlinem. Wrócił z ambasady rozpromieniony. Otrzymał solenne zapewnienie, że akt o nieagresji będzie dotrzymany we wszystkich punktach i najdrobniejszych szczegółach, zgodnie z duchem porozumienia. Stanowi przecież nowy i trwały fundament dobrych stosunków między Niemcami i Związkiem Radzieckim. O szczerym choćby państwie polskim w rodzaju Księstwa Warszawskiego nie było mowy.

23 września 1939 r. Joachim von Ribbentrop wystosował do Władysława Mołotowa pilną nader depeszę. Czas najwyższy zdefiniować ostateczną granicę między Niemcami i Związkiem Radzieckim. Dłużej tej kwestii nie można odwiekać. Wyraził gotowość natychmiastowego przylotu do Moskwy. Józef Stalin na tę propozycję przystał bez wahania. Wezwał też na Kreml Friedricha von Schulenburga i wyłożył mu swój punkt widzenia na wszystkie sporne jeszcze zagadnienia.

Po tej rozmowie Friedrich von Schulenburg połączył się z Berlinem.

„Stalin proponuje, by granice niemieckie przesunąć dalej na Wschód, to jest do samego Bugu. W zamian musielibyśmy zrezygnować z naszych roszczeń do Litwy”.

Niemcom miała zatem przypaść dodatkowa cała Lubelszczyzna, także rozległe tereny na wschód od Warszawy. Były to ziemie od wieków etnicznie polskie. Otóż po długich rozważaniach w bibliotece swej podmoskiewskiej dążył Józef Stalin koniec końców do przekonania, że Polacy nigdy nie pogodzą się z utratą niepodległości. Dowodzą tego ich dzieje. Dojdzie z ich strony do sabotaży, wyłoni się partyzantka. A w organizowaniu tajnych spryszeń Polacy są wszak mistrzami. Znał ich dość dobrze z pobytu na syberyjskim zesłaniu. Nie ich nie zmoe i tak łatwo broni nie złożą. Zatem niech ten kłopot spadnie na Niemców.

Gdy 28 września 1939 r. Joachim von Ribbentrop wyładował w Moskwie, czekała go przykra niespodzianka

Od pierwszej chwili Józef Stalin okazał się twardy i nieustępliwy. Podwyższył poprzeczkę. Żądał dostępu do Estonii. Zaskoczony Ribbentrop poprosił o przerwę w rozmowach i połączył się z Fuehrerem Józef Stalin domaga się praw, informował, do zainstalowania w Estonii dwóch dywizji i jednej brygady przeciwlotniczej. Nie wydaje się, by można go było nakłonić do ustępstw. Co robić?

Fuehrer, nie nowicjusz przecież w takich posunięciach, od razu zwietrzył skąd wiały wieją. Już nazajutrz zarządził ewakuację 86 tysięcy volksdeutscheów z Lotwy i Estonii. Mało tego, skończyło się tym, że Berlin zmuszony też był spisać na straty całą Litwę. Trafiała kosa na kamień. Fuehrer uświadomił sobie, że na Wschodzie tak gładko mu nie pójdzie. Doznał upokorzenia, to jasne. Oddał, co sam zamierzał polknąć i przełknąć. A snł mu się rejon Borysławia i Drohobycza z bogatymi złożami ropy naftowej. Figa, musiał się obejść smakiem.

Obie strony podpisały końcowy protokół 28 września 1939 r. w Moskwie. Definiował zasięg niemieckich wpływów na Wschodzie. Siegały Bugu. Kręte nadbałtyckie przeszły pod wpływ radzieckie.

Wielu posądzało Józefa Stalina o naiwność. Śmieszne, kto jak kto, ale on właśnie nie żywił najmniejszych złudzeń, co do istoty zamierów brunatnych władców Berlina. Przecież w „Mein Kampf” hitlerowskiej Biblii, wydawanej jak „Stary Testament” — zawsze w czarnych okładkach, przyszły dyktator pisał z rozbijającą szczerością:

„Zaczniemy w miejsu, gdzie 600 lat temu przetrwali nasi przodkowie. Powstrzymujemy odwieczne parcie Germanów na Zachód i Południe, kierujemy nasz wzrok ponownie na Wschód. Kiedy mówię o nowych ziemiach dla Niemiec, można mieć na myśli wyłącznie Rosję i państwa do niej przylegające”.

I dalej:

„Kierownicze warstwy Rosji zostały doszczętnie wyteplone. Ich miejsce zajął Żyd. Rosjanie nie są zdolni z Żydem się otrząsnąć. Żydzi zaś nie są w stanie pokierować tak ogromnym krajem i utrzymać na dalszą metę jego byt. Był zawsze fermentem, czymś co nie nie organizuje, tylko niszczy i rozkłada. To element destrukcyjny. Das Riesenreich im Osten ist reif zum Zusammenbruch, gigantyczny kraj na Wschodzie dojrzał już do upadku i zalamania”.

Fuehrer nigdy swych poglądów nie zmienił. Nawoływał nieustannie do „Drang nach Osten”, szukał „Lebensraumu”, życiowej więc przestrzeni na Wschodzie.

Józef Stalin uświadamiał sobie od pierwszego dnia narastającą groźbę nagłego ataku ze strony hitlerowskich Niemiec. Dlatego takich dokładał starań, by granicę przesunąć na Zachód i zyskać poza tym na czasie, aby się dobrać. Nie ufał Niemcom. Nie do wierzył też Anglikom. Zamknięty w swej bibliotece studiował późnym wieczorem dzieje niejednego narodu. Znał historię Anglii. Nie mógł nie wiedzieć, że ten mały w gruncie rzeczy i kupiecki lud wyspiarski podbił pół niemal świata nie tyle orężem, co o szustwem, mactwem, zdradą i ową znaną od wieków perfidią.

Cóż takiego miała Anglia do zaoferowania Związkowi Radzieckiemu prócz gładkich słów i zapewnień o przychylności? Józef Stalin ostatnim zaś był człowiekiem, którego można by nabrać na piękne słowa. Winstonowi Churchillowi nie ufał do końca. Już latwiej znajdował wspólny język z Franklinem Delano Rooseveltem. Kiedy w Gibraltarze zginął generał Władysław Sikorski, zażartował z ironią w głosie:

— Nie radzę nikomu wsiadać do angielskich samolotów.

Wszędzie dopatrywał się zakulisowych machinacji angielskiej „Intelligence Service”.

Nam, Polakom „pakt Ribbentrop-Mołotow” zaszedł za skórę i tkwił jak zadra. Ileż pociągnął za sobą najboleśniejszych doświadczeń tysięcy i tysięcy polskich rodzin. Pamięci o tym czas nie zatę. Przykro o tym mówić, lecz historia uczy, że kiedy ważą się losy państw, dekalog wedruga zwykle na śmietnik. Górę bierze wtenczas dobro i bezpieczeństwo wielkich narodów. Już Litwa wolała: Vae victis — biada zwyciężonym.

Rozpadło się imperium brytyjskie, w pył obróciło francuskie. Przegrała cała Europa. Punkt ciężkości przenosił się w inne rejon świata. W tym ostatecznym rachunku prawdziwym zwycięzcą ostatniej i najstraszniejszej z wojen okazał się Józef Stalin.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

SPÓR O BIESZCZADZĄ ZAKOŃCZONY

Stanowisko Ministerstwa Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej wyrażone w oświadczeniu rzecznika prasowego tego ministerstwa zakończyło spór o stację klimatyczną mającą powstać w Bieszczadach. Stanowisko to wprawdzie samej idei nie jest przeciwne, ale...

„Uważamy natomiast — stwierdza Eugeniusz Gajewski, rzecznik prasowy MRiGŻ — że istnieją inne, liczne możliwości rozwijania różnego rodzaju działalności, tak produkcyjnej, jak i turystycznej w tym rejonie, pozwalające na pełne zachowanie jego walorów”.

I dalej: „Ministerstwo deklaruje także, że swej strony, gotowość współdziałania z inicjatorami tworzenia stacji klimatycznych np. w Sudetach. I chodzi tu nie o jeden wielki ośrodek, a małe, których budowa nie naruszyłaby walorów przyrodniczych danego regionu”.

Ze stanowiskiem tym koresponduje niejako artykuł MACIEJA PETRUCZENKO opublikowany w „Przeglądzie Sportowym” pt. „Bieszczady protestują, a Karpacz czeka...”. W artykule tym autor pisze między innymi:

„Pomimo tego niewypału uważam, iż owa akcja była w sumie pozytywna, wywołała bowiem tak bardzo potrzebny ferment, spowodowała głęboką dyskusję i — być może — w konsekwencji zaowocuje zgodnie z oczekiwaniami, jakkolwiek zainteresowanie skupi się na innym terenie.”

Nie bez słusznego powodu się o potrzebie większego uaktywnienia rejonu Sudetów. W Tatrach trwa święta wojna z zarządem Parku Narodowego, w Beskidach górnicy zrobili dla narciarstwa co mogli (a może nawet jeszcze więcej), tymczasem Bierutów Karpacki, Szklarska Poręba, Duszniki czują się wprost obrażone pominięciem w ogólnonarodowych kalkulacjach.

Usłyszałem od miejscowych działaczy, że same tylko Karkonosze mogą być wystarczającą bazą narciarską dla niemal całej Polski”.

W tej sytuacji nie ma już potrzeby polemizować z autorami listów, jakie nadeszły po moim artykule o sporze o Bieszczady. Dziękuję zatem ZYGMUNTOWI ŚWIĄTKOWSKIEMU, BEACIE KOWALSKIEJ, ROMANOWI OGINSKIEMU I CEZAREMU KABAŁE. Kwituje również kopię protestu Studenckiego Klubu Turystycznego „W Siną Dół”.

Na zakończenie mogę tylko dodać, że referując, w miarę obiektywnie, istotę sporu o Bieszczady wyrażałam równocześnie troskę, aby ta idea nie spoczęła w sferze narodowych idei, jak miało to miejsce z wieloma innymi pomysłami. Niestety, wszystko wskazuje na to, że tym razem stan się zgodził z dotychczasową praktyką. Mamy świetne pomysły i znakomicie potrafimy je tak grzebać, aby nigdy nie zostały zrealizowane choć w części, w zmienionych warunkach, w innych miejscach.

JADWIGA M. NIEDZWIECKA

CZY KOMBATANT MOŻE MIEĆ 1,5 ROKU?

Coraz częściej odzywają się głosy na temat przedziwnego i tajemniczego zjawiska: im więcej lat upływa od końca II Wojny Światowej — tym więcej u nas bojowników i kombatanów. Zresztą czy tylko u nas?

Oddając w pełni hołd tym najbardziej zasłużonym, nie sposób nie zauważyć pedu do „zahaczenia się” tych, którzy o martyrologię choćby się tylko otarli. W publikowanym przez Wydawnictwo Prawnicze zbiorze orzeczeń „Naczelnego Sądu Administracyjnego (Nr 1/85, poz. 5) znajduje następujące stwierdzenie: „...o tym, czy obóz hitlerowski był obozem koncentracyjnym decyduje nie jego nazwa, ale jego funkcja w realizacji eksterminacyjnej polityki okupanta wobec Polaków”.

Chodziło o to, czy można postawić znak równości między określeniami „obóz hitlerowski” a „koncentracjonalny”, „przedsiedlarczy” lub „karny”. Jest to stwierdzenie niewątpliwie słuszne i nie zamierzam z nim polemizować ze względów zasadniczych.

Dziwnie jednak zaczynam się czuć, gdy dalej czytuję, że to ustalenie NSA dotyczy stanu faktycznego, kiedy to Jerzy K. zaszkodził decyzję Zarządu Głównego ZBoWiD, odmawiającą mu uprawnień kombatanta z tych tylko, wyżej wskazanych przyczyn. Rzecz bowiem w tym, że Jerzy K. dostał się wraz z rodzicami do obozu hitlerowskiego w roku 1942, gdy miał 1,5 roku!

Proszę mnie nie nie rozumieć: Jerzemu K. na pewno żal zrodzić nie należy! Co najwyżej można podziwiać jego rodziców, którzy zdołali go utrzymać przy życiu i wszyscy doczekali wyzwolenia w 1945 roku.

Ale nasuwa się pytanie. Czy problem polega na zadośćuczynieniu za krzywdy moralne i fizyczne oraz na wynagrodzeniu szkód? Jeśli tak — to tych, którzy głodowali, byli poniewierani, bici i traktowani jak zwierzęta — znalazłoby się jeszcze teraz w Polsce na pewno parę milionów. Nie licząc tych, którzy nie zdążyli upomnieć się o to, bo już dawno zgnili, albo po prostu o tym nie myśleli, ciesząc się po 1945 roku wolnością.

Jeśli zaś chodzi o problem „bojownika” lub „kombatanta” — to mierzi mnie myśl, że w jednej kolejce z rzeczywistymi uprawnionymi ustawia się Jerzy K., który w czasie faktów, na które się powołuje — miał półtora roku! Na tym chyba, oprócz kategorii moralnych, polega nadużycie prawa?

W. A.

W SZKOLE DZIEJE SIĘ NIEDOBRE

Jak w całym kraju w Łodzi brak jest nauczycieli. Władze oświatowe stosują tu dziwną praktykę, np. w Wydziale Oświaty i Wychowania Łódź-Bałuty. Nauczyciel emeryt składa w maju lub czerwcu podanie o zaangażowanie, czeka do września i dowiaduje się, że nie będzie zaangażowany, mimo tego, że w wielu szkołach brakuje 3-4 i więcej nauczycieli. Wydział Oświaty wyjaśnia, że musi najpierw zatrudnić młodych nauczycieli, to dobrze, ale czy WOWiK nie orientuje się ilu tych młodych będzie bez żadnych praktyk nauczycielskich? Emerytowany nauczyciel czeka na możliwość zatrudnienia i nie doczekawszy angażuje się do innej pracy, a to przecież wielka strata zrezygnować z tych tak doświadczonych, a i często zasłużonych nauczycieli.

Na przykładzie jednej ze szkół w dzielnicy Łódź-Bałuty pragnę przedstawić pracę dyrektora liceum i WOWiK w tym trudnym dla nas i naszej oświaty okresie, gdy oczekuje się pomocy Narodowego Funduszu Pomocy Szkole i innych instytucji, aby poprawić kondycję oświaty. XXX Liceum Ogólnokształcące posiada 20 izb lekcyjnych, 19 klas oraz 7 grup sportowych. W szkole wiele przedmiotów dzieli się na grupy, ale przy tej liczbie izb i klas podział na grupy poszczególnych przedmiotów jest tylko fikcją. Mimo to przedmioty dzieli się, a z powodu braku pomieszczeń często, uczy się na korytarzach lub wędruje się z klasą po całej szkole. Klasy są bardzo liczne. W szkole też istnieją pracownie przedmiotowe, przeważnie bardzo dobrze wyposażone w sprzęt audiowizualny i inne pomoce naukowe, ale ich wykorzystanie w dużej mierze jest niemożliwe. Wędrujące klasy muszą dostosować się do wielkości pracowni (ilu może pomieścić uczniów), niż do jej przeznaczenia. Odpowiedzialni nauczyciele za poszczególne pracownie w ogóle nie wykorzystują swojego sprzętu, jak to ma miejsce w pracowni języka rosyjskiego. Nie założono tam słuchawek od jej założenia, bo na-

uczyciel odpowiedzialny za sprzęt bardzo mało w niej uczy, a za sprzęt materialnie odpowiada. Wszystkie pomieszczenia w szkole przeznaczone na klasy-pracownie zabierają na ten cel również pomieszczenia organizacji szkolnych, jak ZSMP czy ZHP. Pozbawione własnego kąta organizacji albo w ogóle nie istnieją, albo liczą po kilku członków. Np. ZHP w szkole nie istnieje, a w szkole jest wielu harcerzy, ale należą do organizacji w innych szkołach.

Tak zorganizowana szkoła osiąga mierne wyniki. W roku 1986 szkoła była na jednym z ostatnich miejsc w województwie pod względem promocji i liczby absolwentów. W roku 1987 zmienił system. Promocję otrzymali prawie wszyscy, ale na wyższe uczelnie dostało się tylko kilkunastu uczniów na przeszło 90 absolwentów.

Dyrekcja i władze oświatowe traktują szkołę jak własny foliark, czego dowodem może być następujący przykład...

W ramach wymiany młodzieży, udała się w końcu lutego 1988 r. grupa 17 uczniów do Francji. W skład osób towarzyszących pojechały dwie opiekunki (nauczycielki jęz. francuskiego) oraz dyrektor i zastępca inspektora nie znający ani słowa w języku francuskim. Żadne przepisy nie przewidują aż czterech osób towarzyszących jako opieką. Co najważniejsze objęto również rekompensatą finansową dyrektora i zastępcę inspektora. Pytałem się, czy w obecnej sytuacji stać nas na to, aby kosztem społecznych pieniędzy robić komuś prawie bezpłatną wycieczkę do Francji?

J.K.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

CO DZIEJE SIĘ W PARKU STAROMIEJSKIM?

W latach pięćdziesiątych przystąpiono w Łodzi do budowy nowego parku, który nazwano Staromiejskim. Usytuowano go pomiędzy ulicami Zachodnią, Starym Rynkiem, Podrzeczną, Wolborską, Franciszkańską, Północną i Ogrodową. Były to miejsca wyburzonych domów na terenie byłego getta. Od ul. Ogrodowej pozostawiono sporych wymiarów wzgórek osłaniający dawne schrony przeciwlotnicze.

Pracujący przy plantowaniu terenu oraz obsiewaniu go trawą ludzili się, że robią to dla swoich dzieci i wnuków, że kiedyś, gdy będą już na emeryturze, przyjdą tu wiosną i zażyją promieni ciepłego słońca. Ale nadzieja ta nie spełniła się.

Kiedy przekazano park do użytku publiczności usytuowano na nim kamienne stoliki z szachownicami do gry w warcaby lub szachy. Był to naprawdę dobry pomysł. Ale radość nie trwała długo. Nadeszły bowiem lata, w których do głosu doszły „urodziny w niedzielę” coraz częściej okupujący wspomniane stoliki. Były lata, że na stoliki te wędrowały butelki z mocniejszym płynem, ale kiedy nastąpiły czasy wzmożonej walki z alkoholizmem miejsca te zmieniły swoje przeznaczenie na bardziej „kulturalne”.

Już od wczesnych godzin rannych obsiadają je codziennie ludzie o tych samych twarzach, z zapalem oddając się grze w warcaby. Pozornie wydaje się to zwykłą sprawą. Ale tylko drogi przechodni sprobuj usiąść na jednej z tych ławek stojących wokół stolików. Od razu dowiesz się, że miejsce to jest przez kogoś zajęte, kogoś który tylko na chwilę gdzieś wyszedł. Zostaniesz wyproszony za pomocą wzianki „lacińskich słów”. Chyba że zdecydujesz się na zagranie partycjki. Nie za darmo. Za niezbyt wygórowaną cenę od 1000 zł wzywk. Wśród emerytów chętnych nie ma, ale od czego są „frajerzy” werbowani wśród ludzi przyjeżdżających do Łodzi po zakupy?

Namówiony do gry „Jelen” zasiada na miejscu skwapliwie ustapiłom mu przez „przypadkowego” kibica. Inni obępują grających nie dopuszczając jego towarzysza do ławki. Jeszcze inni za pomocą ostrych narzędzi dobierają się do portfela grającego wybierając z niego pieniądze. Kiedy jest już po wszystkim grający z ofiarą „laskawie” daje mu wygrać, przeklinając i płacąc „przepraszam” sumę. Wtedy dopiero grający orientuje się, że został okradziony, ale już w tym momencie nie ma połów kibiców. Pozostali z zafasowanymi minami informują:

— Był tu taki jeden w kraciastym ubraniu, ale uskokzył do ruszającej w kierunku pl. Wolności „szesnastki”.

Wzdłuż ul. Nowomiejskiej, przecinającej park Staromiejski na dwie części, nowa atrakcja. Grupa kobiet ubranych w kraciaste cygańskie spódnice, z narzuconymi na głowy kwiecistymi chustami głośno wykrzykuje nie zwracając uwagi na otoczenie:

— Karta prawdę ci powie!

Starszy emeryt, który chciałby w spokoju przejść się po parku i zacerpnąć wzdychając (jak na łódzkie warunki) powietrza ciężko wzdycha i myśli: — Kiedy wreszcie pobyt w parku stanie się naprawdę spokojny?

Pytanie to dedykuję służbom porządkowym, władzom dzielnicowym i miejskim.

MIECZYSLAW KOZAK

TRZEBA MIEĆ ZDROWIE, ABY SIĘ LECZYĆ

W rejestracji do lekarzy specjalistów, dość spora kolejka. Przy okienku widnieje napis: „zgłoszenia telefoniczne przyjmowane są od godz. 7.30. Dzwoncie. Telefon bez przerwy zajęty. W następnym dniu tak samo. Na trzeci dzień udaje mi się uzyskać połączenie.”

Abym mógł otrzymać właściwą diagnozę, należy wykonać badania dodatkowe: badanie krwi i moczu w dniu następnym, na róg. Muszę czekać dwa tygodnie. Paniąka z przychodni rejonowej nie orientuje się, od której godziny czynne jest laboratorium analityczne. Tak było. Wstaję o 6.00 godz. Przed drzwiami laboratorium zastaję sporą grupkę ludzi. Wreszcie o 6.00 otwierają się drzwi i wchodzimy do środka. Poczekalnia obszerne, w której oczekujemy dalsze 45 minut. Trwają przygotowania. Punktualnie na kwadrans 8.00 rozpoczynają pracę. Po godz. 10.00 w poczekalni nie ma nikogo. Wyniki badań będą gotowe za kilka dni.

Przychodnia rejonowa przed modernizacją zatrudniała stomatologów na dwie zmiany. Dziś jeden gabinet stoi pusty, a w drugim pracują dwie lekarki na zmianę, trzecia na urlopie wypoczynkowym. Nawet z bólem zęba trzeba „trafić” na właściwą zmianę, przypisaną do danego rejonu. Na zmianę rannej nie zostało załatwionych.

— Nie mogę pana przyjąć, mam komplet pacjentów — rozkłada ręce pani stomatolog — proszę przyjść o godz. 14.00 na drugą zmianę.

Przychodzę o godzinę wcześniej. Pani stomatolog już zakończyła pracę.

Dwie zmiany, ranna i popołudniowa spotykają się w drugim gabinecie, by uczcić odejście swojej koleżanki. Są kwiaty, prezenty, a także inaczej. Małe przyjęcie odbywa się w pustym gabinecie stomatologicznym, na oczach oczekujących pacjentów. Gabinet przydał się na coś.

O godz. 14.30 zostaję poproszony na fotel, jako pierwszy w kolejce.

— Z czym pan przychodził?
— Z bólem zęba, czekam od rana.
— A był pan wyznaczony na dziś?

Zdebiłem. Czy mogłem przewidzieć ból zęba, myślę sobie. Nie odpowiadam.

— Wie pan, musimy się bronić przed pacjentami, pracy mało, czasu mało i zdrowie już nie takie, itd.

Wyznanie szczere.

Nie wiem, czy nie za dużo mamy wszelkiego rodzaju przeplisów, rejonizacji, etatyzacji i biurokratyzacji, przez którą trudno się przebić człowiekowi. Najwyższy czas, by uzdrowić naszą społeczną służbę zdrowia w sposób realny i życiowy, nie kosztem pacjenta, lecz właściwym stosunkiem do każdego schorowanego człowieka. Chciałoby odrobinę wyrozumiałości i życzliwości, która nie nie kosztuje.

(Nazwisko i adres znane redakcji).

W. B.

MY JESTEŚMY LOBUZY!

Zmrok już zapadł, gdy maszerowałam rażno, w stronę domu. Tuż przede mną wyłoniły się z ciemności trzy najwyżej czteronastoletnie postacie. Dwóch chłopców i stąpająca między nimi dziewczyna. Chłopak, który siedzi po jej lewej stronie górował nad dwójką nie tylko wzrostem, ale i tuszą. Patrząc z uwagą na mówiącą dziewczynę. Ona rozświegotana, z mnóstwem łez w oczach, wyciągała kilka słów, które zwróciły moją uwagę. Wskazując na chłopca idącego po jej prawej stronie powiedziała do grubaska:

— Ty wiesz, jaki on przyszedł do mnie wczoraj nachlany. Na czterech wchodził do mieszkania.

Bohater owego zdania miał drobne, pochylone plecy w obcisłej, czarnej kurtce i modnie ostrzyżoną, zaczesaną do tyłu blond fryzurę.

Muszę przyznać, że zasłyszana wypowiedź zrobiła na mnie wrażenie. Minąwszy ich rozmyślałam cały czas o tym. Zdzieliłam się z pewnością prawem kontrastu: niewinna buźka grubaska, przyjemne brzmienie głosu dziewczyny oraz informacja zawarta w kilku słowach rzucanych jakby od niechcenia. Zdarzenie to wywołało z mej pamięci jeszcze kilka innych żalonych wydarzeń, których byłam świadkiem lub niekiedy, niestety, także uczestnikiem.

Stądla mi przed oczyma wyciągnięta w moją stronę dłoń może dziesięcioletniego smarka w lichym ubranku, prosząca, przed punktem z automatami do gry, o mające dlań czarno-kiejską moc dwadzieścia złotych. Jego rówieśnik z „Autosiluxem” i dwoma szmatkami do czyszczenia szyb samochodowych z passem, uwiązany się między parkującymi przed „Universalem” samochodami, z buźką równie gorąco proszącą o zezwolenie na przetarcie zakurzonej szklanej płaszczyzny. Jego podziwu godna energia i zapał w czasie świadczenia usługi oraz triumfalne zaciśnięcie dłoni na otrzymanym datku.

Dwóch młodych chłopców obyspujących gradem twardych kul śniegowych trzeciego najmniejszego i chyba najmłodszego, jęczącego i zwijającego się pod bolesnymi ciosami, jednakże podążającego za nimi krok w krok z nieukrywany zachwytem z pełnego oddania w oczach. Ich dumny i zadziorny okrzyk skierowany w moją stronę:

— My jesteśmy lobuzy!

A także kilkunastoletnie panienki z wyдутymi wargami, strzelające na boki spojrzami niedwuznacznie kierowanymi w stronę przyduszonych wielkimi mężczyzn, zaciągające się głęboko papierosowym dymem.

Wszystkie te młode, nieugięte buzie zły mi się w mym wrażeniu w jedną pomarszczoną, trzęsącą się twarz. Twarz i wyciągnięta w stronę nie dojeżdżonego przez kogoś posilku również trzęsąca się ręka. Ręka ta sprawnie zawiadnęła umazanymi potrawą sztućcami i w pośpiechu przetransportowała pożywienie do bezżelaznej paszczy. Trwało to zaledwie kilka chwil. Po czym złachmaniona postać z wielką intuicją przelawirnowała między wysokimi stolami „Balatonu”, by dopaść następnego dopiero co opuszczonego talerza. Łapczywość z jaką to wszystko zostało pochłonięte wywołana była, jak myślę, nie tyle uczuciem głodu, ile obawą przed bezlistnością pracownicy baru zbierającej brudne naczynia. I znów triumf tym razem nasyconego darmo brzucha wychodzącej na szare chodniki ulicy postaci.

Wlęczy się po dworcu kolejowym starzec z opuszczonym poniżej suchych pośladków spodniami podrzymywanymi jedynie zaczepionym z przodu o dziurkę rozporoka patykiem. Suchy i wynędzniały snujący się bez sensu w poszukiwaniu zagubionej tożsamości.

I znów wyciągnięta w proszącym geście ręka. Trzęsąca się na mrozie kobiecina i jej głos:

— Na bułkę pantoflu, na suchą bułkę.

A potem jeszcze przelotne spojrzenie w jedną z bram ulicy Piotrkowskiej i obraz spragnionego babczyska przechylającego butelkę „Wody brzoźowej” tuż przy wejściu do drogerii.

Wszystkie te żaloności uprzytamniają mi, że przed owymi dziećmi jest jeszcze cała droga przez brud i śmierdzące kamienie miasta. Zastanawiam się tylko, czy one mają choć odrobinę świadomości, że mogą w tym życiu coś stracić.

ANNA POLAKOW-NEJMAN

NIE PŁACIĆ ZA ZŁĄ PRACĘ!

W numerze 9 z 27.02.1988 r. przeczytałem sprawozdanie z dyskusji redakcyjnej pt. „Przetrywaj zły czas”. Gdyby nie choroba — już wcześniej napisałbym do redakcji, ponieważ tupet (a właściwie należałoby użyć dobrego, staropolskiego słowa bezczelność), niektórych uczestników przeszła możliwa granica. I tak p. dyrektor Łódzkiego Drukarni Dzielowej skarży się na podatki, na cenę, na wszystko. Pisze, że z ŁDD wyszło wiele wspaniałych wydanych dzieł a dziś młodzi pytają, co to jest obwołana! Ale może w tych czasach był inny dyrektor, który umiał nie tylko walczyć o podwyżki płac dla pracowników, ale i egzekwować uczciwą pracę od nich.

Jak można skarżyć się na wszystko po kolei, a dopuścić, by powstały straty przez brakorobstwo, tysięczne zwroty książek, które rozsypany się po, a nawet jeszcze przed przeczytaniem! Posyłam Jabłońskiego „Trzy dni tygrysa”. Nie przeczytałem jej, bo rozsypany się po otwartości. Zapłaciłem za nią 200 zł, z których jakaś częśćka tkwi w zarobkach dyrektora. Niech mu idzie na zdrowie. Nie podnosiłbym larum, gdyby nie to, że taka sama historia była z Grundkowskiego „Labiryntem wyobraźni” (ŁDD — Zakł. nr 3), Strugackich „Żukiem w mrowisku” (ŁDD), Popik „Tylko Ziemia” (ŁDD Zakł. nr 3), Gunn — „Stuchacz” (ŁDD) i szeregiem innych. Wymieniałem je cierpliwie, ale ileż można!

Wiem, że usłyszę tłumaczenie o braku kleju za dewizy, o tysiącach innych obiektywnych przyczynach. A ja każdemu mogę pokazać książki wydane w Warszawie w 1890 r., w 1888, 1892, 1894, 1929 itd. I to nie dostojne księgi, które bierze się w rękę raz na kilka lat, lecz powieści Allena, Conwya, Buchanana, Dauma, a więc swego czasu bestsellery. Drukowano je i oprawiano w Warszawie, Łwowie, Łodzi, Czerniowcach, Gródzie, w maleńkich drukarniach i introligatorniach, w których pracował właściciel, mistrz, czeladnik i kilku biednych, najczęściej chorowitych Żydów — terminatorów. A jednak każdy z nich spłynał pod nogi robotnikowi, który wypuszcza ze swoich rąk braki takie, jakie przytoczyłem powyżej. Nikt z tych drukarzy i introligatorów nie żądał „wkładu dewizowego”. „Rój” potrafił w ciągu trzech tygodni wydać i oprawić tytuł, a książka się nie rozlatywała, ani nie było w niej brak jednej składki, a innej podwójnej

(Christie „12 prac Herkulesa”) Prasowe Zakł. Graf. Koszalin). Dyrektor Łódzkich Zakładów Graficznych pisze, że stara się dotrzeć do każdego stanowiska pracy, przekonać drukarza, aby nie był automatem, by dobrze wykonał pracę. A może zamiast przekonywania — po prostu nie płać za źle wykonaną pracę? I nie tłumaczyć już brakorobstwa brakiem takich czy innych klejów, a poprosić starych introligatorów, czym kleić książki 50 lat temu.

Po Polsce krąży książka wydawana przez różne kluby. Proszę spojrzeć, jak są opatrzone — nie rozłącza się i za wiele lat. A więc można, tylko trzeba mieć trochę poczucia godności zawodowej i zwykłej uczciwości, by nie brać pieniędzy za źle wykonaną pracę.

ALEKSANDER OKRUCIŃSKI
(Wrocław)

OD REDAKCJI: Przesłany nam egzemplarz książki wraz z listem prześlemy dyrekcji Łódzkiej Drukarni Dzielowej.

„RÓŻNE WIDZENIA PRZESZŁOŚCI”

Gdybyśmy żyli w całkowitym odosobnieniu, moglibyśmy powiedzieć, że co mamy, kim jesteśmy, zawdzięczamy wyłącznie sobie. Niestety, a może i na szczęście nie da się człowieka tak wyizolować z otoczenia, by można powiedzieć, iż nie wywarło ono żadnego wpływu na jego osobowość i życie.

W komentarzu do mojego listu „Różne widzenia przeszłości” Lucjusz Włodkowski powołując się na Stanisława Cate Mackiewicz dowodzi, iż Anglia chce odwrócić od siebie uderzenie Niemiec, uciekając się do podstępów i zawierając sojusz wojskowy z Polską, uratowała się tym sposobem przed klęską.

Od biedy można by się zgodzić z tą, w istocie naiwną, interpretacją, gdyby nie fakty, jakie na skutek sojuszu zaistniały, a były to zdarzenia o ogromnym znaczeniu. Anglia, a za nią jak za pania matka Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, co więcej Wielka Brytania nie dała się z niej wytrącić ani po klęsce Francji w 1940 r., ani po wizycie Rudolfa Hessa w 1941 r.

W 1939 roku mogła przysłać nam z pomocą Francja, ale skłona wewnętrznie nie była zdolna do skutecznej obrony nawet swoich granic. Niemal rolę w tym paraliżu woli i instynktu samobrony odegrała Francuska Partia Komunistyczna. Rozpętana przez nią kampania, nawołująca do wycofania się z wojny, a po wrześniu 1939 r. do uznania niemieckich zdobyczy w Polsce i radzieckich poprawek granicznych, za sprawidliwe i ostateczne, była wyrazem politycznej ślepoty Józefa Stalina.

Nawet teraz, tyle lat po wojnie, prerażenie ognia mnie na myśl, co by się stało, gdyby na apele i wezwania do pokoju, genialnego, wielkiego i nieomylnego, generalissimusa i „Słoneczka ludzkości”, Anglia i Francja wycofały się z wojny po wrześniu 1939 r. Zylibyśmy już zapewne w nowej epoce niewolnictwa i przemysłowego ludobójstwa.

Nie pomogli nam Anglicy w 1939, to prawda, ale prawdą jest również, iż pomoc nam nie mogli, bo byli do wojny absolutnie nie przygotowani i co ważne, Adolf Hitler doskonale o tym wiedział. Dlatego tak się mu do wojny z Polską spieszyło, aż w tym pospiechu popełnił ów kardynał, brzemienny w skutkach błąd.

Rozumował logicznie, skoro Anglia jest do wojny nie przygotowana, to raczej zobowiązań wobec Polski nie dotrzyma, niż w nią wdepnie. A tymczasem wbrew logice, zdrowemu rozsądkowi, sojusz polsko-angielski zadziałał. Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę, zrobiła wszystko, co mogła w owej chwili zrobić.

Dzięki temu, jak się popularnie mówi, papierowemu sojusznikowi, kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, Anglia była już w wojnie z Niemcami i dlatego, że już była, stała się sojusznikiem Rosji. W rozgrywce sam na sam Niemiec z Rosją nigdy nie stanęłaby po stronie Związku Radzieckiego, choćby ze względu na powszechny na Zachodzie strach przed komunizmem. Tak więc wciągnięcie Anglii do wojny z Niemcami uważam za wielki sukces polskiej polityki zagranicznej, która — o paradokse — w jakimś stopniu skorygowała błędy popełnione przez Józefa Stalina.

Stalinowska teza, że do wybuchu II wojny światowej doszło ponieważ Polacy nie wyrazili zgody na przemarsz Armii Czerwonej przez Polskę, jak widać choćby z najnowszych publikacji, wciąż znajduje gorliwych propagatorów. Rozumiem, że Stalin wygłaszał te bzdury, ukrywał w ten sposób własną głupotę, ale dlaczego my nie rewidujemy tych sądów teraz, kiedy to wreszcie stało się dzięki „pierestrojce” możliwe.

To prawda, że Zachód nigdy nam w niczym nie pomógł, z tym większym szacunkiem powinniśmy się odnieść do tych, którzy go do tego przynusili.

A wracając do początku mego listu, pozwolę sobie powtórzyć, że to, co mamy, kim jesteśmy zawdzięczamy nie tylko swoim, ale i cudzym błędom!

KAROL OBIDNIAK

Powołując się na pogląd Stanisława Cate Mackiewicza chciałem jedynie pokazać, że bez wnikliwej znajomości wszystkich źródeł dopuszczalne i możliwe są różne widzenia przeszłości. Karol Obidniak uważa, że interpretacja Stanisława Cate Mackiewicza jest „w istocie naiwna”. Przykro mi, ale cały dalszy wywód Karola Obidniaka, mający bronić jego poprzedniej tezy, że to polityka Józefa Becka popchnęła Anglię do wojny w obronę Polski, dokładnie temu przeczy. Zapomina Karol Obidniak, że rok wcześniej było Monachium, że również w Anglii zdano sobie sprawę z tego, że musi dojść do wojny. Lepiej, aby doszło z dala od Anglii. I właśnie nawinęła się Polska. Oczywiście upraszczam, ale trudno w króciutkiej notce „kusić się o cały, złożony wywód historyczny.”

Natomiast Karol Obidniak jakby nie dostrzegł faktu, że — o czym sam pisze — Francja była nie zainteresowana wojną. Anglia do niej nie była przygotowana. Coż to był zatem za sukces w pozyskaniu takich sojuszników. I rzeczywiście nie dla Polski nie zrobił. Francja nawet sama nie potrafiła się obronić. Anglia bronić się musiała.

Inną zupełnie sprawą jest możliwość lub niemożliwość sojuszu Polski z ZSRR. Też mam poważne wątpliwości, czy ZSRR — który później tak szybko uległ nawale hitlerowskiej i który był uwikłany w walki z Japończykami w Mongolii — mógł istotnie przysiąc z pomocą napadniętym krajom Europy Wschodniej. I czy ta pomoc skutecznie powstrzymałaby hitlerowską agresję. Ale powtarzam — to już zupełnie inny temat. Zbyt mało jeszcze o tym wiemy. Ale podyskutować zawsze warto, tylko może już przy innej okazji.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JEST W ŁÓDZI TAKA SZKOŁA

W ukazaniu społeczeństwu losów szkół łódzkich napotykałyśmy duże braki w odczytaniu zapisanych śladów ich przeszłości. Wpłynęły na to zaburzenia dziejowe i w dużym stopniu pierwsza, a szczególnie druga wojna światowa. Należy jednak dodać, że i w okresie Polski Ludowej powstało wiele luk, wiele braków w dokumentacji, co nie pozwala dziś w pełni przedstawić rozwoju łódzkiej oświaty, zwłaszcza w pierwszych powojennych miesiącach, a nawet latach.

W styczniu 1945 r. pełniący obowiązki kuratora Okręgu Szkolnego Łódzkiego, Józef Steliga, wydał odezwę do rad narodowych i społeczeństwa. Wzywał w niej do jak najszybszego zabezpieczenia lokali szkolnych i sprzętu, a nauczycielom zgłaszającym się do pracy zalecał dostarczyć mieszkań i zabezpieczyć byt.

4 marca 1945 r. odbyła się uroczystość — Dzień Święta Odrodzenia Szkoły Polskiej. Młodzież zebrała się na nabożeństwo w katedrze, następnie złożyła wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza. A po defiladzie ulicą Piotrkowską do placu Wolności wysłuchano przemówień przedstawicieli władz, nauczycieli, rodziców.

W czerwcu 1945 roku dokonano się w Łodzi ważne wydarzenie dla polskiego szkolnictwa — Ogólnopolski Zjazd Oświatowy. Podjęto na nim wiele uchwał, jakie stały się podstawą dalszych przedsięwzięć władz i nauczycielstwa zorganizowanego w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W tych powojennych warunkach rozpoczęło życie Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika w Łodzi. Nowy okres prac nad historią szkoły rozpoczął się po wojnie wraz z przygotowaniem obchodów jej 50-lecia. Trud gromadzenia przekazów źródłowych podjęli nauczyciele historii: Bernard Pietrowicz i Aleksandra Sachadyniuk, która opracowała zebrany materiał i pod tytułem „Historia szkoły” została zamieszczona w wydawnictwie pod nazwą „Kronika i Liceum im. M. Kopernika (b. Gimnazjum Towarzystwa Uczelnia) w Łodzi 17.X.1906—17.X.1956”. Najprawdopodobniej pod wpływem A. Sachadyniuk, zaczęło systematycznie prowadzić poczynając od roku szkolnego 1954/55 Kronikę Liceum.

Przygotowując III zjazd wychowanków Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, jaki odbył się w czerwcu 1972 roku, przygotowano opracowanie pt. „Z dziejów Gimnazjum i Liceum im. Mikołaja Kopernika w Łodzi 1906—1973 (Materiały)”, Łódź 1973 (pod redakcją Eugenii Podgórskiej). Jak wskazuje tytuł nie była to jednak pełna monografia.

Czwarty zjazd wychowanków „Kopernika” odbywający się w dniach 17—18 października 1987 roku z okazji 80-lecia mógł się poszczycić nowym osiągnięciem wydawniczym. Dzieła tego dokonał Henryk Władysław Skorek opracowując wybór źródeł pt. „Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika w Łodzi 1906—1986”, Łódź 1987. Autor w sposób kompetentny przedstawił zebrane materiały.

Opracowanie zawiera 85 jednostek źródłowych ułożonych w sposób historyczny i problemowy. Każdy wybrany dokument posiada nadany tytuł wskazujący na jego rzeczową treść, a także opis bibliograficzny. Historyczną wartość tekstu wzbogacają liczne wyjaśnienia zawarte w dołączonych przypisach.

W załączonym programie Gimnazjum z 1908 roku widać wyraźnie nowatorskie naówczas ujęcie: „wykształcenie gimnazjalne powinno dążyć do tego, żeby możliwie wszechstronnie rozwijać umysł ucznia i przygotować go przez to do studiów specjalnych”. Można te metodyczne uwagi odnieść do postępów osiągnięć polskiej myśli pedagogicznej przełomu XIX i XX wieku, jaką prezentowali wówczas Jan Władysław Dawid, Aniela Szybowska, Iza Moszczyńska i inni.

O wysokim poziomie nauczania w tym pierwszym polskim Gimnazjum w Łodzi świadczą również uzyskane w 1913 r. decyzje o dopuszczeniu absolwentów szkoły na studia w uniwersytetach szwajcarskich, w Uniwersytecie i Politechnice Lwowskiej i w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wiele zapisów źródłowych ukazuje, jak szkoła przetrwała w trudnych latach I wojny światowej dzięki poświęceniu i ofiarności nauczycieli, uczniów i miejscowego społeczeństwa.

Przebiegu Gimnazjum przez Odrodzone Państwo Polskie aktem organizacyjnym 9 września 1919 roku, w bardziej ustalonych warunkach ekonomicznych rozwinęło się życie uczniowskie widoczne w osiągnięciach dydaktycznych, w organizacji samorządu szkolnego, w przynależności młodzieży do III Łódzkiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta.

Około 40 procent zawartych w wydawnictwie źródeł dotyczy okresu Polski Ludowej. Najwięcej tu dokumentów wydanych przez dyrekcję szkoły, samorząd młodzieżowy, Komitet Rodzicielski, a także Stowarzyszenie Wychowanków. W źródłach z ostatnich lat wyraźnie zaznaczyły się postawy nauczycieli, ich osiągnięcia w pracy z młodzieżą, szczególnie z uczniami uzdolnionymi, o czym świadczą ich udział w olimpiadach o zasięgu krajowym, a nawet międzynarodowym. Niewątpliwym dowodem o wysokim poziomie wiedzy uczniów Liceum im. Mikołaja Kopernika jest pismo Rektora Politechniki Łódzkiej z 1976 roku stwierdzające dobre przygotowanie absolwentów do studiów wyższych w sposób wyróżniający wśród szkół średnich Województwa Łódzkiego.

Na zakończenie należy życzyć pedagogom i wychowankom I Liceum im. M. Kopernika w Łodzi, aby następny jej jubileusz przyniósł nową pozycję o charakterze pełnego monograficznego opracowania dziejów szkoły.

EUGENIA PODGÓRSKA

PISTOLET, Z KTÓREGO ZASTRZELONO BOLESŁAWA ŚCIBIORKA

W nocy z 8 na 9 sierpnia 1946 r. (z czwartku na piątek) został zabity przez dyżurnego mojego wydziału UB z poleceniem natychmiastowego meldowania się u naczelnika. Zrozumiałem, że szykuje się jakaś ważna akcja, szczególnie, iż rozkaz stawienia się dotyczył wszystkich osigalnych tej nocy funkcjonariuszy. W Urzędzie Bezpieczeństwa mimo godziny nocnej ruch i stan podniecenia, jak zwykle przed akcją. Podniecenie to wzrastało, gdy zorientowaliśmy się, że akcja będzie dowodzona przez oficera MBP z Warszawy, a cel akcji nie został podany nam do wiadomości. Wszystko było „ściśle tajne”, okryte tajemnicą nawet dla funkcjonariuszy UB.

Na akcję pojechalismy samochodami ciężarowymi. Po godzinnej chybą jeździe, zatrzymaliśmy się w odległości około pół kilometra przed widoczną z brzośką budzącą się dnia miejscowością. W pierwszej chwili wydawało się, że jest to Rawa Mazowiecka, ale po dojeździe do pierwszych domostw stwierdziłem, iż jestem w Jeżowie. Już w czasie dochodzenia do miasteczka zostaliśmy podzieleni na grupy 4—5 osobowe, którymi dowodzili oficerowie MBP i WUBP. Znalazłem się w grupie dowodzonej przez mojego naczelnika. Stojący na uboczu dom był celem naszego działania. W domu tym zamieszkiwało starsze małżeństwo.

W pewnej chwili rozległo się kilka oddanych nie opodal strzałów. Naczelnik polecił abym zobaczył, co się dzieje. W głównej ulicy Jeżowa, mniej więcej tam, gdzie teraz znajduje się gospoda spotkałem kolegów żywo rozprawiających o strzelaninie. Jeden z nich wszedł przez krytą bramę na podwórze, gdzie został przywitany strzałami z pistoletu. Strzelat rozebrany do połowy mężczyzna, który akurat golił się. Widząc wchodzącego nieznajomego z bronią w rękę, domyślił się, że to o niego idzie sprawa.

Mężczyzna strzelającym był Wacław Kucikiewicz pseud. „Orsza” któremu wtedy udało się zbiec. Później dowiedziałem się, że akcja w Jeżowie miała na celu przede wszystkim ujęcie Kucikiewicza.

Akcja w Jeżowie dobiegała końca, ale dla mnie był to dzień dalszej pracy. Zostałem wyznaczony do dalszej podróży, tym razem do Skierniewic. Przed PUBP w Skierniewicach okazało się, że nie jechał z nami nasz naczelnik. Otrzymałem jego polecenie na piśmie mniej więcej następującej treści:

„W Skierniewicach ulica S. nr 26, Henryk S. aresztować. Gdyby był tam mężczyzna lat około 20, w wojskowych spodniach

i zielonej marynarce, nos z lekka zadarty — aresztować”.

Ulica S. znajdowała się na peryferiach miasta. Małe jednorodzinne domki, w podwórzach budynki gospodarcze. Henryk S. był w domu wraz z matką, siostrą i znajomą. Byłem zaskoczony tym, że Henryk S. okazał się bardzo młodym, wtedy chyba niepełna siedemnastoletnim chłopcem. Zachowywał się arogancko oświadczając, że działamy bezprawnie, ponieważ nie posiadamy nakazu rewizji i aresztowania. Uspokoiłem go, że żadnego bezprawia nie czynimy, że jeżeli jest niewinny, nie musi się nie stamtę, i wszystko się pomyśli dla niego skończy. Młody chłopak jakby się uspokoił, ale w pewnej chwili oświadczył, że musi wyjść „za własną potrzebą”. Wyzaczyłem jednego z miejscowych funkcjonariuszy, aby mu towarzyszył, gdyż wiadomy przybytek znajdował się w obojętym, za stodołą.

Rewizja była prowadzona w pokoju od ulicy, więc poszedłem zobaczyć, co się za stodołą dzieje. Na mój widok rozmowa została przerwana. Okazało się, że Henryk S. ma coś ważnego do ujawnienia. Młody człowiek oświadczył wtedy więcej tak: „Byłem akowcem i po zakończeniu wojny pozostała mi broń, którą mam dobrze ukrytą, tak, że nikt jej nigdy nie znajdzie. Wiem, że posiadanie broni jest sprzeczne z prawem, ale ja chcę teraz sam tę broń oddać i proszę, aby fakt ten był zaznaczony w protokole”.

Zgodziłem się na to. Wróciliśmy do mieszkania i wtedy zapytałem, gdzie owa broń jest ukryta. Henryk S. doszedł do szafy, otworzył ją. W połowie szafy były szuflady, wyciągnął rękę w stronę szuflady, w jednej ręce trzymałem broń, drugą odsunąłem Henryka S. od szafy, otworzyłem szufladę sam. Na wierzchu na białej leżały dwa pistolety: siódemka FN i VIS. Sprawdziłem broń. W obu lufach wprowadzone naboje, magazynki pełne. Henryk S. był zdenerwowany, trząsł się, zdał sobie sprawę, że przegrał.

Ze znalezionej pistoletu VIS został zastrzelony poseł Bolesław Ściborek, ale o tym dowiedziałem się znacznie później. Proces morderców posła Bolesława Ściborka odbył się jesienią 1946 r. Przebieg procesu znam jedynie z relacji prasowych. Grupa „Orszy-Kucikiewicza” miała na sumieniu wiele innych napadów i morderstw.

Z relacji prasowej dowiedziałem się, że ów poszukiwany młodzieniec o zadartym nosie nazywał się Płosiński, brał udział w morderstwie Bolesława Ściborka. Został skazany na karę śmierci. Jaki wyrok zapadł w stosunku do Henryka S. nie wiem.

Bezpośrednim mordercą posła Bolesława Ściborka był Władysław Baran. Wszystko jedno kogo reprezentował, na czyj rozkaz działał, mord pozostanie zawsze aktem bezprawia. Szczególny tragizm tego czynu, to fakt, że dokonali go bardzo młodzi ludzie, uczniowie ołiary. Za czyn ten ponieśli najwyższą karę.

ZNT

(Imię, nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

BYŁAM NA AKROPOLU...

Część urlopu zimowego postanowiłam spędzić w Czechosłowacji lub w NRD. Okazało się, że biura podróży nie mogą mi nic zaoferować. Bielsko-bialski „Turysta” skusił mnie następującą ofertą: 6 dni w Atenach za 56 dolarów i 86.000 złotych, podróż samolotem. I tak miałam wielkie szczęście. Zalaatwałam formalności w listopadzie 1987 r. i dlatego nie dotknęła mnie podwyżka cen biletów lotniczych. W sumie w złotychkach zapłaciłam 102.000 złotych (cena wycieczki wzrosła: o 11.500 zł plus opłata za wizę, plus znaczek opłaty paszportowej).

Samolot czarterowy wiozł 3 grupy turystów. Jeden z turystów zapłacił cło od wywożonego towaru w kwocie 24.000 zł. Takiej ilości bagaży nie ma chyba Liz Taylor.

Ateny przywitały nas ulewą i grzmotami. Na lotnisku ciepło było znieuwalające. Czas przesunięty o godzinę. Z Warszawy odleciałmy o 23.40, ale dopiero o 5.30 wydawałam w dwuosobowym pokoju z łazienką. Naszą pilotką w Grecji była Marina, Serbka, która dość dobrze mówiła po polsku. Cały czas dziwiła się, że w ogóle o coś nam chodzi.

W ciągu 4 dni pobytu w Atenach „Turysta” oferuje 3-godzinne zwiedzanie miasta z przewodnikiem, Akropolu i Muzeum na Akropolu. Pozostały czas jest oczywiście wolny. Pilotki ustaliły, że zwiedzanie miast odbędzie się kilka godzin po przylocie, od godziny 11. Przyznaję, że ze zmęczenia nie słuchałam uważnie i przegapiłam godzinę zbiórki. Po przylocie do Aten marzyłam o spaniu, nawet Akropol nie mieścił się w tych snach.

Wstęp na Akropol kosztuje 500 drachm (około 4 dolary). Te kwotę uregulowałam w kraju. Marina nie potrafiła mi wytłumaczyć, co się stało z tymi drachmami? Poradziła (i mi, żebym na Akropol udała się piechotą. Ta rada była znakomita!

Śniadania były jednakowe: pieczywko, masło, dżem, ser, kawa lub herbata, sok. Obiadów niestety nie było. 2 razy kupiłam wspaniałe suflaki (mięso i pomidory zapiekane w cieście) za 63 drachm sztuka. Ciężko było wytrzymać od 8 do 20. Krajowe sucharki zjadałam z mandarynkami (kilogram od 40 drachm w górę, a w ogóle dolar to 130 drachm po kursie bankowym).

Przewodnik „Ateny i okolice”, który sprezentował mi „Turysta” podaje: „Akropol — najwspanialszy zespół budowli starożytności świata greckiego, usytuowany na skalistym wzgórzu. Zabudowana powierzchnia ok. 3 ha”. I ja tam byłam. Była to wspaniała lekcja historii dla wycieczek uczniów szkół średnich z RFN i Anglii, które to wycieczki spotkałam kilka razy. Niektórzy mówią, że to tylko kupa kamieni, albo kupa gruzu.

Pojechałam do Pireusu metrem za jedne 30 drachm. Małownicze miasteczko i port. W każdej niedzielę w Pireusie odbywa się wspaniały targ. Nie gorzej niż na bazarze w Istambule.

Grecja kojarzy mi się z zorbą. Nabralam się na sklep firmowy i przepłaciłam kasę z zorbami o 100 drachm. Kaseta kosztowała 500 drachm. W ogóle zakupy w uroczych kramikach robi się w rytmie zorb. Kilka razy byłam w staromiejskiej dzielnicy Plaka. Czasami trudno było wypłacić się z labiryntu uliczek.

Sklepow futrzarskich multum. Nie można się opędzić od naganiancy. Są nimi także nasi rodacy-uciekierzy. Jest ich w Atenach 10.000. Chcą wyjechać do USA, Kanady lub Australii i czekają. Pracują w hotelach w charakterze sprzątaczek, konserwatorów, kelnerów. Mieszkają po 3 lub 4 osoby w pokoju. Jakaś para koczując pod namiotem. Jeżeli turysta spóźni się na kolację, to na jego miejsce czatują emigranci i zjadają kolację. Byli właściciele sklepu z Wrocławia prosili mnie o pożyczkę polskich gazet. Sprezentowałam mu 5 dzienników. Nie przyznał mi racji, że zamienił przysłowiową siekierkę na kij. Inny emigrant marzył o polskich konserwach i papierosach, marzenia nie spełnił.

Z naszych 3 grup zostało co najmniej 7 osób. Byłam świadkiem takiej rozmowy. Dziewczyna mówiła do chłopaka, który został:

— Nie żal ci znajomych, przyjaciół, Polski?

— A coż mi ta Polska zapewni?

Moja współmieszkanica ciągle ubolewała, że straciła na wycieczce, ale futro przywoziła do kraju. Na moje pytanie o Akropol odpowiedziała, że ma Akropol w pewnej części ciała i żebym jej powiedziała, co to jest ten Akropol.

Greckie Biuro Podróży nie dbało o to, żeby nam dokładnie pokazać Ateny, ale oferowało wycieczki dolarowe (od 20 do 25) np. do Eginy, Poros i Hydry lub na Peloponez. Nie pojechał nikt.

ANNA ROBOSZ
(Ustron k. Cieszyńska)

1.

Kiedyś w sklepie wisiało hasło „Klient — nasz Pan”. Co prawda w historii Polski Ludowej ekspedient nigdy nie otwierał przed klientem drzwi i nie kłaniał się do ziemi, ale przynajmniej był uprzejmy, pomagał w dokonywaniu zakupów, a od czasu do czasu zdobywał się na uśmiech. Kupujący był od tego przyzwyczajony i jeśli sprzedawca zapominał się i warknął na klienta albo zamiast szynki chudej sprzedał szynkę z tłuszczem, od razu w ruch szła książka z życzeń i zażaleń.

Potem szczytne hasło straciło swą magiczną moc i stało się sloganem, by od początku lat osiemdziesiątych zniknąć ze sklepowych ścian. Kryzys.

W kolejkach wrzaski, ludzie kłeli na sprzedawczyń, a i one nie były dłużne. I tak powoli przyzwyczajaliśmy się do tego, że w sklepie nie jesteśmy panami, lecz intruzami. W wy-

du, i robimy to najlepiej, jak umiemy.

3.

Władze handlowe są oczywiście zainteresowane podniesieniem kultury obsługi klientów. Ale realia są realiami.

Przed wszystkim kultura obsługi wiąże się ściśle z równowagą rynku. Jeśli nie ma dostatecznej ilości towarów i ich jakość jest taka, jak obecnie, łatwo o spiecia po obu stronach. Sprzedawca niejednokrotnie musi cierpliwie wysłuchiwać krzyków klienta wściekającego się na zepsuty serek albo rozklejające się buty, choć adresatem pretensji powinien być producent. Warto wiedzieć, że spośród wszystkich skarg na funkcjonowanie handlu w minionym roku, aż 19 procent dotyczyło braku towarów i jakości artykułów spożywczych. To zrozumiałe, że sprzedawca jest w oczach kupującego odpowiedzialny za i-

dobrych sprzedawców w dużym pensjami i niespożytkami siłami jest kilkuset. To już nie są złotówki. To są miliony. Miesięcznie! A gdzie pieniądze na inwestycje, remonty, modernizację? Przecież „Społem” nie jest krezusem!

— Jeśli mam to swoich sklepach „pracowników-dno”, to dla mnie są oni doskonałymi pracownikami, bo nie płacę za nich podatku — uśmiecha się kwaśno Włodzimierz Nalej, prezes PSS „Społem” w Łodzi. — Z tego prosty wniosek, że powinienem być zainteresowany zwolnieniem dobrych pracowników, a zatrudnieniem złych, bo za tych ostatnich nie muszę płacić „karnego” podatku! Prawda, że to absurd? I jak tu mówić o poprawie jakości sprzedaży...?

5.

Czy kryzys w stosunkach „sprzedawca — klient” jest powodowany tylko brakiem ro-



Masz temat dla reportera?

Coś cię drażni, niepokoi?

Szlag cię trafił — podnieś

słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

26 maja — PAWEŁ TOMASZEWSKI —
godz. 10—16.

9 czerwca — TERESA JERZYKOWSKA —
godz. 10—16.

Wojciech O. przekazał mi sygnał, który jak sam stwierdził należy już do naszej klasyki głupoty i niechęci do perspektywnego myślenia. Oto w punkcie usługowym WPHP przy ulicy Narutowicza za Kopcińskiego (naprawa m.in. telewizorów) kilka miesięcy trwał generalny remont. Ledwie o-tworzyli podwoje — znów kurz, brud, hałas. Tym razem specjalści zakładają jakiś skomplikowany system antywłamaniowy. Czy nie można było obu robotek wykonać w tym samym czasie?

Ze Zdzisławą N., mieszkanką osiedla Widzew-Wschód ucieśliśmy dłuższą pogawędkę i nie- stety, zgadzaliśmy się co do jo- ty. Niestety, bowiem i ja uwa- żam, że przeżyjemy prawdzi- wy upadek dobroświejskich sto- sunków. Radio rzyjące w mie- szkaniu obok na pełen regula- tor, bieżące remonty silnika u- kochanego „malucha” przepro- wadzane na trawniku, mania posiadania w bloku psa (naj- lepiej dużego, wyprowadzane na spacer raz dziennie...), cały wachlarz przejawów zwykłego wandalizmu — to sprawy, któ- re wszyscy znamy doskonale, a których przyczyn najczęstsze so- cjologiczne autorytety nie po- trafią do końca wytłumaczyć.

Maria Kasprzak, zamieszkała w Zgierzu przy ulicy Klonowej 23, wierzy — jak zaznaczyła — że tylko redakcja pomoże jej rozwikłać zagadkę okresowego braku wody. W domu, w któ-

rym zamieszkuje Czytelniczka (osiedle Chelmy), woda z miej- skiego wodociągu nie dociera w dni... upalne. Gdy jest chłodniej cały system funkcjonuje nor- malnie.

Iwona Ch. słusznie chyba su- geruje, że przysłówowa k.r.n.a. specjalistom z Z. adu Energe- tycznego by nie spadła, gdyby wyluszczyli choć raz publicznie, na przykład w formie ogłosze- nia, zasady wyliczania coraz większych, niestety, kwot jakie płacimy na energię elektryczną. Nasza Czytelniczka sugeruje też by panowie z „drogówki” przyjechali się częściej niż do- tychczas kierowcom skracają- cym z ulicy Karłowickiej w al. Włókniarzy i zaraz potem w lewo, w al. A. Mickiewicza. Fakt, sam byłem tam kilka- krotnie świadkiem groźnego wymuszenia pierwszeństwa przejazdu.

Aleksander Kabarowski prosi, byśmy jeszcze raz wspomnieli o sklepie samoobsługowym przy ulicy Zarzewskiej 51 (sklep nr 924). Czytelnik twier- dzi, iż mimo wyjaśnień ze stro- ny wiceprezesa zarządu oddzia- łu „Społem”, jakie ukazywały się na naszych łamach — podsta- wowy problem nie został roz- wiązany. Nadal masło sprzeda- wane jest przy kasie, nadal pa- nie tymi samymi rękoma, któ- rymi liczą brudne często ban- knoty, dzielą i podają ciepłe, rozpylające się kawałki flu- szczy. A poza tym — nigdzie nie dołączają paragonu, co może

sugerować, no, powiedzmy — lenistwo...

A teraz: uwaga! Zatelefono- wał Andrzej Kiniewicz z War- szawy, jak sam twierdzi, nasz wytrwały adorator i „sprzedał” dwie ciekawostki. Otóż w skle- pie „Pewexu” w stolicy, kon- kretnie w „Intraco” kupił był on pomarańcze. Pakowane w siateczki, w kilogramowych porcjach badające hiszpańskie. Każda poczuska ma kilogram minimum, powtarzam — mini- mum, co w praktyce oznacza, iż wszystkie mają nieco więcej, po kilka dekagramów. Ot, po- rządną dostawca liczy się choć- by, że mogą nieco spaść na wadze w transporcie. Ale co robia nasze panienki w „Pe- wexie”? Otóż ważą pracownicy każdą siateczkę i precyzyjnie wyliczają kwotę do zapłaty. Nasz Czytelnik za dwie kilo- gramowe paczuski z płacił nie dwa dolary czterdzieści centów (kilogram kosztuje dolar dwa- dziesiąt) ale dwa dolary pięć- dziesiąt osiem.

Pan Andrzej był też ostatnio kilkakrotnie w Łodzi i pyta się mnie po coś drogowcy kładą świeży asfalt na ulicy Rzgów- skiej, wprowadzając prawdziwy bałagan na ruchliwej arterii, skoro stara nawierzchnia by- najmniej nie wymagała reman- tu a sam zna w Łodzi wiele ulic, gdzie na dziurach można zniszczyć samochód. Nieco iro- nicznie dopytuje się też kady będziemy trawę malowali na zielono, bo termin otwarcia Szpitala tuż, tuż. Drogi panie Andrzeju! Z tą jeźdźnią kładą rzeczywiście pomysł nieco dzi- wny, jestem zdania, że stara nawierzchnia była nawet lep- sza. Kiedy będziemy malowali? Nie wiem, ale farbę na pewno przywożą w beczkach to spo- strzegawczy Czytelniczy szybko dadzą nam znać...

DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

Arogancki klient naprzeciw aroganckiego sprzedawcy

Żeby lada nie była granicą

JACEK GŁĘBSKI

braźni statystycznego Polaka powstał stereotyp opryskliwe- go sprzedawcy.

Gdzie leżą przyczyny tak niskiej kultury obsługi w han- dlu?

2.

Na samym początku kariery przyszły sprzedawca trafiła do jednej ze szkół handlowych. Tam powinni nauczyć go wszy- stkiego, co potrzeba do wyko- nywania zawodu, w tym i kul- tury obsługi klienta. Czy tak jest naprawdę?

Zastępca dyrektora do spraw dydaktycznych Zespołu Szkół Handlowych nr 1, Elżbieta La- socka, przyznaje, że kształce- nie cech zawodowych sprzeda- wców w dużej mierze zależy od szkoły. Młodzież przychodzi bowiem „surowa”, nie zdając sobie sprawy z roli, jaką bę- dzie pełnić w społeczeństwie.

W ciągu trzyletniej nauki przy- szli handlowcy uczą się podstaw teoretycznych, a zdobywają wie- dzę wykorzystując w czasie pra- ktycznej nauki zawodu. Ucznio- wie dowiadują się, jaki powi- nien być idealny sprzedawca. Powinien być uprzejmy, uczci- wy, kulturalny, taktowny, schlu- dny, cierpliwy, obowiązkowy, musi znać się na towarze, któ- ry sprzedaje, umieć prowadzić dokumentację. Duży nacisk kładzie się na poprawne wy- stawianie się, na sprawną i szybka obsługę, uczy się przy- szłych ekspedientów, jak sprze- dawać towar dziecku, a jak... obcokrajowcowi.

Wiedząc po ukończeniu szkoły wzorowa działka szybko zapomina o tym, co na temat kultury za ladą mówiono w szkole? Oddajmy głos młodzie- ży.

— W szkole uczą nas, jak być dobrym sprzedawcą. A po- tem, idziemy do prawdziwego sklepu na praktykę i widzimy, jak to jest naprawdę. Starsze sprzedawczyń patrzą na nas i śmieją się po cichu. Mówią, że kiedyś też były idealistka- mi, ale im przeszło. Nam też szybko przejdzie.

— Jak w szkole inscenizujemy zakupy, to i klient uprzejmy jest, i sprzedawca. A gdy sta- jemy przed prawdziwym klien- tem, to jest zupełnie inaczej. Starsze koleżanki w sklepie mówią, żeby się nie przejmować. Do chłama po chamsku. Za taką pensję, mówią, nie warto szarpać sobie nerwów.

Dyrektorka Elżbieta Lasocka, potwierdza spostrzeżenia uc- niów:

— Nasza młodzież w zderze- niu z życiem nabiera nowych doświadczeń. My na lekcjach pokazujemy, jak być powinno, a oni wracają z praktyk i mó- wią, że jest inaczej, opowiadają o ciemnych machinacjach w sklepach, o stosunku do klie- nta. Niektóre dziewczyny nawet płaczą. Dlatego po jakimś cza- sie wielu marzy, by zmienić zawód. W szkole wszystko jest wyidealizowane. Motm zdaniem kadra w sklepie niekiedy de- moralizująco wpływa na mło- dzież. Najpierw trzeba by wy- chować starą kadre, ale na to szkoła nie ma wpływu. Pyta pan, co zrobić, żeby nauka nie szła w las, żeby sklepy roily się od wzorowych sprzedaw- ców? My nie mamy wpływu na sytuację w handlu. Przygoto- wujemy nowe kadry do zawo-

łość i jakość towaru na pół- kach. Ale czy jest winowajcą całej sytuacji rynkowej?

Równie ważnym problemem jest brak urządzeń i sprzętu pomocniczego. A jeśli chodzi o przenoszenie towarów, to naj- częściej odbywa się to na ple- cach sprzedawczyń. Nierazko muszą dzwigać po kilka ton towaru dziennie. A na przy- kład przenoszenie worków z cu- krem to wstęp, bo potem trze- ba rozważyć cukier do kilogra- mowych torebek. Nie jest to praca lekka, łatwa i przyjem- na.

Prezes PSS „Społem” w Ło- dzi, Włodzimierz Nalej opowia- da, jak niedawno zawitał do sklepu spożywczego przy ul. Rydzowej i ujrzał na zapleczu dwie zaplakane dziewczyny, tak zmordowane dzwiganiami, że usiadły, żeby sobie popłakać...

4.

Nie tylko ciężka praca, ale i inne czynniki zniechęcają po- tencjalnych kandydatów. Jeże- li jednak każdego dnia brakuje około 700 sprzedawców w Ło- dzi, a w ciągu roku liczba pra- cowników handlu zmniejsza się systematycznie o 250—300 osób, to jak można mówić o selekcji kadry (nie każdy wszak umie być sprzedawcą) i o konkuren- cji zawodowej? Przecież wiado- mo, że każdy sprzedawca bę- dzie mógł choćby od jutra zgło- sić się do pracy i to z przy- słowiowym pocałowaniem ręki! W krajach, gdzie panuje bez- robocie, klient rzeczywiście jest panem, bo na miejsce odrobi- nę mniej uprzejmego sprzedaw- cy czeka już dziesięciu innych.

Wielkim błędem jest stoso- wanie tych samych zasad wy- nagradzania w przemyśle i w handlu. Powoduje to ciągły wzrost różnicy średniej płacy w handlu w stosunku do śred- niej płacy w przemyśle. W sty- czniu 1987 r. różnica ta wyno- siła 2.700 zł, a w grudniu 1987 r. już 3.100 zł, na niekorzyść handlu. Trudno się więc dzi- wić, że pracownicy handlu w pogoni za pieniądzem uciekają do przemysłu. Trzeba w związku z tym szerzej niż dotych- czas wprowadzać motywacyjne systemy płac oparte na prowiz- ji i rozrachunku gospodarc- czym oraz rozwoju agencji.

W 1987 roku na szczeblu cen- tralnym dopuszczono załadowe 12-procentowe przekroczenie średniego wynagrodzenia, a za każde przekroczenie magicznej dwunastki przedsiębiorstwo pla- ciło 500 procent kary od nad- wyżki zarobku pracownika. Wszelka nadzieja rozwiała je- dnak Rozporządzenie Rady Mi- nistrów z 18 stycznia 1988 r. Co prawda podwyższono dopuszcze- nie przekroczenie średnich za- robków do 36 procent, ale łądo- dzi to tylko... skutki inflacji! 25 tys. średniej pensji w „Spo- łem” jest wolne od podatku. Jeśli sprzedawca zarobi o trzy tysiące zł więcej, „Społem” za- płaci państwu 240 zł podatku. Będzie to zapłacone z czystego zysku przedsiębiorstwa.

Jeśli jednak sprzedawca sta- ra się o duży obrót w sklepie, dba o jakość towaru i o klie- nte, słowem — „wychodzi z siebie” i w efekcie zarabia 70 tys. zł (są takie pensje), to „Społem” zgodnie z tabelą pla- ci za to co miesiąc około 20 tys. zł podatku. Powiedzmy, że

wnowagi rynkowej (od tego się chyba zaczęło), brakiem rąk do uciążliwej pracy i złym stanem motowacji materialnej? Nie, nie tylko.

— Ja bym tu dodał takie ha- sło: „forma własności” — znów wymuszony uśmiech prezesa „Społem” — Pyta pan, dlaczego na Zachodzie sprzedawca skacze wokół klienta, a u nas nie? Bo u nas pokutuje zasa- da „co nasze — to nie moje”. Może pan o tym pisać, jeśli pa- nu wydrękuje...

Dyrektor Wydziału Handlu UML, Jerzy Myśliwy, dodaje:

— Jest jeszcze jeden powód tego, że kultura obsługi jest ni- ska. Bardzo prosty. Z tego sa- mego powodu kraj zalewa fala brudu i za ladą panoszy się a- rogance. Zresztą po obu jej stronach.

Władze handlowe wojewódz- twa robią, co mogą. Oczywiście koncentrują się głównie na li- kwidowaniu przyczyn zjawiska, a więc w miarę sił i środków dbają o zaopatrzenie i wzglę- dną równowagę nierównowa- żonego rynku, koordynują dzia- łałność podległych przedsię- biorstw. Ale to nie znaczy, że problem kultury obsługi klie- nta leży zupełnie na uboczu. W ramach podwyższania jej pozio- mu przeprowadza się liczne konkursy i sprzedawcy uzy- skują w nich całkiem niezłe lo- katy. Ekspedient biorą udział w współzawodnictwie zespo- łowym, tj. o społemowski znak jakości i o tytuł „Wzorowego sprzedawcy”.

O ile jeszcze władze handlo- we starają się w pewnym sto- pniu zmieniać tę sytuację, to sa- mi sprzedawcy niewiele czynią w tym kierunku, a przecież wszystko zależy wyłącznie od nich. Interes opiera się bowiem na obsługiwaniu również żywe- go człowieka, którego należa- łoby przekonać, pozyskać, zado- wolić. Rola ta przypada wła- śnie sprzedawcom. Ich praca po- winna być szczególnie aktyw- na. Sprzedawca nie może ogra- niczać się do wykonywania pro- stych czynności podawania to- waru i inkasowania zapłaty, a- le musi wychodzić poza te ra- my. Jego praca nie może być szablonowa, każdy klient ma odmienną indywidualność, którą trzeba brać w rachubę przy ob- słudze. Sprzedawca staje się więc duszą przedsiębiorstwa handlowego, które reprezentuje, a zarazem jego zwierciadłem (dziś krzywym). Najlepsza wy- stawa i reklama, a nawet naj- lepszy towar sprzedawany po umiarkowanych cenach nie po- mogą, jeśli sprzedawca za ladą nie cieszy się sympatią klie- ntów. To bardzo ważne. Bo je- śli sprzedawcy nie zmieniają swej mentalności teraz, nie zmieniają jej nawet wtedy, gdy półki uginają się będą od to- waru, place sprzedawców bę- dą porównywalne do plac w- górnictwie i sprzedawczyń bę- dą wyręczane w dzwiganii wor- ków z cukrem przez roboty. Wszystko zależy więc od sprze- dawców.

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO w Łodzi

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż n. wymienionych pojazdów:

Lp.	Marka	Nr rej.	Rok prod.	Nr siln.	Nr podw.	Proc. zużycia	Cena wywoł.
1.	P. Fiat 125p	LDB 619E	1984	798715	1017468	65	628.000,—
2.	P. Fiat 125p	LDB 305P	1984	bez siln.	1021373	75	448.000,—
3.	P. Fiat 125p	LZA 622D	1984	712770	1018235	65	628.000,—
4.	P. Fiat 125p	LDB 309P	1984	953951	1023100	75	448.000,—
5.	P. Fiat 125p	LDB 322Y	1985	891894	1022140	65	628.000,—
6.	Nysa 522S	LDB 530G	1984	369893	299167	70	505.000,—
7.	Nysa 522S	LDB 506E	1984	299939	291657	70	505.000,—
8.	Nysa 522S	LDB 486E	1984	790295	293721	70	505.000,—
9.	Nysa 522S	LDB 487E	1984	548977	293001	70	505.000,—
10.	Nysa 522 S	LDA 287V	1983	571340	286574	65	589.000,—
11.	Nysa 522S	LZA 054C	1986	bez siln.	330683	75	421.000,—

Wymienione pojazdy można oglądać w dnlu 8 czerwca 1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2 w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 8 czerwca 1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dnlu oględzin do kasy przedsiębior- stwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego drugi przetarg odbę- dzie się w dniu 22 czerwca 1988, o godz. 11, na terenie WKTS w Łodzi.

Zastrzegą się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmian cen wywoławczych.

Za występujące wady ukryte w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

1444/K

Całkiem nie tak dawno, bo w kwietniu 1986 roku powstała w Łodzi Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy. Proponując różne rodzaje prac, począwszy od czystościowo-porządkowych, a kończąc na malarskich, murarskich czy szklarskich, była niezwykle atrakcyjną ofertą dla studentów i młodzieży. Wielu młodych ludzi, zwłaszcza studentów, posiadających zazwyczaj spore braki finansowe, chętnie korzystało z propozycji spółdzielni. Podstawą zatrudnienia było zawarcie umowy na wykonanie określonej pracy. Wydawałoby się, że podjęcie pracy jest prostym zabiegiem — wystarczy tylko podpisać umowę.

Niestety, nagle pojawia się zarządzenie, że należy dostarczyć świadectwo maturalne i wypełnić ankietę.

— Nie wiem po co świadectwo maturalne — dziwi się jeden ze studentów. — Przecież ono jest w dziekanacie. Nic to! Wydobylem i przyniosłem, wypełniłem ankietę.

— Ale to nie koniec — dodaje studentka. — Co tydzień musieliśmy osobiście przynieść wykaz godzin, które przepracowaliśmy. Za każdym razem, gdy przychodziłam mówiono, że moje świadectwo podatkowe gdzieś zgineło. Kiedy po raz szósty wypisałam żądane informacje, usłyszałam, że właśnie znalazło się jedno z zaginionych. Miałam wątpliwości, czy możliwe jest, by znów za chwilę nie zginęło.

Może dlatego każde pismo, bez względu na rodzaj sprawy, jaką kieruje pracownik do magazynu, do kadry, do transportu itp. posiada trzy kopie. Jedynie zarządzenia, uchwały obowiązujące w spółdzielni są w jednym egzemplarzu albowiem, jak twierdzi prezes, jest to metoda jedyna i słuszną, dzienniki ustaw nie przychodzą ranną pocztą, by obywatel mógł przejrzeć je przy śniadaniu.

Pomysłowy prezes spółdzielni — to nieoceniony skarb

Doskonali sposób na naiwnych studentów

I tak w spółdzielni panuje wzorowy porządek. Czasem zdarzają się jednak drobne incydenty. Petent z zupełnie niewytłumaczalnych i niezrozumiałych powodów źle się zachowuje.

— To jest karygodne! — słychać w holu podniesiony głos. — Przedkucoraj otrzymałam propozycję pracy. Proszę: zaświadczenie lekarskie, świadectwo BHP, książeczka wojskowa, świadectwo dojrzałości, zdjęcia. Dwa dni — chyba szybko to załatwim! Dziś prezes mówi, że praca jest już nieaktualna. Jak tak można postępować!

Również nieodpowiednio zachował się student, który zamiast spokojnie czekać cztery miesiące na wypłatę, po dwóch miesiącach oczekiwań wyświadczył pismo do prezesa z prośbą o wyjaśnienie. Ponieważ nie uzyskał odpowiedzi postanowił porozmawiać z prezesem. Prezes nie zamierzał jednak rozmawiać z nim. Zadzwoił po milicję. Ale niestety nie było pretekstu, by przyjechał. Dla studenta sprawa była co najmniej dziwna. Postanowił złożyć skargę w Łódzkim Związku Spółdzielczości. Całkowitą rację miał więc prezes, gdy skreślił studenta z listy pracowników zleceniowych twierdząc, że takich zdrajców spółdzielni zatrudniać nie powinna.

Alle sytuacja się powtórzyła. Tym razem było to kilkadziesiąt osób. 30 października 1987 roku przyszł po pieniądze, które mieli otrzymać za lipiec, sierpień, wrzesień. Prezes zamknął się w gabinecie oburzony, jak oni mogą domagać się wypłaty. Postanowił wezwać milicję twierdząc, że wszyscy boją się studentów, którzy tu przyszli i... nie chcą wyjść. Milicja przyjechała, ale wezwanie okazało się bezpodstawne. Tymczasem studenci czekali, prezes zniknął. Nikt nie wie.

Dalej regularnie powtarzają się problemy z otrzymaniem pieniędzy za wykonaną pracę. W lipcu wypłata za maj. W listopadzie nie ma szans, by otrzymać pieniądze za wrzesień. Prezes nie odpowiada na prośby o wyjaśnienie, które piszą studenci. Czasem tylko w przypływie dobrego humoru zagadnie do zdeperowanej studentki.

— Ach te kobiety myślą tylko o pieniądzach.

Zgodnie z regulaminem spółdzielni zleceniodawcy otrzymują wynagrodzenie za wykonaną pracę po wypływie należności za daną pracę na konto spółdzielni i po przedstawieniu kompletnej dokumentacji umożliwiającej rozliczenie pracy. Jeden z kierowników ponaśla, by wypłacono studentom, gdyż zakłady pracy zapłaciły spółdzielni terminowo, bez potrąceń.

— Skąd obywatel ma tę informację? — dziwi się prezes.

Może brakuje kompletnej dokumentacji? Być może, skoro wciąż pojawiają się nowe przepisy, w myśl których trzeba dostarczyć nowe zaświadczenia. Poza tym pojawiają się wątpliwości, czy podpis na umowie jest autentycznym podpisem studenta. Gdy wrzesień uda się po kilkunastu czasem dniach potwierdzić podpis prezes może zapytać.

— A skąd ja mogę wiedzieć, że pan to pan?

Niestety takiego zaświadczenia przedstawić się nie da. Prezes okazuje się więc tolerancyjny. Przyjmyka oko i... 10 grudnia 1987 r. studenci mają otrzymać zaległe wypłaty. Znalazła się ustawa, na mocy której mogą być dokonane 50-procentowe i 75-procentowe potrącenia.

— Studenci znów są oburzeni. — To kpiny! — Powinnością dostać odsetki za zwłokę — gromi ich wzburzony głos.

— Nie masz racji kolego — pada rezolutna odpowiedź. — Zamiast śledzić radośną twórczość legislacyjną spółdzielni, ty uczciwie pracowałeś i myślałeś, że ci uczciwie zapłacą zgodnie z zawartą umową. Ha!

Od maja 1987 roku pracownicy, studenci składają skargi do: Państwowej Inspekcji Pracy, Łódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy, Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy — Działu Lustracji w Warszawie, NIK, Izby Skarbowej, Rzecznika przy Prezydencie Miasta.

Komisja bada. Studenci piszą nowe zażalenia na „bezpodstawne potrącenia”. Prezes komentuje: — Proszę się nie denerwować i nie straszcie mnie, ja tam wszędzie mam już abonament.

Czy ktoś odetnie kupony od abonamentu Prezesa S? Jeśli znajdzie się chętny, proszę poczekać. Chyba już w maju będzie wypłata za listopad. Zamiast odsetek za zwłokę będą zapewne potrącenia. Spółdzielnia trzeba pogratulować, to świetna metoda!

JOLANTA POL

1 Nagle zastępstwo Klub gentlemanów

Wbrew pozorom nie będzie to felieton o klubie działającym w Wielkiej Brytanii — wprost przeciwnie, jest to propozycja powołania takiego klubu w... Łodzi. Każdy, kto zmuszony jest przez okoliczności życiowe do korzystania z usług gastronomii naszej kochanej, a nie dysponuje fortuną Rockefellera, a także każdy, który korzysta z niej sporadycznie, wie doskonale, że po prostu w lokalach poniżej pierwszej kategorii trochę trudno wytrzymać: towarzystwo jakby, najdelikatniej mówiąc, niezbyt sympatyczne, obsługa opryskliwa, czystość itd. zmiłuj się, Sanepidzie!

Toteż człowiek zestrachany, gdzieś w kąciku szybko zjada i ucieka. Gdzie? Do kawiarni, choćby, na herbatkę z ciasteczkami, na gazetkę... A gdzie tam! Towarzystwo to samo, obsługa ta sama.

Pozostają tzw. kluby środowiskowe. A tu znówu getto zawodowe, zjeść nic nie można. Coś się chyba zmieniło od „złoty czasów” klubu Spatitu, klubu dziennikarza. No, może jeszcze klub NOT i klub ekonomistów wytrzymują. Bo mają restaurację... Ale czy ma być walców? Starych, codziennych niemal gości? Trochę mają, ale większość klientów jest przyjadkowana.

Gastronomia jakby zdziżała, kluby podupadły. Toteż proponuje utworzenie klubu w stylu angielskim. Oczywiście z poprawką na polskie standardy krzyżosowe i kulturowe. Jak to sobie wyobrażam? Prosto nader. Oto rzutki gastronomik zakłada restaurację z bilardem i szachami oraz czasopismami. Jeszcze przed otwarciem lokalu zdobywa ze stu przyszłych członków, którzy mogą nawet wstępnie uiścić składki, za rok czy dwa z góry, żeby wesprzeć inicjatywę. Najlepiej byłoby, gdyby to byli ludzie, którzy się znają. Nie wszyscy, wystarczy, że X zna Y, Y greka, tamten znówu Zeta. Wprowadzają się wzajemnie, ręcząc za siebie, no, tak właśnie jak w angielskim klubie. Coś tam wpłaca, bity sie rzekło. Wiece powstałe pytanie, co z tego będzie miało?

Wyobrażam to sobie tak: można do klubu wpaść na obiad (możliwie tani, nie upieram się za wykwinną kuchnię, wystarczy tzw. domowa), na obiedzie partycyk szachów czy bridge’a, kawka, kieliszek wina. Pogawędki albo lektura. Wszystko w gronie znanych, kulturalnie i niezbyt drogo. Można w takim klubie grobić odczyt, choć niekoniecznie, można zrobić pokaz filmowy, być nie za często. Na ogół ma być zacisznie, spokojnie, bez ekscesów. Można nawet wprowadzić reglamentację trunków — na ochłaj chodzi się gdzie indziej!

Nie mam pojęcia jak wyglądałaby kalkulacja — jakie ceny, jakie wysokości stałe opłaty. Wierze jednak, że właściciel lokalu czy agent może wyjść na swoje. Oczywiście umówić się trzeba, że dla biedaków w klubie miejsca nie ma — taki jest ten świat... Ale z drugiej strony wyobrażam sobie także taką sytuację, że komus tam prolanguje się termin wpłaty składki (np. za porzeczeniem innego członka klubu) a kto inny dostaje kawę na kredyt, bo akurat zapomniał drobnych.

Nie byłby to klub środowiskowy. Ani nawet „klub inteligencji”. Byłby to klub dla wszystkich, którzy taka idea akceptują, którzy nie lubią i nie chcą chodzić do knajp i nie mają zaufania do placówek typu dom kultury czy świetlica.

Jeśli zmaleliby się chętni, jakaś grupa założycielska, jakiś gastronomik, to obiecuje

im poparcie i reklamę w moich felietonach. Sam się też zapisze, jeśli chuda kieszeń pozwoli.

I jeszcze jedno. Czytelnik zauważył zapewne, że nie wspominałem ani słowa o klubowych dansingach czy dyskotekach. Otóż ja marzę o klubie gentlemanów w stylu angielskim: for men only. Kobiętom wstępnego! Tylko tak wyobrażam sobie te spokojne klubowe spotkania.

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem Odkrycie Lwowa

Podobno, jeździ po Polsce wrocławski kabaret „Kalamur” z programem wypełnionym piosenkami lwowskimi. Podobno ma ogromne powodzenie. We Wrocławiu czynna jest już od dłuższego czasu wystawa fotograficzna dotycząca starego Lwowa. Jak słychać, odwiedzają ją tłumnie nie tylko wrocławianie, ale przybyłe z całego kraju, a także z dalekiej zagranicy. Słyszałem w radiu rozmowę z leciwym Kalifornijczykiem i jego żoną, którzy szczerze wzruszeni gorąco namawiali, aby tę wystawę pokazywać wszędzie, gdzie tylko można, że świadczą ona dobrze o nas, jako niegdyśjszych gospodarzach Lwowa.

Ludzie mojego pokolenia pamiętają jeszcze znakomitą, przedwojenną, cykliczną audycję, nadawaną ze Lwowa, pod tytułem „Wesoła Lwowska Fala”. Niedawno odbyło się w Londynie spotkanie, żyjących w emigracji uczestników tej audycji, niegdyś popularnych tak, jak dzisiaj są popularni Matysiakowie. Lwowska fala, może nie wesoła, ale przecież pełna rzetelnego i pozytywnego sentymentu, daje się odczuć w naszym kulturalnym krajobrazie. Świadczy to, że jeszcze jeden odcinek naszej rzeczywistości wraca do normy i zdrowego rozsądku.

Tak zwane kresy wachodnie były w naszej literaturze i — ogólnie biorąc — kulturze, o wiele bardziej obecne niż na przykład Śląsk i Wielkopolska. Były tak głęboko wkorzenione, zwłaszcza w piśmiennictwo polskie, w tradycję życia codziennego, w historię obyczajów, że ilekroć wkraczano w te kręgi tematyczne, w czasie powojennym, omijając starannym milczeniem nie tylko nazwę Lwów, ale jakiegokolwiek nazwy geograficzne czy inne pojęcia związane z tamtym regionem, tylekroć odczuwało się niemal fałsz, jakas lukę, jakies niedopowiedzenie, nasuwające wątpliwości co do wiarygodności przedstawianych opisów i wspomnień.

Tylko w filmach, związanych tematycznie z ostatnią wojną i czasem bezpośrednio powojennym, spotykaliśmy postaci żołnierzy mówiących śmiechym, już dziś dla nas, lwowskim akcentem. Takim prawdziwie lwowskim dialektem nikt już na co dzień nie mówi. Pamiętają go jeszcze tylko starzy ludzie, może najwyżej w ich mowie przebiega czasem śpięwny wschodni akcent. Postać, która pojawiła się niedawno w domu Matysiaków i mówi na przykład „pokatulał si” — jest już postacią sztucznie galwanizowaną. Ma to być mieszkaniak Warszawy dzisiejszej, tam chyba nie ma takich mieszkańców, którzy

by jeszcze zamiast „poszedłem” powiedzieli „pokatulałem si”.

Podobno przygotowuje się film dotyczący rozstrzelania kilkudziesięciu polskich intelektualistów we Lwowie zajętych przez Niemców w 1941 roku. Będzie to więc film o realiach lwowskich, jeszcze znajdzie się na widowni sporo osób, które rozpoznają znajome sobie z dzieciństwa domy i ulice; obawiam się jednak, że olbrzymia większość tej widowni będzie oczekiwać na komentarz skąd wzięli się polscy profesorowie i pisarze w mieście leżącym tak daleko poza granicami kraju. W mieście, którego nazwę wykreślono starannie ze wszystkich podręczników najnowszej historii Polski.

Od wielu lat obywatele Republiki Federalnej Niemiec, członkowie narodu, który uczynił nam tak wiele krzywdy, przyjeżdżają na nasze ziemie zachodnie, odwiedzają miejsca swego dzieciństwa, czy choćby znane tylko z opowieści rodziców, poszukują grobów swoich krewnych. To bardzo dobrane. Żyjący w naszym kraju obywatele, którym wypadło spędzić dzieciństwo i młodość we Lwowie i jego okolicach, którzy tam właśnie pozostawili groby swych najbliższych, tylko wyjątkowo mogli tam pojechać. To bardzo dziwne. Wreszcie jednak cała sprawa zaczyna nabierać kolorów normalnej, ludzkiej zwyczajności.

Może doczekam czasu, kiedy wyścig pokoiu będzie przebiegał nie Warszawa, Berlin, Praga, ale na przykład z Warszawy przez Lwów do Bukaresztu. Czemu nie? To przecież ta sama część świata, to właśnie kraj, je najbardziej zbliżone wzajemnie idea światowego pokoiu.

Może przeczytam jeszcze reportaż nie tylko z Pernambuco i Honolulu, ale także z Nowogrodka, gdzie nam, warszawskim dzieciom, pokazywano z nabożeństwem dom państwa Mickiewiczów — i ze Słoniwa, gdzie odbył swoją służbę wojskową i gdzie nauczono mnie wojennego rzemiosła.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport Strasznie nudny wyścig

Teras będzie chwila szczerości. Robiłam wszystko, aby nie pisać o 41 Wyścigu Pokoiu. Przede wszystkim dlatego, że dawno przestał być to wyścig pokoiu, a stał się zwykłym wyścigiem kolarskim, nie najlepszym zresztą jakości. Jest to bowiem bardzo nudny wyścig.

Strasznie, ale to bardzo strasznie wspaniałe telewizyjne sprawozdawcom. Na etapie z Karmiennej Góry do Legnicy kolarze zrobili sobie piknik, jechali wolniutko, niedziele nie śpieszyli, a biedni sprawozdawcy, tak telewizji, jak i radia, mieli czas przewidziany do mówienia na antenie i musieli mówić. Sprawozdawca radiowy opowiadał więc, jak to się dzieje, że głos z samochodu, którym on jedzie, dostaje się do słuchaczy siedzących przy radiodiodniach. On mówi, z samochodu, aparatura przekazuje do samolotu, a samolot do przekazników, a te do rozgłośni, skąd...

Sprawozdawca telewizyjny był w gorszej sytuacji. Jakichś trzech nieodpowiedzialnych kolarzy wyskoczyło do przodu i zdobyło przewagę 8 minut nad peletonem. Skandal! Jedzie więc tych trzech kolarzy — zaimuła oni całkiem miejsca i nie zagroziła „wielkim tego wyścigu” — jedzie sobie równo, a czym tu odpowiada tele-

wizjom, która, przecież widza dokładnie to samo, co widzi sprawozdawca siedzący w Legnicy. Opowiada więc nam o tym, jak się żywi kolarzy w trakcie jazdy. Że dostają torby, bidony i inne „lakości” — to jest cytat — oni to jedzą, bo taka jazda na rowerze w wyszczu, to gorzej niż praca w kopalni. Tacy to straszni straszcacy!

Jedzie więc sobie tych trzech kolarzy 8 minut przed peletonem, jedzie sobie peleton, jedzą w studiu w Warszawie komentatorzy z nieocenionym Włodzimierzem Szaranowiczem oraz kolarze, którzy kiedyś na trasie Wyścigu Pokoiu odrywali wielkie role, a teraz komentują to, co się dzieje na trasie. Żal człowieka ścisła za gardło.

Tu będzie dygresja. Jechał sobie ten nudny wyścig przez Słowację. Kral to za Karpatami położony. Góry wysokie, mogłoby się wydawać, że fale radiowe zza tych gór do Polski nie trafia, albo trafia z trudnością. Ale nie. Trafiły bez trudności. I oto 41 Wyścig Pokoiu wiechał na ziemie polskie. Z Katowic — wydawałoby się — głos do Warszawy i całej Polski oraz do CSRS i NRD dotrze bez kłopotów, bo to węglowa stolica Polski, technika tam powinna być dobra. A właśnie, że nie. Takiej karkofonii, jaka nadawano nam z Katowic dawno nie słyszałam. Włodzimierz Szaranowicz kilkakrotnie przepraszał telewizyjów, ale cóż z tego, kiedy nie mógł się połączyć z Katowicami, skąd znakomicie było słychać, co mówi siołker wyścigu, a nie było słychać, co mówili telewizyjni sprawozdawcy. Była to — i wreszcie — niezamierzona atrakcja tego nudnego wyścigu.

Ryszard Szurkowski wszystkim kibicom kolarstwa kolarzy się z sukcesem. Jeździł znakomicie i — wydawałoby się — powinien znakomicie przygotować swoich młodszych kolegów i podopiecznych. Ale nie z tego. Chłopcy są wprawdzie ambitni, brakuje im jednak no prostu umiejętności i doświadczenia, co na jedno wychodzi. Konkurencja miała straszną i na wielki sukces nie ma co liczyć. Na mały też. Ludzie o beznami w przedmiocie będą usiłowali niewątpliwie dowodzić, że cały sport leży, to i kolarstwo musi, a poza wszystkim jest to sport drogi. Taki rower na przykład, ile kosztuje? Dużo. I co z tego wynika? Przygotowanie kolarzy do wyścigu — to jedna sprawa — a charakter wyścigu — to druga. Obie są ze sobą ściśle powiązane i jedna wynika z drugiej. Niezależnie od wyniku 41 Wyścigu Pokoiu trzeba sobie głęboko spostrzec w oczy i powiedzieć prawdę. Jest to nudny, mało widowiskowy wyścig i nie bardzo wiadomo, komu na tym wszystkim zależy. Trzeba też powiedzieć więcej: jest to wyścig prowincjonalny, to znaczy — peryferyjny. Jest to wyścig, który przestał się liczyć w kolarskim sporcie. Przestał być atrakcyjny.

Co zatem zrobić? Zmodernizować! To już nie może być wyścig drużyn, to musi stać się wyścig indywidualności kolarskich. Kunktorstwo — tłumaczy się jako rozmyślane zwleknięcie, odkładanie, granie na zwłokę, powolność w działaniu, ociąganie się. Wyścig Pokoiu stał się kunktorstwo. Sport — to wanka. Wyścig Pokoiu jest przeciwieństwem autentycznej walki, a więc — jest przeciwieństwem sportu. Formuła tego wyścigu musi ulec zmianie. Trudno, ale trzeba dokonać rewizji założeń, choćby w myśli pierwotnej idei.

Ponieważ relacje z 41 Wyścigu Pokoiu są śmiertelnie nudne, realizatorzy programu telewizyjnego ratują się, sięgając do przeszłości. Kiedyś to był autentyczny wyścig. Ale to było kiedyś. Świat się zmienił. Zmienić musi się i ta kolarska ekskursja. Telewizyjni komentatorzy są również tego zdania. I wcale się im nie dziwi. Mówić ludziom o czymś, czego nie ma, jest bardzo trudno. Udać, że relacjonuje się walkę, której nie ma, to rzecz prawie niemożliwa. A oni to robią już od kilku dni. Współczujcie.

BOGDA MADEJ

Katyna stała na środku małego placu, czerwono pomalowany dach wspierał się na czterech ogromnych słupach, ściany z grubych belek z trzech stron zamykały świątynię. Z czwartej strony wisiała tylko purpurowa draperia, podobnie jak purpurowymi draperiami wyłożone były drewniane ściany jej wnętrza. Miejsce święte otaczał plot pleciony z wikliny i nikt bez zgody wróżów i żerców nie miał prawa wstępu do katyny. Dla wróżów i żerców postawiono osobny dom już za plotem, tam żyli dostatnio, ponieważ wielu ludzi chciało znać swój los i przynosiło bogate dary, aby otrzymać wróżbę.

Przybrała się Helgunda w ciemną oponkę z kapturem, podobną poleciała nałożyć Milce i wraz z dzbanem pełnym miodu, nie zauważone przez nikogo, przeszły na dół, na podgrodzie. W pobliżu katyny ogarnął je nastrój lęku; co krok spotykały wbity w ziemię gruby pal z wyrzeźbioną głową i twarzą ludzką, niektóre pomalowane jak krawaty z twarzami wyrażającymi śmiech, inne smutek, a jeszcze inne — szczerzące zęby tak wyrażające jak gdyby za chwilę miały pożreć żywą ludzką istotę. Owe słupy drewniane nazywano sochami albo bałwanami. Droga między nimi oznaczała życie człowieka, ukazywała radość, smutek, przerażenie, a także śmierć.

„Na wielkim kamieniu u wrót świątyni siedział wróż w białej chlamidzie, z siwą brodą i długimi siwymi włosami, na których miał skózaną przepaskę z kawałkiem bursztynu, darem od Goluha. Było to coś w rodzaju świętej Andali, jaką on sam nosił jako oznakę władzy.

— Czego chcecie? — zapytał je cicho wróż u wrót katyny.

— Prawdy — odpowiedziała Helgunda, bo tak jej kazala rzec Milka. Helgunda nigdy jeszcze nie była w katynie, Milka chodziła tam wiele razy.

Helgunda podała wróżowi dzban z miodem i on podniósł się z kamienia i poprowadził je do wnętrza świątyni, gdzie na środku żarzyło się obłożone kamieniami ognisko. Nie dokładano do niego berwiona, a tylko węgiel drzewny, aby nie było dymu. Natomiast na żar sypano suszone zioła, przez co wewnątrz świątyni wypełniał oszałamiający zapach, powodujący chwilami zamroczenie, to znów zawrót głowy.

— Padnijcie na twarz — rozkazał wróż.

A kiedy to uczyniły, odsunął czerwona draperię i pokazał im stojący w kącie, czarny drewniany posąg o ślepych oczach i głębokich oczodolach. Rysy całej twarzy były ledwo dostrzegalne, ponieważ bóg był bardzo stary, zniszczony przez deszcz i śniegi. Ale przecież poczuła Helgunda, że od tej czarnej postaci bije jakaś ogromna siła.

— Patrz! — szepnął wróż Helgundzie.

Do ogromnego srebrnego rogu zawieszzonego na karku posagu wlał z dzbanu przyniesiony przez nią miod sycyny. Cała zawartość dzbanu zniknęła w tym rogu i nie ułaziła się na ziemię ani kropła. Klaniając się nieustannie bogowi wróż zajął do rogu, później odwrócił się do Helgundy i rzekł:

— Jest gorzej niż myślałaś, księżno...

Poznał ją, choć nigdy tu nie była, mimo że przyszła w przebraniu.

Pospiesznie wręczyła wróżowi złoty pierścień, a ten kiwnął głową, że zgadza się na wróżbę, a potem w stronę Milki uczynił gest dłonią, polecając jej opuścić świątynię.

— Usiadź — usłyszała szepł wróża. — Usiadź przy ogniu i patrz w niego.

Przykucnęła po drugiej stronie ogniska, a on rzucił na żar garść suszonych ziół aż Helgunda ogarnęła duszność i omłotała.

— Pytaj — usłyszała szepł. — Oblizła wargi, które stały się suche:

— Co się stało z Popiołowlowsym?

Żar między kamieniami jak gdyby nagle przysiał. Wróż znowu rzucił coś na tace się węgielki i ogień odzyskał swój blask.

— Piastun dał mu życie i wolność...

— Gdzie on jest? — zapytała gwałtownie. — Powinien wrócić i zasiąść na tronie.

Żar rozbił się jak kamień, płomyków, ale po chwili znowu przysiał.

— Golub Popiołowlowsy, ostatni z rodu, uczynił wiele dobrego dla wróżów. Wziął go pod

swoją opiekę, dali jado i szaty.

— Powinien wrócić na tron. — Oddał Piastunowi Świętą Andalę...

— Teraz nie nosi się Andali, a koronę. Czy nie słyszałaś o tym? Kto nosi koronę, ten ma władzę.

Milca! Helgunda przestała już odczuwać odrzucenie zapachem palących się ziół i wzbierał w niej gniew. Jeszcze dziś każe Hodonowi albo Jaszczoltowi, żeby wybili wróżów i spalili katynę. Tryglaw jest najpotężniejszym bogiem. Tryglawowi wybuduje tu świątynię. Trzy twarze i trzy pary oczu widzą dalej i głębiej niż ten ślepy bóg w Gnieździe.

— Po co tu przyszedł — zapytał wróż.

— Po prawdę — odparła hardo.

— Usłyszałaś prawdę, więc odejdź.

— Nie. Bo to nie jest cała prawda. Kim jest Piastun i czego żąda.

— Patrz w ogień — poprosił.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

krętą wyobraźnią białego ptaka, przegalopował przez podgrodzie Gniazda, budząc ogólne zdumienie i strach. Zatrzymał się przed otwartymi wrotami w wieży obwałowań grodu i trzem pieszym strażnikom z oszczepami, którzy zagroźli mu dalszą jazdę, rzucił pod nogi wiklinowy koszyk.

— Oddajcie to księżnej Helgundzie, mówiąc, że to podarunek od ludu.

Raptem wrócił koniem i znowu pogalopował przez podgrodzie, kierując się ku polom. Jakis łucznik na wieży postął za nim strzałą, ale ona go nie dosięgła.

Strażnicy wezwali Hodona i Jaszczolta, a ci zobaczywszy co się w koszyku pomiędzy szmatami znajduje, tylko przez krótką chwilę zastanawiali się czy owego podarunku nie zachować w tajemnicy przed księżną. Tak się jednak stało, że właśnie wówczas chwycili przed Gniazdem posłańca od młodego księcia Karaka. Przepytali go ostro, groząc śmiercią i przekazał im to, co miał powiedzieć Helgundzie. Młody książę Karak powiadomił Helgundę, że ojciec wysłał go przeciw luźnym grupom wojowników, czyniących spustoszenie w Bramie Morawskiej i nekających nadgraniczne grody Visulan. Gdy tylko upora się z tą sprawą, przejdzie władzę w Karradonon i wyśle

posłów po rękę Helgundy.

Hodon zabił posłańca, aby nigdy nie dotarł do Helgundy. Ale on i Jaszczolt pojeśli, że żaden z nich nie stanie się panem Gniazda, bowiem Helgunda już dawno zamysliła połączyć swój los z młodym księciem Visulan. Dlatego postanowili nieczeg nie oszczędzić Helgundzie. Sprawę posłańca i jego koszyka nakazali trzymać w tajemnicy, wyjęli uciętą głowę Gizura i zanieśli Helgundzie do jej sypialnej komnaty, kładąc ją na jej poduszce.

Tego wieczoru Helgunda dłużej niż zwykle siedziała w komnacie dokąd Hodon i Jaszczolt składali co cenniejsze przedmioty jakie wraz z resztkami zbroi, zabierali okolicznym kmiotom. Miała bowiem Helgunda nadzieję, że za tę odrobinę bogactwa, jaka jej jeszcze została i którą oni pomnażali, zdoła otrzymać z Jurną jeszcze stu najemnych wojowników dla obrony przed Piastunem.

Późno już było gdy w towa-

Normanowie z przerażeniem patrzyli jak Hodon i Jaszczolt konają, wypływając krew i zygwinę.

— Czy zrzuciliście z wałów głowę Gizura do jeziora? — zapytała księżna Normana imieniem Nor.

— Tak, pani. Przed chwilą.

— Teraz weźcie tych dwóch i zrzucicie ich ciała w to samo miejsce, aby Gizurowi nie było smutno.

Nor i inni popatrzyli na nią z podziwem. Ich zatwardziały serca najmitów, których miecze skrawione były dziesiątkami zabitych, kochały się i okrucieństwo. Być może w tej właśnie chwili po raz pierwszy ujrzeli w niej prawdziwą władczynię.

Zanim położyła się w na nowo pościelonym łóżu, długo czesała grzebieniem swoje gęste kaszlanowe włosy, przeglądając się w srebrnym wypolerowanym lustrze. Potem już ubrana w białą koszulę, na chwilę podniosła wieko skrzyni, która stała pod oknem i wyjęła

kazy, chciał za to w nagrodę ciała księżnej? Ten młody, ładny i silny wojownik mógł zaspokoić jej żądze. Lecz czy potem nie zechce oddać księżnej od Karaka, uniemożliwić ich połączenie, bo kto posiada czyjeś ciało ten zaraz pragnie czyjeś duszy, a przede wszystkim władzy w Gnieździe jak to było z Gizurem, a później Jaszczoltem i Hodonem. Księżna nie powinna mieć kochanka. W każdym razie nie teraz, gdy czekała na Karaka. Nie może sobie pozwolić, aby Nor wszedł do jej sypialni i łóża.

Zeskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi. Tak, to tylko. Karlica Milka mościła posłanie. Lecz to nie zdoła obronić księżną przed Normanem.

— Zwołaj wszystkich wojowników do sali tronowej — rozkazała karlicy.

Narzuciła na nocną koszulę ogromne futro z bobrowych skór, zapląła je szczelnie pod szyją i tak ubrana zeszła na dół, gdzie stał tron Popiołowlowsy. Normanów zjawili się ponad trzydziestu, reszty Milka albo nie zdołała powiadomić albo też pijani spali w swoich domach pod obwałowaniami grodu. Był wśród nich i Nor, ale Helgunda udawała, że go nie dostrzegła.

— Żadam, aby odtąd trzech z was zawsze pilnowało nocą drzwi mojej sypialni — oświadczyła ostro, rozkazując. — Tak się bowiem w przeszłości zdarzyło, że kto wdarił się do mojej sypialni, ten potem chciał się nad innymi wywyższać i rządzić jak Gizur, Jaszczolt i Hodon. Nora uczyniłam waszym przywódcą, ale on nie wędzio do mojej lożnicy i wy tego dopilnujcie dla własnego dobra.

Wiedziała, że to się musi spodobać wojownikom, choć Nor grył sobie palce z wściekłości. Wróciła więc do siebie i przywołała Milkę. Gdyby Milka pozostała na posłaniu pod drzwiami, zaraz by ją zaczęli gwałcić Normanowie pilnujący sypialni. Milka nigdy się nie skarżyła z tego powodu, ale Helgunda nie chciała słyszeć spoza drzwi jak ona wydaje okrzyki rozkoszy. Czy nie dość była podniecona myślą o Karaku, aby się jeszcze dręczyć słuchaniem jak inni zaspokajają pożądanie karlicy?

Zdmuchnęła kaganek, ale nie mogła zasnąć. Pomyślała z przykrością, że będzie musiała nauczyć się żyć bez mężczyzny i to kto wie, jak długo. Milce było łatwiej, ponieważ miała swojego koza. Ale to co z nim robiła było obrzydliwe. Karak nie może dowiedzieć się, że ona wie o takich sprawach i chroni Milkę przed karą. Jutro każe wyrzucić koza ze stajni i niech Milka nauczy się znosić pożądanie tak samo cierpliwie jak jej pani.

— Czy nie boisz się, Milka, że nadstawiając się swojemu kozłowi, urodzisz coś z rogami albo kopytami? — zapytała w ciemnościach karlica.

— Wróżowie powiadają, że kogut nie może zapłodnić kaczki, byk klaczy, ogier jałowki. Kobieta potrafi zapłodnić tylko mężczyzną.

— A wilki i niedźwiedzie na Wroniej Górze?

— To nie są prawdziwe wilki i prawdziwe niedźwiedzie — odpowiedziała.

— Po co to robisz? To obrzydliwe.

— Wiem, pani. Ale on sięga kobietę głębiej niż mężczyzna.

Po co to właśnie teraz powiedziała? Żeby wzbudzić w Helgundzie jakiś dziwny niepokój podobny do zazdrości?

— Zakazuję ci tego, rozumiesz — krzyknęła Helgunda. Pozbądź się go. Nie ścierpieć czegoś takiego na swoim dworze.

Wykrzyzczała złość na Milce i zaraz zasnęła. Mocno zasnęła, gdyż nie usłyszała jak Milka wymyka się z sypialni, bezszelestnie omija śpiących Normanów, pilnujących drzwi do komnaty Helgundy i spieszy na dwór, do stajni. „Ukryj go” — myślała Milka. — „Schowam na podgrodzie, w kurnikach”.

Czarnego kosmatego kozła trzymała w tej części stajni gdzie stały konie księżnej i tylko jeden koniuch miał tam prawo wstępu. Gdy chciała się sparzyć z kozłem owego koniucha upijała miodem albo do piwa dosypywała mu makowin, żeby w nocy spał twardo na posłaniu przy koniach księżnej.

C.D.N